ANTOLOGIA OPOWIADAŃ KONKURSOWYCH

FANTASTYCZNY KŁOBUCK

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY IM. W. SEBYŁY W KŁOBUCKU

Tu jest Kłobuck! Tu jest MOK! W każdym wieku! Moje MOK!

GMINA KŁOBUCK

gazetaklobucka.pl

GAZETA KŁOBUCKA

„FANTASTYCZNY KŁOBUCK”
ANTOLOGIA
OPOWIADAŃ
KONKURSOWYCH

© Copyright for text:
Jacek Kalinowski, Urszula Szymonik, Anna Kokot-Nowak, Paulina Wojciechowska, Maria Saktura, Emil Zawadzki, Tadeusz Charmuszko, Roland Hensoldt, Małgorzata Randak-Jezierska, Konrad Zielonka, Maciej Serżysko, Magdalena Szweda, Igor Prokopczyk

Autor inicjatywy „Fantastyczny Kłobuck”: Marek Palutkiewicz
2021 r.

Spis Treści

Przedmowa

Kategoria: Dorośli

Jacek Kalinowski – Kamyk – I miejsce s. 6

Urszula Szymonik – Wujenka Aniela – II miejsce s. 15

Anna Kokot-Nowak – Awaria szpuli czasu – III miejsce s. 22

Paulina Wojciechowska – Zwiastunka plag – wyróżnienie s. 35

Tadeusz Charmuszko – Kłobuczak – wyróżnienie s. 51

Roland Hensoldt – Eksperyment kłobucki – wyróżnienie s. 54

Maria Saktura – Partnerstwo miast – wyróżnienie s. 66

Emil Zawadzki – Polowanie na dzika kłobuckiego – wyróżnienie s. 70

Małgorzata Randak-Jezierska – Marketing strategiczny w hołdzie dla miasta piórem mistrza Jana spisany – wyróżnienie s. 84

Konrad Zielonka – Zeitgeist – wyróżnienie s. 93

Kategoria: Młodzież szkolna

Maciej Serżysko – Klucz – I miejsce s. 113

Magdalena Szweda – Cyrk kłamstw – II miejsce s. 124

Igor Prokopczyk – Zew wendigo – III miejsce s. 135

Posłowie

Podziękowania

Przedmowa

Zapraszamy Was do Kłobucka, jakiego jeszcze nie znacie. Kłobucka, w którym w każdej chwili możecie zostać wciągnięci w wir fantastycznych wydarzeń. Kłobucka, w którym rzeczywistość pęka jak bańka mydlana pod naporem słowiańskich demonów i w którym folklor wierzeń przejmuje stery nad codziennością. To tu spotkacie przybyszy z obcej planety, zyskacie dar patrzenia w przyszłość i poznacie niesamowite stwory zamieszkujące okolice. W końcu poznacie prawdę na temat pochodzenia nazwy naszego miasta, a mroki zapomnianych historii zostaną odkryte na kartach opowiadań, które z różnych powodów objęte były tajemnicą… aż do dziś.

Oddaliśmy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Kłobucka w ręce autorów, którzy swoją wyobraźnią wydobyli z kłobuckiej ziemi historie, które zachwycają zarówno pomysłem, jak i wykonaniem. Oto najlepsze opowiadania konkursu literackiego "Fantastyczny Kłobuck". Zapraszamy do fantastycznej lektury.

Marek Palutkiewicz

Fantastyczny Kłobuck

Kategoria: Dorośli

I MIEJSCE

JACEK KALINOWSKI

Kamyk

– No i gdzie żeś znowu był? – Dorota od progu rzuciła mi takie spojrzenie, że nic tylko wyjść z powrotem na dwór, zamknąć za sobą cichutko drzwi i już nigdy nie wracać.

– No gdzie byłem, gdzie byłem… – wymamrotałem, trochę niepotrzebnie, bo Dorota nie lubiła przedrzeźniania, ale chciałem pokazać, że się jej nie lękam i że mam swoje zdanie. – Na kamyku byłem, jak co dzień.

W izbie pachniało pieczonym mięsem i miętą. Żona starała się dla mnie i naszego malutkiego Jaśka i przez to tym bardziej mi było głupio, że odkąd go powiła, to jeżdżę tylko na koniu po okolicy. Jeszcze skłonna pomyśleć, że się synkiem zajmować nie chcę i migam się od obowiązków rodzinnych.

– Migasz się, Sambor, od obowiązków rodzinnych. Źle ci gotuję? Syn ci nie odpowiada?

– Gadać jeszcze nie umie, to jak ma na cokolwiek odpowiedzieć…?

– Durnyś, Sambor… Pytam, czy ci nie pasuje, że nowy członek rodziny teraz jest z nami? Chciałeś mieć pierworodnego… A teraz uciekasz z chałupy i tylko praca, konie i to przesiadywanie na kamyku. Co ty tam szukasz na tym kamyku? Hę?

Sam, cholera, nie wiedziałem, co mnie tak na ten kamyk ciągnie. Po robocie na polu, mimo że zmęczony i brudny od pyłu, głodny i spragniony, bo zawsze sobie za mało wody brałem, to i tak konia ciągnąłem i ten też, mimo że głodny i spragniony, bo w polu żadnego siana nie uświadczył, wiózł mnie poczciwiec za dróżkę na kamyk. Ale to też nie był taki zwykły kamyk, co to go można kopnąć. To głaz tak naprawdę, którego sześciu chłopa by nie ruszyło. Wkopany dodatkowo trochę w ziemię i przekrzywiony lekko w prawą stronę. Obły jak kurze jajo, tylko tysiąckroć większy, sięgający mi do szyi, tak że wleźć na niego wcale nie było łatwo, bo wysokie to i w kształcie niewygodnym do wspinaczki, no bo w kształcie jaja, ale to już mówiłem. No, słowem – wielkie jajo, które spadło z nieba, wbiło się w ziemię i skamieniało. Tak to widziałem.

– Nie wiem, Dorota, czego tam szukam. Wszystko, co mi potrzebne mam w domu – powiedziałem przymilnie, żeby żonę trochę udobruchać. Wiedziałem, że lubi zdania w tym

stylu. – Ale jakoś mnie tam ciągnie, nie wiem dlaczego. W łóżku tak nie odpoczywam jak na tym kamieniu, choćbym ledwo żywy leżał tam na pełnym słońcu.

– A żadna wywłoka z okolicznej wioski z tobą się tam nie wygrzewa, że taki wracasz pełny energii?

– Co? O czym ty mówisz?

– O niczym, Sambor, zapomnij. Regenerację ci kamień funduje, powiadasz?

– Tak. – Rozmarzyłem się. – To jakby kąpiel w… jakimś źródle. Plus masaże na całe ciało, choć kamień przecież twardy jak… głaz.

– Może mnie na ten kamyk zabierzesz, hę? Po porodzie jeszcze nie wydobrzałam, a dźwigać już muszę. Pranie do rzeki, warzywa z piwniczki. Jasiek buczy po nocach, więc go noszę. Słyszysz ty w ogóle, jak się drze?

– Ledwo co. Mówię ci, po odpoczynku na kamyku śpi się jak…

– Dobra, dobra – przerwała mi wściekła Dorota. – Jak to jaki magiczny kamyk, to ty mnie jutro tam zabierasz i będziemy razem leżakować. – Odwróciła się do kuchni i zaczęła udawać, że przebiera owoce na te dobre i zgniłe, choć stąd już widziałem, że wszystkie dobre. – Kuracjusz się, cholera, jeden znalazł – rzuciła pod nosem.

Za dużo dobrych owoców odrzuciła i to jeszcze z pretensją w ruchach, zamaszyście, i wtedy zrozumiałem, że tu nie ma żartów i że razem jutro pojedziemy na kamyk.

Ale nazajutrz po robocie nie wróciłem do chałupy po Dorotę, tylko sam na kamyk pojechałem. Tak mnie ciągnęło. Ręce mi trzęsły, jakbym się ziaren pindyryndy najadł i o żonie wówczas nie myślałem i jej obolałych plecach, tylko żeby mi było dobrze i żebym siły w mig odzyskał. Żadne wyrzuty sumienia mnie nie trawiły, zresztą co to wyrzuty sumienia to zapomniałem, jak tylko dotknąłem obłości kamyka. Wdrapałem się na niego swoim sposobem, bo przez tyle tygodni praktyki, to już zdążyłem nabrać pewnej wprawy w wyszukiwaniu niewidocznych z początku zagłębień i chropowatości. Dwa, trzy ruchy i stałem na kamyku, wyprężony jak władca świata. Od stóp czułem przyjemne zimno, które rozchodziło się wyżej, do kolan, lędźwi i wreszcie do barków. Znów czułem się, jakbym miał szesnaście lat i przespał całą noc na świeżej kopie siana, choć chwilę wcześniej ledwo powłóczyłem nogami.

Przymknąłem oczy z tej przyjemności i zaraz, jak w jakimś śnie, ale to na pewno nie był sen, usłyszałem głos:

– I czego ty tu szukasz? Hę?

O mało co nie spadłem z tego kamiennego jaja, bo przecież powierzchnia na samym szczycie nie jest specjalnie rozległa, więc zachwiałem się i w ostatniej chwili drugą nogą zaparłem się, jakby w obronie przed runięciem z jakiejś skarpy.

Tak mogła zapytać tylko Dorota, pomyślałem, ale głos jakiś inny, na pewno nie jej, nawet nie damski, ale męski też nie! Rozejrzałem się wokół i nie widząc nikogo, jednak na karb krótkiej drzemki zrzuciłem te omamy słuchowe. Ale po chwili głos, naprawdę jakiś dziwny, przypominający przeciąg w chałupie, śmignął gdzieś koło mojego ucha:

– Złaź stamtąd, wandalu!

Przykucnąłem na kamyku i jednym susem zeskoczyłem na trawę.

– Kto se żarty robi? – krzyknąłem twardo, ale od razu zrozumiałem, że nie zabrzmiało to zbyt wiarygodnie.

– Żarty? Nie ja włażę codziennie na kamyk i udaję cyrkowca!

– Pokaż się, kimkolwiek jesteś – rzuciłem, bo chciałem grać na własnych zasadach, choć obleciał mnie strach, szczerze mówiąc.

– Obejdź kamyk, to mnie zobaczysz – odpowiedział mi głos.

Przywarłem do kamienia dwiema rękami i krok po kroczku szedłem w lewą stronę, wychylając się nieco, żeby intruz niczym mnie nie zaskoczył. I tym sposobem, po takim drobieniu nogami, stanąłem przed najdziwniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Stwór był mniejszy ode mnie o głowę, chudy jak patyk i zamiast nóg na dole miał dziesiątki macek ośmiornicy, które kiedyś widywałem na rycinach. Ręce zastępowały mu macki, na szczęście dwie i to go w podobieństwie do człowieka stawiało. Ale głowa to już całkiem szkaradzieństwo: spłaszczona jakby od przodu i tyłu, bez uszu, tylko z otworami, no i brakowało ust, a zamiast nich większość łba zajmowała poskręcana, łuskowata trąba. Malusieńkie oczy, całkowicie czarne i błyszczące tuż nad tą trąbą były umiejscowione i przy mruganiu przysłaniały się na chwilę taką różowawą błoną. Nigdy nie widziałem takiego zwierzaka, w dodatku, żeby się w pionie utrzymywał, no i żeby gadał po ludzku, to ludzkie pojęcie przechodziło!

– Coś za ohyda? – warknąłem i nagły przypływ animuszu poczułem, bo zwierzak przecież niższy ode mnie, więc dałbym mu radę w bójce, a i macki wyglądały na jego słaby punkt.

– Tyś dla mnie ohydą – odparł i mrugnął tymi swoimi paciorkami. – A ja kosmitą jestem i przybyłem z innej planety.

– Z której? Skąd, z północy? Tu Polska jest, dziwolągu.

– Z całkiem innej. Całkowicie. Nie zrozumiesz.

– Z gwiazd? – zapytałem i to chyba zaimponowało stworowi, bo słowo daję, że jakiś taki błysk podziwu dojrzałem w tej nieprzeniknionej czerni jego małych oczek.

– Z gwiazd, niech będzie – przytaknął. – I do gwiazd chcę wrócić. Ale ty mnie hamujesz, Sambor, wygrzewając dupsko na moim silniku.

– Na czym? – zmarszczyłem brwi.

– Silniku. Też nie zrozumiesz. Ale w skrócie: rozbił mi się statek na waszej planecie. To, co widzisz, to część napędu. – Wskazał na kamień. – Szukam pozostałych części. Jak je znajdę, to ten kamień, czyli silnik, mi się przyda. Tyle że codziennie na nim siadasz i wytracasz w nim moc. Czujesz się ostatnio lepiej? Silniejszy? Mądrzejszy?

– No, tak… – Zawahałem się. Nie podobał mi się ten dziwak. – Ale dużo się ruszam. Jemy owoce…

– Nie kłam, Sambor. Obserwuje cię od dłuższego czasu. Zabierasz moc z mojego silnika.

– To kamień, chłopie. Jaki pilnik?

– Silnik.

– Silnik nie silnik, to kawał gruzu, który jest wkopany w trawę i chyba nic ci do tego?

– Bardzo dużo mi do tego – powiedział stwór. – Ty to widzisz jako kamyk. Tak naprawdę to trochę inaczej wygląda. Jest tam więcej elektroniki i powłok… – Błysnął tymi swoimi różowymi błonami. – Cholera, dobra, nieważne. Uwierz mi, że twój kamyk to po prostu część mojego statku, dzięki któremu wrócę na swoją planetę. Rozumiesz? Tęsknię za swoimi bliskimi. Masz rodzinę? Tęsknisz czasem za nimi?

– Mam, ale czy tęsknię…? Żona po porodzie zrobiła się jakaś taka…

– Nie chcę tego wiedzieć – uciął stwór.

Był nieuprzejmy i przestał mi się podobać. Miałem go w ogóle za przebierańca, cyrkowca, który właśnie chce ze mnie zrobić wariata. Może ktoś z okolicznej chałupy zobaczył, że siadam codziennie na kamyku i teraz, z zazdrości, chce mnie z niego przepędzić i samemu czerpać z niego siłę? Kamyk nie był podpisany i nie obraziłbym się, gdyby i inni się na niego wdrapywali, byle nie w godzinach, w których kończę prace w polu. Można przecież porobić dyżury. Zresztą Dorotę chciałem zabrać, żaden ze mnie samolub.

– Jak ty taki ludek z gwiazd, to musisz mi to udowodnić – powiedziałem. Nie byłem w ciemię bity. – Bo na razie widzę twój dziwaczny strój i kamyk, o którym mówisz, wbrew temu co widzę, że to jakieś ustrojstwo.

– Mogę przybrać ludzką postać, jeśli chcesz – odparł przybysz. – Każdą. Jeśli to ma cię przekonać…

Skinąłem głową i odsunąłem się dwa kroki w tył, żeby lepiej widzieć ten kuglarski popis. A raczej występ, którym ten błazen się ośmieszy, bo niczego innego się po nim nie spodziewałem. Stwór jednak zamigotał i jakby przygasł, to znaczy zniknął trochę, bo przez jego cielsko prześwitywała trawa i pola z tyłu i kawałek lasu na horyzoncie. Urósł nagle o głowę, znów nabrał normalnych kolorów, ale nie już w swojej starej formie, tyko jako… człowiek z krwi i kości, mężczyzna w średnim wieku z nieogoloną brodą i w białej lnianej koszuli.

– Marcin spod Częstochowy, Samborze niedowiarku, tyłek grzejący o zaawansowaną technologię rasy z kosmosu.

Cofnąłem się o dwa kroki, ale nie dla lepszych widoków, tylko teraz ze strachu, tak mnie ten dziad zaskoczył.

– O ty żesz… – jęknąłem i zamrugałem oczami, jakbym odganiał resztki snu spod powiek. – Ty… Jak to, że ty?

Nie dokończyłem bełkotać, gdy mężczyzna znów zamigotał i przeistoczył się na moich oczach w staruszkę, przygarbioną, o poczciwych oczach, ale z lisim uśmiechem, który ten cwany kosmita przyodział na jej twarz, pokazując mi, że ma satysfakcję z mojego strachu i, co tu dużo mówić, podziwu.

– Jeszcze? – zaskrzeczała starucha. – Mogę tak do wieczora.

Przybliżyłem się do kobieciny i dotknąłem jej szaty. Była najprawdziwsza i nie mogłem zarzucić stworowi, że to jakieś halucynacje. Skóra staruszki była pomarszczona pod brodą, dotknąłem ją tam bez obrzydzenia, raczej z fascynacją. Normalna skóra starszej osoby. Prawdziwy człowiek.

– No jeszcze, jeszcze! – zarechotałem.

Kobieta znów przybledła, a zamiast niej pojawiła się dziewczyna, śliczna jak z obrazka, w spiętych w kłos włosach i sukience ledwo sięgającej kolan. Mocno wycięty dekolt odsłaniał górę pięknych, kształtnych piersi. Dziewczyna patrzyła na mnie spod rzęs, jakby chciała dać mi buziaka, ale się wstydziła. Poczułem gorąc w lędźwiach, ale szybko przyszło otrzeźwienie.

– Cholera, kosmita, nie wydurniaj się. Przecież jak mnie ktoś z taką dziewuchą pod kamieniem zobaczy, to mnie Dorota ubije! Już teraz myśli, że ja z jakimiś lafiryndami się umawiam, a ty taki numer mi wycinasz! Wracaj do tych swoich macek!

I stanął zaraz w swojej normalnej formie, z tymi odnóżami, spłaszczoną głową i dziwaczną trąbą, a mnie aż zatelepało, takim brzydactwem wydał mi się po tej pięknej dziewczynie.

– No, to tyle, Sambor, z przedstawienia – znów zahuczał jakby z oddali, choć stał dwa kroki przede mną. – To jak będzie, pomożesz mu szukać części mojego statku?

I szukaliśmy codziennie tego ustrojstwa. Kosmita opisał mi to dość dokładnie, ale niewiele z tego zrozumiałem, zresztą nie miało to większego znaczenia, bo na pewno bym wiedział, że to to, gdybym się tyko na to natknął. Nie chciałem martwić stwora, ale mogło być inaczej niż w przypadku kamyka, czy tam silnika, jak to on nazywał. Silnik wbił się w ziemię, ale reszta? W pobliżu była przecież Biała Oksza i Bród, nie jakieś duże rzeki, ale z opisu wynikało, że wystarczająco głębokie, żeby te mechanizmy znikły pod wodą. I jak ich teraz szukać?

Ciężko mi się było wytłumaczyć przed Dorotą, dlaczego mnie jeszcze po pracy w chałupie nie ma, skoro obiecałem, że na kamyk już nie będę jeździł. Okłamałem ją więc, że na roli koledze pomagam, bo jest w potrzebie, a on później mi w moich pracach ulży. Co w sumie nie było takie dalekie od prawdy.

– Jasiek rośnie, a ty z kolegami się wolisz szlajać po polu – mówiła żona. – Rola nie jest najważniejsza! Zostaw, niech uschnie, mamy zapasy przecież. Bo przegapisz najważniejsze chwile!

Ale nie słuchałem jej. Jasiek miał mamę, a stwór nie miał nikogo. Marniał z dnia na dzień i chyba tracił nadzieję na powrót do domu. Snuł się po polach, ciągnąc te macki za sobą, aż mi się przykrzyło od tego patrzenia. Był butny i wygadany, to fakt, ale w głębi duszy każdy przecież tęskni za bliskimi, nawet takie dziwolągi z gwiazd.

W końcu powiedziałem mu, że to nie ma sensu. Że nie znajdziemy tego jego statku, że może spadł gdzieś w las, ale kto to teraz znajdzie? Prawdę mówiąc poszukiwania przerwałem z powodu Jaśka. Wróciłem któregoś dnia i widzę, że dzieciak zaczyna się dźwigać do siadania, choć przecież chwilę temu wydawał mi się takim berbeciem bez rozumu i woli. A on cap, za palce Doroty i ciągnie się do góry. Tydzień później już sam siadał. A po kolejnym tygodniu zaczął mówić „mama”, co tak mnie ucieszyło, ale i taką zazdrością napełniło, że to wtedy powiedziałem stworowi, że muszę więcej czasu spędzać w domu i być obecnym przy synku. Kosmita ani nie miał czasu się zasmucić, ani pożegnać i pójść w swoją stronę, bo zanim zahuczał po swojemu, to wypaliłem z myślą, z którą się biłem już od jakiegoś czasu:

– Ale teraz, bracie, to ty u mnie trochę porobisz. Zmienisz się w jakiegoś parobka, ale nie tego skurczybyka spod Częstochowy, bo mi Dorota będzie filować za tobą oczami. Tylko takiego wiesz, trochę koślawego, ale silnego i pracowitego. I dawaj! Do mnie do chałupy. Co ty na to?

Stwór się chyba rozpromienił, bo macki mu zadrżały i zaczął szybko mrugać tymi swoimi paciorkami.

– To nie jest najgorszy pomysł – powiedział w końcu, nieco powściągliwie, ale czułem w tle skrywaną ekscytację.

I zmienił się w chłopa, bez zbędnych przechwałek powiem, że mniej urodziwego ode mnie, za co byłem mu wdzięczny. Taki o, pospolity wygląd, niższy ode mnie, trochę garbaty nos, ale poczciwe, dobre oczy. Dokładnie tak mógłby wyglądać stwór, gdyby był człowiekiem.

Dorota przyjęła stwora uprzejmie, ale bez zbędnej wylewności. Powiedziałem jej, że do końca lata będzie spał w naszej stodole i jadł z nami posiłki, a później ruszy pewnie w swoją stronę. Żona nie dociekała kto i skąd ów gość, ufając mi chyba i zakładając, że to znajomy po prostu pewnie spod kamyka, bo ona sobie wyobraziła, że ja jakieś towarzystwo znalazłem, dlatego tak mnie tam ciągnęło. Zapytała tylko przy stole, jak się do niego zwracać, czym mnie zaskoczyła całkowicie, bo przecież ze stworem żadnego imienia nie wymyśliliśmy.

– Nie ma imienia – wypaliłem i zacząłem się plątać. – Bo… on nie jest w pełni zdrowy na umyśle.

Poczułem kopnięcie stwora w kostkę, ale kontynuowałem:

– Jego rodzice, wiesz, jak był mały… Zostawili go pod drzewem, musiał sobie sam radzić, stąd tyle umie. Zobaczysz, jaki obrotny. No, ale… nie ma imienia, a i nadawać mu jakiegoś nie chce. Sam nam powie, jak będzie gotowy. Jak się trochę, wiesz, wśród ludzi poobraca.

Zarechotałem, a Dorota zmierzyła wzrokiem najpierw mnie, później naszego nowego przyjaciela, później znów mnie.

– Niech będzie – powiedziała. – Ale jakoś muszę go wołać na obiad. Mówmy na niego przyjaciel.

I tak zostało, co spodobało się bardzo stworowi i mnie również, bo przyjaciel oznaczał coś dobrego, a to przecież wcale nie jest oczywiste w przypadku kogoś, kto przybywa z gwiazd.

Stwór został u nas. Cztery lata. Pomagał mi we wszystkim, nawet w rzeczach, z którymi dawałem sobie radę samodzielnie. Ale on chciał zobaczyć, nauczyć się i zrobić lepiej, co nierzadko mu wychodziło. Przejął też część obowiązków Doroty: szył na kołowrotku, oprawiał kury i chodził prać w rzece ubrania wszystkich domowników. Śmiechy tym wywoływał u mężczyzn z okolicznych chałup, ale nie przejmował się tym wcale, tylko

odgryzał im się, że swoim kobietom by pomogli, zamiast żłopać piwo i komentować życie sąsiadów.

Uwielbiał bawić się z Jasiem, który wyrastał na żywego i gadatliwego chłopca. Latali często we dwójkę po łące, łapali owady i ryli w ziemi w pogoni za kretami.

Któregoś razu zobaczyłem, że przyjaciel przybrał przy Jaśku swoją dawną formę. Serce mi zamarło, ale Jasiek nic, niewzruszony, bawił się mackami i wkładał palce w otwory, które służyły stworowi za uszy.

– Co ty wyprawiasz? Jak możesz się mu pokazywać w takim stanie? – Dopadłem go i powaliłem to jego cienkie ciało na ziemię. Pacnął mnie tym swoim odnóżem, ale nie mocno, tyle, żeby dać mi znać, że go przyduszam za bardzo.

– Tata! – krzyknął Jasiek. – Ja znam stworka. Czasem się tak bawimy!

– Co? – zaperzyłem się. – Nie pierwszy raz widzisz go takiego?

– Nie! – Synek się zaśmiał. – Znam go takiego. Zostaw!

– Nauka tolerancji. – Stwór zaczął się wymądrzać jak dawniej, wtedy przy kamyku. – Skoro zaakceptował mnie, innych tym bardziej zaakceptuje.

– Inni mnie nie obchodzą – warknąłem.

– To wyrośnie na takiego sąsiada, jakich mamy wokół. Co to się śmieją z innych, robiących inaczej niż oni.

– Aha, no wspaniała metoda. – Zaklaskałem i pogroziłem mu zaraz palcem. – Dorota ma tego nie widzieć, zrozumiano? Ani nikt inny.

W piątym roku tak nam wszystkie plony powyrastały i tak zwierzęta się porodziły, że wyszło na to, że mamy największe gospodarstwo w okolicy. Zarobiliśmy dużo pieniędzy, za które, po namowach stwora, zainwestowaliśmy w karczmę. Prowadził ją stwór, którego wszyscy też nazywali przyjacielem. A tych wszystkich robiło się coraz więcej, bo i chat się wybudowało sporo koło naszej, zaraz trakt utwardziliśmy wokół wszystkich domostw, a szóstego roku wybudowałem kościół jako ofiarę na dalsze, szczęśliwe życie nasze, a przede wszystkim Jaśka, który zaczął siódmy rok życia i rwał się do pomocy przy domowych sprawach.

Stwór się świetnie odnalazł w pracach w drewnie. Wieczorami obsługiwał gości i przejezdnych, a w ciągu dnia pomagał budować chaty i kłaść dachy, w czym był prawdziwym mistrzem. Nie mówił dużo, tyle tylko, co trzeba, ale robotę swoją wykonywał, za co wszyscy go bardzo cenili. Wkrótce z czterech domów, jakie kiedyś stały w okolicy, zrobiła się prawdziwa wieś, z karczmą i kościołem. A ja z Dorotą, Jaśkiem i stworem, byliśmy najbardziej poważanymi mieszkańcami.

I wtedy stwór, w tej swojej ludzkiej formie i z tymi dobrotliwymi oczkami, powiedział, że musi odejść.

– Gdzie? – Nie mogłem uwierzyć, że chce nas opuścić.

– Widzisz to wzgórze? – Wskazał na zachód. – Tam mnie ciągnie. Ale blisko, tuż tuż. Będziemy się czasem widywać. Chcę po prostu założyć… miasto i, nie śmiej się, rodzinę.

– Nie śmieję – odparłem całkiem poważnie. – Tylko dziwi mnie, bo kiedyś mówiłeś o swojej rodzinie. I o tęsknocie, pamiętasz?

– U nas jest trochę inaczej niż u was. Ja już zapominam swoją planetę i dawny świat. Choć wciąż mogę przybrać dawną formę. Ale moja rasa dostosowuje się do nowych warunków. Szybko się uczy i przyzwyczaja. To sprawia, że możemy żyć wszędzie, powoli zapominając o swojej rodzinie. Wy tak nie potraficie.

Skinąłem głową i w gardle stanęła mi gula, bo zrozumiałem, że stwór się ze mną żegna, choć jak mówi, będzie wciąż blisko nas, ale nie z nami pod jednym dachem.

– I co ja Dorocie powiem? Że tak sobie po prostu odszedłeś?

– Że poznałem niewiastę, która zakręciła mi w głowie.

– A Jasiek? – Pomyślałem o synku i o tym, że będzie mu brakowało przyjaciela, którego zna przecież całe życie.

– Przyślesz go do mnie za parę lat – odpowiedział stwór. – Będę potrzebował dobrych pracowników przy rozbudowie mojej wioski. Bo ty już stary dziad będziesz.

– To na praczkę mnie zatrudnisz!

Zaśmialiśmy się oboje. Stwór patrzył mi jakoś przez plecy i szybko spoważniał.

– Musisz nazwać jakoś tę wioskę – powiedział. – Ludzie chcą wiedzieć, gdzie się zatrzymują na takie dobre jadło.

Obejrzałem się na chałupy i wieżyczkę niedużego kościoła.

– Kamyk – powiedziałem. – Będzie się nazywać Kamyk. Ale jak już jesteśmy przy nazwach… Ty też w końcu musisz mieć jakieś imię.

Mężczyzna zamigotał, zmienił się z powrotem w kosmitę z mackami, znów błysnął i stał się młodzieńcem, wyższym ode mnie o głowę, barczystym i świetnie ubranym. Na głowie miał kapelusz, zabawny, kulisty jak misa, z niedużym rondem wywiniętym na samych krawędziach.

– Może Kłobuk? – złapał rondo dwoma palcami. – Kłobuk brzmi dobrze.

Uścisnął mi rękę, odwrócił się i ruszył w stronę wzgórza.

KONIEC

II MIEJSCE

URSZULA SZYMONIK

Wujenka Aniela

Mieszkała za hałdą na Dębiecznej. W głębi grądu, na najodleglejszych rubieżach Truskolas. Dzieciaki trzęsły przed nią portkami, przekonane o jej rzekomych konszachtach z duchami. Nie ma co się dziwić. Rodzice nieraz straszyli niegrzecznych gałganów przed starą wiedźmą z lasu. Ku zdziwieniu frymusników, dorośli zwykli nazywać kobietę *wujenką Anielą*. Choć nie była niczyją ciotką, tak powszechnie przyjęło się do niej zwracać, przez co urwisy brały słowo *wujenka* za synonim *wiedźmy.*

Różne plotki krążyły o staruszce. Ponoć zjada dzieci, wabiąc je wcześniej najróżniejszymi pozdołami. Jej leśny azyl pełen był dziwów niespotykanych na świecie, lecz nie sposób owych czarów dostrzec, gdyż strzeże ich Strach. Sam Strach większy zaś popłoch budzi niżeli sama wujenka. Był on bowiem strażnikiem Świeczek, złośliwych duszków, przed którymi drżeli i staży i młodzi.

Lato po sianokosach było idealnym czasem na zbadanie wszelkich pogłosek krążących po okolicy. Dzieciaki gromadziły się na górce, obmyślały plany, jak by tu się zakraść do fantastycznego ogrodu. Byli już na tyle duzi, by kpić z krążących plotek, jednak nie dość dorośli, by utracić w nie wiarę.

Tomek, Chudy i Edek skryli się w swojej bazie, na szczycie jedynego wzniesienia w okolicy. Rozchodził się stamtąd widok na okoliczne pola, lasy i gospodarstwa. Słońce kryło się już za horyzontem, ustępując miejsca nocy, gdy chłopcy zaczęli ostrożnie schodzić po łagodnym zboczu. Trzymali latarki w gotowości, jednak nie włączali ich. Światła zbliżające się do skrytego w gęstwinie ogrodu mogłyby zaalarmować Stracha.

Chudy szedł na przedzie. Za nim kroczył Edek, a na samym końcu Tomek. Między drzewami mrok gęstniał nieubłaganie. Ciepłe powietrze poruszało listowiem nad ich głowami, budząc w nich lękliwe dreszcze. Żaden jednak nie przyznał się do trwożnego kołatania serca. Za każdym jednak razem, gdy nieopodal coś zaszeleściło, każdy odwracał się w stronę dźwięku, wiążąc w gardle krzyk.

– To tylko nornica. – Chudy uspokajał pozostałych.

Wydawał się najbardziej opanowany. W skupieniu wypatrywał wąskiej ścieżki prowadzącej do spróchniałego płotu, okalającego podwórko wujenki. Ostrożnie stawiał każdy krok, unikając truskających gałązek, których trzask rozchodził się echem wśród pochłaniającej ich ciemności.

Coś zamigotało. Jakieś zimne, blade światło, nocą wyglądające niczym uliczna latarnia. Chłopcy zamarli, obserwując kotłujące się, bezkształtne Świeczki. Jakby próbujące wyrwać się z okowów klatki i rozpierzchnąć wokół.

Początkowo widzieli tylko biały blask. Po chwili jednak dostrzegli zarys postaci dzierżącej lampion, z którego owe światło się dobywało. Wysoka istota odziana w kraciastą koszulę i ogrodniczki miała szeroko rozpostarte patykowate ramiona. Wielki, szmaciany łeb wieńczył szeroki, słomiany kapelusz. Strach wyglądał jakby patrzył w ich stronę, choć jego twarz pozbawiona była oczu.

Chwila skupienia. Chudy gestem nakazał kolegom pozostać w bezruchu. Trwało to kilka minut, nim chłopak odetchnął.

– Nie rusza się. – szepnął, odwracając się do towarzyszy. – To tylko zwykły strach na wróble.

Mimo pewności w jego głosie, nie przekonało to pozostałych. Przywódca drużyny już miał poprowadzić kamratów dalej, lecz Tomek pobladł i wybałuszył oczy. Chudy zmarszczył brwi, gdy Edek wczepił się w jego podkoszulek. Nie zdążył zerknąć co ich tak przeraziło, jak Tomek dał nogę i zniknął w mroku nocy. Edek trząsł się, a z rozdziawioną gębą wyglądał co najmniej komicznie. Lider wiedział jednak, że nie ma się z czego śmiać. Nie musiał się odwracać, by bez trudu dostrzec źródło popłochu. Kątem oka widział blady blask nad swoim ramieniem. Bardzo powoli zwrócił twarz na Świeczkę, która nie oślepiała. Jej lodowy ognik otulał chłodną bielą zarówno dwóch pozostałych chłopców, jak i ściółkę wokół oraz listowie nad nimi.

Błysk. Coś śmignęło nad drugim ramieniem Chudego i pomknęło w mrok za Tomkiem. Edkowi wyrwał się zduszony krzyk i… To było zbyt wiele. Rzucił się do ucieczki.

Został sam. Migotliwa Świeczka zataczała kręgi wokół głowy. Początkowo nie był w stanie drgnąć. Po chwili jednak spróbował odgonić ognik jak natarczywą muchę. W gardle wyrosła mu dławiąca gula, gdy usłyszał za sobą narastające powoli, miarowe stuki. Trusk. Trusk. Trusk… W końcu ucichło, tuż za jego plecami.

Zlany zimnym potem, powoli odwrócił się i ujrzał patykowatą postać sterczącą o krok od niego. Choć pozbawiona wyrazu, można było pomyśleć, że w głębi swojej robaczywej

duszy szczerzy się doń złośliwie. Latarnia została otwarta. Świeczki ruszyły na polowanie. W jednej chwili życie stanęło Chudemu przed oczami i pojął, że plotki kryją w sobie prawdę.

Wujenka Aniela wstała skoro świt, obudzona skrzekliwym pianiem Kłobuka i pogodnymi trelami porannych ptaszków. Powoli zwlekła się z łóżka, przeciągając przy tym. Kości jej zatrzeszczały, stara wersalka zaskrzypiała.

– Wstawać, huncwoty! – zawołała.

Z kątów izdebki dało się słyszeć wiercenie i marudzenie. Wujenka podeszła do szafki, wyciągnęła spodeczki, do których nalała śmietany. Ukroiła kilka pajd chleba i zanim usiadła do stołu, chwyciła dwie miseczki i kromki posmarowane masłem. Wyszła za próg, gdzie przywitał ją ciepły poranek. Wzięła głębszy wdech, uśmiechnęła się i wkroczyła bosymi stopami na wilgotną od rosy trawę. Na przedzie domku Aniela uprawiała zioła i warzywa. Na tyle zaś ciągnął się rozległy, zdziczały sad. Staruszka musiała pilnie go strzec, gdyż skarlałe owoce były nie lada gratką dla okolicznych dzieciaków, uwielbiających chodzić na dziorgę. Całe szczęście miała wielu dobrych pomocników, toteż psotne gałgany nie były jej straszne.

Postawiła naczynka na prostej ławce i wtem, znikąd pojawił się stworek, podobny nieco do zmokłego, czarnego koguta. Dziób miał zdecydowanie dłuższy, zwieńczony ostrymi jak szpilki ząbkami, a łapki przywodziły na myśl dziecięce stópki. Kłobuk zapiał zadowolony, nurzając szary dziób w śmietanie.

– Strachu! – zawołała, wypatrując w głębi ogrodu przyjaciela.

Ten jednak nie przychodził. Kobieta zmarszczyła brwi w zastanowieniu. Podeszła do furtki, o którą oparła się, wypatrując między drzewami śladu kamrata.

– Strachu! – powtórzyła nieco głośniej.

Rozglądała się zaniepokojona, nasłuchując przy tym, gdy tuż obok pojawił się jeden ze skrzatów, Bzionek. Wzrostem sięgał ledwie do kostki, toteż w trawie mógł stać się niezauważalny. Drobną rączką masował spasły brzuszek. Gdy Aniela go dostrzegła, zadarł na nią perkaty nochal.

– Znowu jakie frymusniki tu przylazły – stwierdził zaspany.

Kobieta westchnęła bezsilnie.

– Jeszcze się gałgany nie nauczyły. – Zawróciła w stronę chatki. – Chodź na śniadanie.

Bzionek posłusznie potruchtał za wujenką. Nieopodal zatańczył wir powietrza, poruszając koronami drzew. Prędko jednak uleciał do swoich ulubionych prac, takich jak rozrzucanie zżętego zboża, gmatwanie snopków i wianie piaskiem po oczach pracującym w polu rolnikom.

W izbie natomiast skrzaty uwijały się przy śniadaniu. Ubrane w zielone kubraczki i szpiczaste czapeczki, krzątały się przy spiżarce. W piecu huczał ogień, nad którym ustawiły czajnik z wodą. Nad wszystkim czuwał zgarbiony Domownik, którego siwa jak popiół broda omiatała podłogę. Przycupnął na zydelku, obserwując bacznie krasnoludki.

– Od kogo to dzieciaki się tu zapuściły? – kobieta zapytała Bzionka, siadając przy stole.

– Wnuk starego Kowola, młody od Jankowej i ten co jego ojce dwa lata temu się wprowadzili – zrelacjonował stworek.

– Pieczemy ciasto? – ucieszyły się skrzaty.

Zawsze, gdy jakiś niepomny niebezpieczeństw gagatek zapuszczał się do Truskawkowego Lasu wujenki Anieli, urządzano wielkie wypieki.

– A no… – mruknęła kobieta, przecierając senne wciąż oczy. – Po śniadaniu nazbierajcie jabłek. Tylko nie takie twarde guguły co ostatnio.

Rzuciła im przenikliwe spojrzenie. Jeden, zwany Guziczkiem, zarumienił się, naciągając kapelutek na okrągłą twarz.

Zasiedli do stołu. Aniela, Domownik, trzynaście skrzatów i Kłobuk. Brakowało Stracha do kompletu. Zajadali pieczywo posmarowane miodem lub powidłami, siorbali śmietanę, mlaskali. Jedynie Domownik niczego prócz śmietany nie ruszył. Zwykle tak się działo, gdy Aniela zapowiadała ciasto. Na co wszak zapełniać się chlebem, skoro szykują się takie łakocie!

– Kłobuku, mąki nam trzeba i jaj. – Pogłaskała czule gładkie, obsydianowe pióra. Ten spojrzał na staruszkę, przekrzywiając łebek. Zagulgotał rozkosznie i wyleciał przez komin, rozsypując wokół paleniska nieco sadzy.

W tym czasie orszak Skrzatów udał się do sadu. Drzew w nim było co niemiara! Jabłonie, grusze, śliwy, wiśnie i mirabelki. Znalazło się nawet kilka krzewów agrestu, jeżyn oraz malin.

Dawno temu, gdy Aniela była jeszcze dzieciaczkiem, ojcowizny nie porastał las. Sad za chałupką posadził jej prapradziad, natomiast na polach wokół hodowano truskawki. W końcu rodzice zmarli, zostawiając dorosłą już wtedy córę na gospodarstwie. Aniela wyszła za mąż za pracowitego, dobrego chłopaka, Antka. Razem dbali o ziemię, do czasu…

Wojna zabrała Antka, zostawiając kobietę samą. Gdy żegnała męża, nie wiedziała jeszcze, że jest przy nadziei. Nie dane jej było jednak obdarzyć dziecko miłością, którą tak skrzętnie pielęgnowała. Chłopiec przyszedł na świat zbyt wcześnie. Bez życia. Nie pozwolono Anieli go ochrzcić, co za tym szło, nie mogła pochować syna na cmentarzu. Urządziła mu skromny pochówek, zakopując martwy płód pod progiem domu. Popadła w

rozpacz. Zaniedbała pole i sad, na które wdarł się las. Gadano, że oszalała. Siedem lat minęło. Żal ją pochłonął. Widziała w wyciągniętych, pomocnych dłoniach kpiące współczucie. Odcięła się od ludzi. Dom był już niewidoczny, osłonięty drzewami, gdy na jej progu pojawiło się czarne, pokraczne pisklę, lgnące doń jak dziecko do matki.

Kłobuk dorastał, znosząc Anieli różne dobra ze wsi. A to worek mąki, a to kosz jaj, bądź kankę mleka. Znajdował leśnych kolegów, spraszał pomocne demony, coby ulżyć matce w domowych obowiązkach. W końcu całkiem zaczęła stronić od świata jak od morowego powietrza, nie mając najmniejszej potrzeby wychodzić chociażby do sklepu. Ludzie głowili się nad tym, jak to sama sobie radzi. Chodzili nieraz, by służyć pomocą, jednak ona tego nie potrzebowała. Przeganiała każdego, kto na jej podwórze wszedł. Tak zaczęły rodzić się pogłoski, że wiedźma, że dziwaczka, że upiory i demony się u niej gnieżdżą… Nikt jednak plotek potwierdzić nie zdołał. Choć nieraz milicja przychodziła doń w sprawach zaginięć, nigdy niczego u niej nie znaleziono. Ot, stara wariatka na odludziu.

Gdy czarny kur przyniósł składniki na placek, zabrali się do pracy. Część skrzatów przesiewała mąkę, kolejne obierały słodkie jabłka. Aniela ucierała masło z cukrem i jajkami. Było jeszcze grubo przed południem, gdy w chacie zaczął unosić się apetyczny, pobudzający ślinianki zapach.

Zawinęła ciepłe wciąż słodkości w ściereczki, do koszyka włożyła flaszkę mleka, kubeczki, talerzyki i ostry jak brzytwa nóż. Na głowie zawiązała kwiecistą chustkę. Wyszła z chaty i ruszyła wąską ścieżynką, a wszystkie duszki podążyły za nią. Skrzaty gwizdały radośnie, a Domownik wlókł się w tyle, powłócząc powoli krzywymi nogami.

Dotarli do miejsca w centralnym punkcie lasu, gdzie przebywał kolejny przyjaciel wujenki Anieli. Leszy, wyglądający jak bardzo stary dąb, spojrzał na kobietę oczami wielkimi jak ptasie dziuple. Zaskrzypiał i zrobił krok w tył, odsłaniając dziurę, z której zionęła czerń. Z czasem korzenie, prowadzone przez leśnego opiekuna, utworzyły kręte schody w głąb ziemi. Kobieta nachyliła się nad dziurą.

– Hej-ho! Świeczki! – zawołała, a głos odbił się echem w mrocznym tunelu.

Po chwili na dnie ukazało się blade światełko, a staruszka ruszyła po nierównych stopniach na dół. Potem podążyła krętym tunelem, by na końcu wejść do wysokiej groty, której ściany w blasku Świeczek lawirujących w zatęchłej przestrzeni mieniły się czerwienią.

Dwóch siedziało dygocąc, wklejeni w ścianę. Jeden leżał na środku, w ciemnej, mokrej plamie. Z rany na głowie już przestała sączyć krew, a ciało zastygło w zimnym bezruchu.

– Oj, bidoki… – westchnęła, wymijając ciało. Stanęła obok Stracha, który sterczał nad jęczącymi ze strachu chłopcami. – I na co wam było tu przyłazić?

Wyciągnęła z koszyka ciasto i mleko. Postawiła na skale przed nimi. Świeczki wirowały pod sklepieniem, rozświetlając pomieszczenie, w którym piętrzyły się sterty kości. Chude szkielety małych ludzi zalegały w każdym kącie, a były ich dziesiątki.

Skrzaty, kryjące się do tej pory w tunelu, podeszły powoli do martwego Tomka. Szturchnęły go patykami, upewniając się, że już się nie ruszy.

– Zjedzcie. Nabierzecie siły. – Choć mówiła łagodnie i spokojnie, chłopcom zdało się słyszeć w jej głosie coś na kształt groźby.

Nie tknęli przyniesionych słodyczy. Płakali widząc chmarę żarłocznych chochlików w zielonych strojach, skaczących po bladym ciele ich kolegi. Domownik pochylił się nad nim, uśmiechnął szeroko, ukazując przerywany szereg ostrych kiełków. Pazurem długim jak jego palce i ostrym niczym żyletki zrobił nacięcie w jego brzuchu. Edek krzyczał. Chudy zwymiotował. Demon wraził łapsko wewnątrz i wyciągnął sznur jelit, rozbryzgując nieco krwi wokół. Choć ostygł i tak był dlań smakowitym kąskiem. Wciągnął flaki jak makaron spaghetti i oblizał się z zadowoleniem. Skrzaty gryzły mięso, walcząc między sobą o najlepsze kawałki.

Aniela patrzyła z czułością na przekomarzające się stworki, nie zważając na szlochanie i rozpaczanie pozostałych przy życiu dzieci. Westchnęła ckliwie, widząc radość małych duszków i starego towarzysza. Obok Strach podskoczył, stukając patykowatą nogą o skałę. Wujenka spojrzała na przyjaciela, który kiwał się nieco już zniecierpliwiony.

– Już, już… – uspokoiła go. Odwróciła się tyłem do chłopców i przyklęknęła przy ciele.

Chudy wypatrzył nóż sterczący z wiklinowego koszyka. Stróżka potu spływała mu po skroni. Drżał, jednak mimo strachu wiedział, że teraz jest jedyna okazja. Rzucił się do kosza. Chwycił drewnianą rękojeść i wtem wszystkie skrzaty uniosły nań swoje umorusane krwią łebki. Warcząc i charcząc rzuciły się na chłopca. Szybkie i zwrotne niczym zające, dopadły go, gryząc po kostkach i unikając ostrza noża. Zajadle broniły swojej opiekunki, która niewzruszona, zakasała rękawy.

Edek dygocąc poczołgał się do kumpla, usiłując mu pomóc, jednak bezskutecznie. Coraz więcej piekących, krwawych ranek znaczyło ich kończyny. Świeczki opadły spod sklepienia, okalając ich, jaśniejąc i oślepiając.

Wujenka wsadziła rękę aż po sam łokieć pod żebra truchła. Pogmerała, chwyciła i w końcu wyciągnęła zastygłe w bezruchu serce. Strach skakał radośnie.

Chudy padł krzycząc z bólu, gdy skrzaty, kawałek po kawałku odgryzały mu stopy i wyłamywały kostki.

Staruszka wstała, sapiąc przy tym z wysiłku. Wolną ręką rozpięła koszulę kamrata napiętego z ekscytacji. Pogrzebała w lewej, słomianej piersi i wyciągnęła z niej mały, sczerniały, zasuszony ogryzek, który odrzuciła na bok. W jego miejsce wsadziła świeże serce. Zapięła czerwonoczarną flanelę. Strach zamarł. Dało się słyszeć z jego wnętrza coś na kształt szumów, szmerów i szeptów.

Edek patrzył skamieniały na latarnię, która nieprzerwanie dyndała na patyku demonicznej istoty. Widział, jak coś wewnątrz zaczyna migotać. Zimne światło stawało się coraz jaśniejsze, aż oczom chłopca ukazała się nowa Świeczka.

Chudy stracił przytomność, wypuszczając z dłoni nóż. Nogi wieńczyły krwawe kikuty pozbawione stóp.

Aniela oblizała rękę z czerwonej posoki. Chwyciła nóż i uśmiechnęła się czule do otępiałego Edka.

– Widzisz, bidoku… – przechyliła głowę na bok. – Trza było nie ciątać się po cudzym lesie.

KONIEC

III MIEJSCE

ANNA KOKOT-NOWAK

Awaria Szpuli Czasu

Nikt nie wie, co sprawiło, iż odtąd już nic nie było takie samo. Jedni mówili: „Drzwi! To na pewno musiały być drzwi!”. Byli jednak i tacy, co upierali się: „Nie, to na pewno przeciąg! On to spowodował!”. Część ludzi twierdziła, że to pewnie krok kogoś nierozważny albo poluzowanie paneli przy listwie przypodłogowej. Jakby nie było, odtąd nic już nie działo się tak, jak dawniej. Źle otwarte drzwi, przeciąg, krok jakiegoś człeka czy poluzowanie paneli sprawiły, iż zakopana ongiś przy progu domostwa kłobuckiego stara duszyczka jakiegoś płodu prastarego, nagle ożyła i mącić okrutnie poczęła. Wnet przypomniała sobie, iż jest przecie słowiańskim kłobukiem – demonem ogniska domowego i nie przystoi jej dostojne zachowanie oraz nabożność jaka. Harcowała, aż Pagóry Kłobuckie trzęsły się w posadach, podskakiwały jak gotujący się na gazie kipiący garnek, siejąc strach wśród okolicznych mieszkańców. Babcinki mdlały, pannice na wydaniu wydawały dźwięki podobne do kakofonii popsutych, rowerowych trąbko-piszczałek, młodzieńcy na przemian to sinieli – to bledli na twarzach, odrywając swoje przerażone oczy od ekranów smartfonów, mężczyźni w sile wieku zwijali się w gargantuiczne znaki zapytania, nic z tego nie rozumiejąc. Nawet uruchamiana naprędce przez mieszkańców okolic wyszukiwarka Google nie przynosiła odpowiedzi na pytanie co się dzieje, Wikipedia też milczała jak zaklęta, lokalni influencerzy streamingowali tylko biały szum.

Hopsasa! Dylu–dylu, kłobuk uwolniony z przypodłogowej trumienki dziejowej tymczasem hałasował dalej. Jeszcze mu było mało, jeszcze chciał napsocić i nabroić, namącić w zwojach mózgowych zastrachanych ludzi, nakarmić się ich obawami i lękami, wysycać się ich trwogą. Tak długo w końcu tkwił w pułapce hibernacji, duszyczka mu się przez to zniekształciła kapeczkę, zdeformowała odrobinkę, krzywa jakaś taka zrobiła i niegodziwa ździebko. A on hedonista przecież i złośliwiec okrutny. Humor chciał sobie kłobuk poprawić, na karuzeli szaleństwa pokręcić się aż do pierwszych mdłości. Niech Pagóry Kłobuckie tańczą kankana, niech Biała Oksza przypomni sobie kroki Zorby – czyli taniec sirtaki, a Czarna Oksza opanuje kroki tańca zbójnickiego. Niech tną hołupce, iskry tancerzom niech lecą spod rozognionych stóp, puls niech przyspiesza do poziomu cielesnej eksplozji obłędu.

Wiwat aberracja! Wiwat demoniczne podskoki i diabelskie wywijańce! Słyszycie to pukanie? To dźwięk czarciego kopytka, uderzającego z impetem o podłogę. Jesteście w stanie muszlą ucha wychwycić odgłos jakby pęku sznurów uderzających o ziemię? Taki dźwięk wydaje kręcący się jak fryga czarci ogonek. I tak się wije, tak pląsa bezwładnie, tak skacze wysoko, aż się kłobuk o podszewkę rzeczywistości potyka i pod nią ląduje. A wraz z nim przerażone, zdumione Pagóry Kłobuckie przewracają się na nice, wyłuskując swoją bytność z niecki doczesności XXI wieku.

I stało się… Oto Wielka Szpula Czasu zwijała się z zawrotną prędkością. Kłobuk kręcił przecie nią jak szalony! Przemijały lata, stulecia – fruuuuuu! I już ich nie było! Towarzyszyły temu szalonemu wirowaniu rześkie furkoty, zamaszyste poszumy. Dalej, byle dalej! – długa, zwijana nić zdawała się nie mieć końca, wydawało się, że nie ubywa długiej nitki. Momentami Wielka Szpula Czasu zatrzymywała się, jakby chciała zaprezentować oszołomionym widzom swoje majestatyczne cielsko. Trzon szpuli nieruchomiał, trwał – całą swą mocą i z jakimś dostojeństwem. Może czekał na hołdy oddawane przez swych poddanych, oznaki służalczości i zachwytu? Bywało, iż nici owinięte na szpuli zdawały się wręcz olbrzymieć, ogromnieć niezmiernie, puchły w oczach. „Cud to jaki, czy dziwadło jakie insze? A czy to wiadomo w ogóle?” – zastanawiali się mieszkańcy Kłobucka. Ludziska nie widzieli jeszcze takiego widowiska nieziemskiego, więc stali i się dziwowali. A nuż jeszcze co inszego obaczą?

I doczekali się, oj doczekali… Naraz ludzie w Kłobucku w połowie XVI wieku się znaleźli. Ach – i cóż to? Skąd taki gwar, harmider niemożebny? Zwierzęta rżały, prychały, chrumkały i skrzeczały, tłum pokrzykiwał. Toż to chyba… Tak, to słynny jarmark św. Małgorzatki. Zatem być musiał i 13 lipca! Choć przecie w roku jeszcze dwa inne jarmarki wówczas organizowano. Ale ten najwspanialszy – w samym rozkwicie lata przygotowywany. Ależ kłobuk rozochocony zaszalał z tym zwijaniem wieków na Wielką Szpulę Czasu! Prawie to przecież niemożliwe, takie widoki oglądać pradawne, zapachy minione wciągać w ciekawskie nozdrza, kurzem się okadzać ówczesnym. Mieszkańcy Kłobucka XXI wieku z niedowierzaniem rozglądali się wokół siebie. Niektórzy jawnie szczypali się w policzki, by obudzić się z tego snu, jaki u siebie podejrzewali, ale na nic to się zdało: wciąż widzieli przed sobą światy dawno minione. Co młodsi zerkali na ekrany swoich smartfonów, ale te pozostawały czarne. Nie tylko zasięg straciły, wszelką moc, ale zaczęły przypominać w dłoniach garstkę popiołu, co to nic nie znaczy i zaraz go wiatr rozwieje na cztery strony świata. Jednak większość przywiedzionych tu przez kłobuka ludzi, szybko i z zachwytem zaczęło podziwiać osobliwości jarmarku św. Małgorzaty.

Bo też cudów tu było co niemiara! Kolorowe spódnice dziewek pięknolicych błyskały z każdej strony jarmarku, fruwały jak barwne, egzotyczne ptaszyska z jakiś krain zamorskich, dalekich, obracając się przy tym ze swoimi właścicielkami na wszystkie strony. A ile przy tym było zamieszania, ile popiskiwań niewieścich! Bo ta czarnulka z gibką kibicią chciała jakie cuda zobaczyć, inna ku dziwacznościom lokalnym oczy swe wyrywała, a podskakiwała przy tym, a szczebiotała! Nie dało się od niej oczu oderwać, taka była prądami wewnętrznymi podszyta, takim wigorem młodzieńczym! Wydawało się wręcz, że obcasikami iskry krzesze, piersiami wyrzuca kule mocy nieziemskich. Była i jasnowłosa pannica wśród spódnic kolorowych, która chyba wszystkie męskie gałki oczne w okolicy więziła, taka z niej ulatywała pasja gorąca do żywota ekscytującego, do nietuzinkowości jakiej. Ach, jakie ona miała siły pod spódnicą zadziorną ukryte, toż to się żadnemu z ludzi pewnie jeszcze nigdy w noc duszną i parną nie śniło.

Dzieciaczki taplały się w kałużach błota. Nurzały swe lniane koszulki, szyte przez cierpliwe dłonie mateczek, w brudnym smarowidle i zdawały się być tym zachwycone. Nikt ich nie upominał, by wnet wyskoczyły z tych paciek błotnych, z tych mazi potwornych, rodzice pilniejszymi widać sprawami byli zajęci. Trzeba przecie handlować, sprzedawać i kupować! Ot, mus jest, by worek mąki załatwić – w końcu w Kłobucku dwa młyny dwukolne w tych latach pracują na stawach. Oba mieliły nieustępliwie, dzień po dniu: jednym kołem mąkę na chleb dla spożycia ogólnego, a drugim – słód na piwno miejscowe i gorzałkę akuratną.

Mieszkańcy Kłobucka współcześni oczu nie mogą oderwać od tych widoków niezwykłych. Ileż to się dzieje na takim jarmarku! Pannice strojne – w powodzi czerwonych korali przebierają niecierpliwymi dłońmi, potrząsają nowymi wstążkami i zapinkami. Ich emocje krążą ponad jarmarkiem jak dzikie ptaki, co jakiś czas podrywając się z głośnym okrzykiem w górę, do lotu. Kury trzepoczą rozpaczliwie skrzydłami w ciasnych klatkach, dziobią się histerycznie, ze strachu tracąc kontrolę nad fizjologią. Konie w pozornym spokoju posilają się owsem, ale ich poruszające się miarowo ogony zdradzają, że i one wyczuwają podskórne szaleństwo miejscowego handlowania.

I naraz chichot słychać jakiś nieludzki, ni to do demonów należący, ni to do szatanów. Słuchajcie, kłobuk się poroniony śmieje! To nic dobrego wróżyć nie może. Rzeczywiście… Szmaty jakieś lepkie od brudu jegomość z wielkich klatek zdejmuje i swoje cudeńka okrucieństwa pokazuje gawiedzi. Ależ się ludziska gapią, oczami przyklejają się do widoków niecodziennych, gęby ze zdumienia szeroko otwierają, uzębienie pokazując niepełne, pieńki zębów czarne, a smrody ich z ust całe powietrze wnet zdają się skażać. A w klatkach

dziwolągi jakieś poupychane, potworki osobliwe. „Ludzie, ludziska! Co to będzie, co to będzie?” – drze się tymczasem jegomość w szpiczastym kapeluszu maga i spektakl swój zaczyna. „Tegoście jeszcze nie widzieli, patrzcie zatem prędko, patrzcie, póki te dziwy są przy was, z wami! Spać potem nie będziecie mogli z przerażenia, takie czarcie pomioty zobaczycie!”. Przez pręty klatek oczy zaś jakieś spoglądają, ale całkiem obojętnie. Oto w jednym z ciasnych, zamkniętych kojców, jakaś postać zamotana w śmierdzące szmaty siedzi, tłumoczek jakiś brudny do piersi przyciska. Baba to chyba, ale czarne wąsy i brodę paskudną na twarzy wyhodowała. A dziecko jej w beciku też jakieś do innych dzieciaczków niepodobne. Jakby się dobrze przypatrzeć, to pomarszczone straszliwie, buzię ma jak gębę starca. Zaraz też płakać okrutnie zaczyna, a matka wciska mu w usta pierś, w strupach szpetnych i plamach. Patrzą gapie tamtejsze, ten i ów pluje z obrzydzeniem, słowa przeszywają powietrze szkaradne i wulgarne. Kłobuk się zaśmiewa na całego, rechocze długo i szyderczo. Zaraz też inną klatkę wskazuje, a tam zroślaki w wiklinowym koszyku siedzą. Niebożęta tułowia mają swoje, ale tylko jedną, wspólną parę nóg, szeroko rozstawionych. „Oto, panie i panowie, bliźniaki – nienormalniaki! Podejdźcie bliżej i obejrzyjcie dokładnie to brzydkie stworzenie, do niczego przecie niepodobne! Ni to człowiek, ni to zwierz, zatem od diabła pochodzi i na jego usługach przebywa! Patrzcie i brzydźcie się, oczami przewracajcie, z niedowierzania kręćcie głowami! W życiu możecie już więcej takiego potomka demona nie zobaczyć!”. Kłobuk tymczasem śmieje się gdzieś nad maga głową ironicznie: „Toż to moje dzieciątka – psychopaciątka przecie! Kosi, kosi, łapki, wyrosną zaraz na was kwiatki!”. Jest jeszcze w jednej klatce pies o pięciu łapach, a w wielkim słoju - wąż o dwóch głowach. „To efekt policefalii!” – myślą teraźniejsi ludzie, zwinięci tu ze współczesności na nitce Wielkiej Szpuli Czasu. „To pomocnik Lucyfera!” – drżą ówcześni mieszkańcy Pagórów Kłobuckich. Zaraz też przybysze z doczesności, piewcy realizmu i doktryny rozumu, próbują wyjaśnić tamtejszym ludziom zabobonnym, iż to nie szatańskie twory i potwory, nie dziwadła i szkaradła, ale zwykli ludzie i zwierzęta, tylko w ich ciałach genetyka się nie całkiem popisała. Ale jednakowoż i oni tak samo czują jak inni, zranić można bardzo dotkliwie ich psychikę kruchą.

Kłobuk jednak rączo skacze ku korbce Wielkiej Szpuli Czasu i jak szalony nią kręci. Wiruje w powietrzu długa nitka, zakręcają się ciasno na trzonku szpuli kolejne lata i wieki. Gdzie nitka taniec swój wywijaniec zatrzyma, w środku jakich czasów mieszkańców Kłobucka nowoczesnych postawi? Och, oto i korbka zahamowała ostro, zarzuciło ludzi na boki, coś znów zafurczało i zapiszczało. Mędrzec jakiś dostojny ich oczom się ukazał, w szaty ubrany godne, spoglądający na nich wzrokiem jasnym i uważnym. Wnet zrozumieli, iż mają

przed sobą samego Jana Długosza, kronikarza i historyka, który przecie kościół świętego Marcina i świętej Małgorzaty w Kłobucku remontował, w latach 1434 do 1448 był tam nawet proboszczem, w roku 1476 ufundował zaś zespół klasztorny kanoników regularnych zacny. I jeszcze pozostawił po sobie w skarbcu między innymi kielich z herbem Wieniawa, ornat, kroniki różne, relikwie oraz obraz Matki Boskiej Kłobuckiej. I zrozumieli niewolnicy kręcącej się korbki (wciąż w ręku kłobuka), że cofnęli się w czasie jeszcze dalej, do XV wieku.

Uczony Jan Długosz, nawet jeśli go dziwią ich miny nietęgie, ubrania nietutejsze i słownictwo jakby obce, zbyt dobrze jest wychowany, by zwracać na to publicznie swoją uwagę. Gestem daje znać, by ludzie zasiedli na dworze, wokół kłobuckiego kościoła i zaraz wykład pouczający im wygłasza, jakby na ambonie osadził się w myśli: „Nie dotykaj zła, bo purchawką ohydy strzeli ku tobie, zbałamuci cię, splugawi, krwi ci napsuje, zohydzi ci żywot wszelki, że już jeno będziesz szukał mocnej a nisko wiszącej gałęzi, by życia na niej dokonać w konwulsjach niegodnych i wstydzie wydzielin fizjologicznych, znaczących ciemnymi plamami twe ziemskie odzienie. Rad bym ci powiedzieć, byś złych mocy nie tykał nawet małym paluszkiem, nie spoglądał na nie ciekawską źrenicą, nie badał wzrokiem głodnym atrakcji jakiejś, nie nawoływał w znudzeniu (letnim, leniwym popołudniem). Bo złe przyjść może nawet nieproszone, niewyglądane, nienagabywane. A jak sobie kogoś upatrzy, to tak długo będzie koło niego chodzić, tak się naprzykrzać, tak wabić i nęcić, aż upatrzony kąsek sam wpadnie mu z okrzykiem zadowolenia w łapska chciwe, w szpony drapieżne. I co potem poczniesz człowiecze, marny cielesny pokrowcu na kości rachityczne, pojemniku na płyny fizjologiczne, pucharku na szpetne myśli i uciążliwe nałogi, co brukają twą duszę przez życie całe i nigdy nie mają cię dość?”.

Tu Jan Długosz przerwał wywody swoje i na kłobuka surowo popatrzył. Skurczył się jakoś w sobie demon, jakby go pokropił święconą wodą, ale wszedł w ciało zmokłej kury i gdacząc wściekle, nieopodal słuchaczy skubał trawę zieloniutką. Długosz tymczasem wątek swój kaznodziejski dalej rozwijał: „Omijaj człowiecze zatem złe patrzałki, oczy co śledzą cię dzień cały i nockę niejedną, co ci się przyglądają niby robakowi pod mikroskopy uczonych włożonemu, pincetką popychanemu, poszturchiwanemu, nakłuwanemu. Takie oczyska przybiją cię do słupa kaźni bolesnej nawet za niewinność, będą tylko wyglądać twej marności i boleści, twych lamentów głośnych a daremnych, twego rwania sobie resztek tej ludzkiej sierści z głowy, twojego szarpania na sobie odzienia wynędzniałego. Omijaj złe języki, bo one wiją się w ustach okrutnych jak węże jadowite, co to jadem strzelają i gotowe jeszcze połknąć cię w całości, jak posiłek przygodny. Wklepują one w podniebienie bajdy zupełne,

plotki wymyślone, cierniowe słowa obmowy i oczerniania. Wirują jak podrażnione trzmiele we wnętrzach jap gadatliwych, świstają z animuszem i ślinę ohydną, klejącą się – tylko obrzydle wokół siebie rozbryzgują. A na kogo taka ślina spadnie, na tego bęc! Nigdy już taki świata zwykłego nie doświadczy, tylko będzie przestawał z wszelkimi nędzami tego świata, zniewolony w ponurych lochach kłamstwa, labiryntach oszustw. Biada ci, człowiecze, biada! – Jeśli na złe języki natrafisz, to one jak wiertarki demonów duszę ci ludzką z ciała wywiercą, wyssają jej resztki z twego wnętrza jak smakołyk jaki przedni, deserowy. A pamiętaj, iż wyliżą ci ją do czysta, ale całkiem pozornego – zda się, że duszyczka czyściutka jak perfekcyjnie uprane prześcieradła sołtysowej, a tu ona jeno w strzępach wypatroszona, podeptana ciężkimi buciorami szatana, ze śladami bieżnika opon pojazdu samego Lucyfera. Strzeż się człecze, strzeż! Ani się obejrzysz, jak zło wgryzie się ci niczym kleszcz pod skórę, zatruwając cały organizm. I na próżno będziesz wtedy wołał o ratunek, na próżno ręce trwożliwe ku pomocnikom jakimś wznosił, na próżno trząść się będziesz cały w wielkiej panice. Toż wtedy nic ci już nie pomoże, nic, jeno śmierć litościwa, byle szybka była, niezwlekająca ni minuty, ni sekundy. Tylko taka kostucha, z wszystkiego doczesnego wydrążona, przynieść może ci ratunek jaki. Podarunek taki oto dać ci zdolna: wieczność doskonałą!”. Długosz przerwał swe morały i w niebo się zapatrzył, jakby je w zachwycie kontemplować zaczął. Nagle się jednak z energią niebywałą zerwał, płaszcz na plecach poprawił i krzyknął do współczesnych przecie podróżników z Kłobucka nowoczesności: „Zaraz wam, jegomoście, coś pokażę!” – I zanim się kłobuk zorientował, zanim w postaci zmokłej kury podbiegł do Wielkiej Szpuli Czasu, gdacząc histerycznie, Długosz chwycił za korbkę i nitkę zaczął rozwijać. Furczało? A jakże! Świstało? Jakże by inaczej być mogło!

I nagle gawiedź spostrzegła, iż we wnętrzu pałacu w Kłobucku – Zagórzu stoi, a uczony gdzieś ich w ciemności prowadzi, ostrożnie kroki stawiając. Wnet się znaleźli w jakimś pomieszczeniu odmiennym, jakiego wcześniej nigdy w tym miejscu nie widzieli. Przypominało laboratorium czarnoksiężnika. Pełno w nim było naczyń w kształtach najróżniejszych, woni ostrych, do utraty zmysłów prowadzących, buchały zewsząd jakieś pary i opary. Z nicości wydobył się i alchemik w aksamity drogie spowity, gładzący z namaszczeniem swą czarną, spiczastą brodę. Kapelusz maga na głowie poprawił, chrząknął nieznacznie i pichcić zaczął jakieś mikstury, warzyć jady, może wciąż kamienia filozoficznego poszukując. W tym czasie Jan Długosz znów zwrócił się do swych słuchaczy z lat następnych, udając, iż nie dostrzega ich nerwowego macania się po kieszeniach. Oni tymczasem, widokami niecodziennymi zdumieni, sprawdzali czy ich smartfony wciąż są nieczynne. Fotek chcieli narobić, bo kto im tam w doczesności uwierzy, że takie dziwy

widzieli? Niestety, ekrany komórek wciąż były czarne jak niepokojąca, kołysząca się złowrogo broda maga, manipulującego przy odczynnikach i toksycznych wywarach. Tymczasem Długosz kontynuował kazanie, nie bacząc na ich poruszenie: „Unikaj głupiutki człecze laboratoriów, gdzie zło wytwarzają wśród eksperymentów chemicznych, wśród buchających kłębów czarnej pary, jazgotu demonów i ryków piekła całego. Unikaj magów alchemii, czarownikami czasem zwanych, co to *hokus-pokus* i *abrakadabra* częściej niż pacierze zbożne odmawiają, mamrocząc coś pod nosem niezrozumiale, wstrętnie się przy tym wykrzywiając. Trzymają oni w fiolkach preparaty niebezpieczne, oddechy ropuch magazynują, pajęczyny tłuste, cmentarne zbierają – czasami nowocześnie je nawet liofilizując. W szufladach pełno mają kocich wibrysów i kasetek z morowym powietrzem, lochy ich pełne ohydy najobrzydliwszej, jaką tylko na tym i innym świecie zdołali wyszukać. Strzeż się człecze ich zaklęć szeptanych w nocy o północy, ich krogulczych paznokci, którymi mogą wyciągnąć ci duszę przez nozdrza, długich rękawów szat aksamitnych, w których wnętrzu po siedem plag magazynują. Strzeż się kapturów ich płaszczy demonami podszytych, w których wnętrzu legion szatanów w kucki siedzi i na okazję czeka, by kogo za głupotę ułapić i do swej ferajny dołączyć. Na wieki wieków do piekielnej, cuchnącej zupy dorzucić, niczym jakie woniejące nieziemsko, wschodnie przyprawy z arabskich suków, czyli targów różności”.

Kronikarz zdyszany tchu zaczerpnął i dalej perorował z zapałem: „Unikaj głupiutki człecze tych laboratoriów magów alchemii, faszerowanych zapachami wszelakimi, po których szklane buteleczki i flaszeczki z różnymi barwami cieczy są poupychane, a złe, podstępne myśli chodzą za tobą jak tresowane pieski. Tam szalki wagi kiwają się dziwacznie, mogą cię zważyć na życie, mogą cię zważyć na śmierć. Tam coś kopci, dymi, strzela iskrami, syczy i trzeszczy. Nie daj się zwieść sznytami pozornej nowoczesności, tym architekturom wymyślnym, słowom jakby wykrojonym skalpelem ze słownika innych światów i cywilizacji, podbitym gronostajami królewskimi, inkrustowanym pozłotką i błyskotką. Bądź czujny, uważaj na duszę, którą tak nonszalancko, nieuważnie dzierżysz w delikatnym, nietrwałym kielichu swego ciała. Ostrożnie stawiaj kroki, bacz – czy przed tobą ziemia się nie rozwiera szeroko, czy pod nogami ci szpara nie wyrasta – pęknięty liszaj ziemi, który chciałby skonsumować cię do ostatniej kosteczki, a potem wulgarnie beknąć z przejedzenia i owionąć twoje zakrwawione resztki cuchnącym, przetrawionym oddechem. Pamiętaj jednak i taką prawdę: Zło tylko czasem jednak buźkę ma szkaradną, jak pieczony łeb świniaka zwęgloną, wyszczerzoną okrutnie. Aż takie bezmyślne to nie jest i może wiedzieć, że ty na taki image zła nie polecisz szybciutko, nie dasz się złowić prędziutko w jego sieci lepkie, gorącymi,

toksycznymi sokami strzelające. Podejrzewać może, iż na to ździebko za mądry jesteś, za podejrzliwy, nieufny kapeczkę. Inaczej cię tedy wabić należy, z innej strony osaczać, pisać ci na sercu odwrócone litery alfabetu grozy, kazać ci się przeglądać w zwierciadle, które pokazuje nie twoje zewnętrzności, ale wnętrze. Już ci szatani sobie z tobą poradzą, pewnym być tego możesz! Już oni znają sztuczki takie, o jakich ci się nie śniło. Prowadzić cię tedy będą na sznurku swego zamysłu, pomyślunku wrednego, jak jakąś drewnianą, bezwolną marionetkę, wystruganą z własnych zamierzeń. By duszyczkę twą wyłuskać z ciała – jak czekoladową pralinkę, wszelkimi posłużą się sposobami – osobami, w zależności od tego, co na ciebie zadziałać może. Nie bój się! Już oni lepiej cię przecie znają, niż ty sam! Już oni o tobie wszystko wiedzą, przewidują twoje ruchy, jak mistrzowie szach manewry pionków na planszy!".

Nie dokończył swojej przydługiej przemowy Długosz, gdyż mag tajemny nagle na plecy mu skoczył, uzdę na głowę uczonego założył i jak nie zaczął go ujeżdżać, bacikiem poganiać, ostrogami przy tym bodąc dotkliwie… Z ust mu wychodzić zaczęły robaki cuchnące, na wpół zgnite, pająki wielonogie, larwy tłuste, gąsienice włochate, pocięte na drgające segmenty, a także wszelkie inne plugastwo gadzie, jakiego człowiek sobie nawet wyobrazić nie może. I po chwili okazało się, że to nie mag jako jeździec ciała Długosza użył, ale kłobuk przebrzydły, zanoszący się śmiechem nieludzkim.

Znów dopadł kłobuk Wielkiej Szpuli Czasu i korbką kręcił, a nitka uwijała się na trzonku jak fryga, błyskając w szaleńczym pędzie to tu, to tam. Już ludzie widzieli migający im przed oczyma tekst cyzjojanu kłobuckiego z 1471 roku, z zapisanymi wierszykami – przypominajkami o terminach prac gospodarskich, dumnie wysoką Dębową Górę na Wyżynie Wieluńskiej królującą, jatki rzeźne, odważnie kroczącą postać łaziebnika miejskiego, kowali, piekarzy i sukienników, toczącą się we wrześniu 1939 roku – kilka kilometrów od miasta, bitwę pod Mokrą. Wszystko im się w oczach kotłowało, poskakiwało i mieszało.

Aż nitka Wielkiej Szpuli Czasu przestała się kręcić, zatrzymując się nagle. Siedzieli pośród zieloności wszelkiej, poza miastem rodzinnym, tuż nad brzegami Liswarty. Nie widzieli w tle ni jednego domostwa i jego obejścia, nie wiedzieli więc, w którym wieku przebywają. Żadnych znaków wokół nie mogli odczytać, ludzi tutejszych także nie było ni osóbki. Kłobuk tymczasem natrząsać się zaczął ze swoich zakładników w czasie i odgrażał się: „Nigdy już nie wrócicie do swoich czasów doczesnych! Zatrzymam Wielką Szpulę Czasu i utkniecie w tym oto międzyczasie na zawsze! To tajna szczelina czasu, nikt was tutaj nie znajdzie i nie uratuje!".

Wystraszyli się współcześni mieszkańcy Kłobucka, że im taka nieciekawa przyszłość została objawiona. Zaraz też zaczęli przemyśliwać, co tu zrobić, by los swój odmienić. Jeden z miejscowych, najodważniejszy, na kłobuckim mleku wykarmiony, naprzód wystąpił i odezwał się buńczucznie: „Ale ty kłobuku nic nie możesz z nami zrobić, boś ty przecież nie istniejesz! Wytworem umysłu nad wyraz płodnego jesteś tylko. Pozwól, że cię przekonam o prawdziwości moich przypuszczeń, a jeśli mi się to uda, korbką Wielkiej Szpuli Czasu pokręcisz i do XXI wieku nas bezpiecznie na nitce wciągniesz". Nie podobało się kłobukowi owe ultimatum, ale że pewny był swego zwycięstwa, zgodził się na takie układy. I zaraz mężczyzna mężny usta otworzył i prawić zaczął jak nakręcony. Gaduła był to bowiem miejscowy, uroczy grafoman, który wyrzucał z siebie słowa jak pociski: „Nie istniejesz, kłobuku, bo ty z nieistniejących światów pochodzisz! Bajaniem jesteś tylko, tworem wyobraźni, historią sczezłą… Należysz do czasów bezpowrotnie minionych. Co kiedyś nowoczesnym się jawiło? Śmiech ogarnąć człeka może pusty! Pobrechtać się można tylko i zęby jeszcze z wybuchu radości przednie wypluć… Miotła Baby Jagi z turbodoładowaniem? Kiedyś pewnie szczytem nowoczesności się wydawała. Potem może kogoś mogłaby zauroczyć miotła ładowana przez USB… A teraz to może z napędem hybrydowym? Czy już tylko ekologiczna, ładowana przy pomocy monstrualnej wtyczki? Kto za techniką nadąży… A takie bajkowe smoki? Kiedyś szalało wściekle takie coś, wszystkimi głowami majtało na cztery strony świata, ogniem ziało, ludzi rozrywało na kawałeczki mniej lub bardziej soczyste, do morału jakiego właściwego czytelników bajek doprowadzało i jakoś się to wszystko kręciło… A teraz? Kto jeszcze o smokach chce słuchać długich przypowieści? Może gdyby to były jakieś podcasty ciekawe, streamingi pomysłowe, kanały smoczne na YouTube. Baby Jagi to już w ogóle są passé. Bezzębne to jakieś takie, a tyle mają teraz możliwości dentystycznych! Licówki, koronki, mostki, protezy, a nawet implanty. Najwyraźniej wolą memłać ustami jakieś przekleństwa, śliną strzykać, papki rozczłonkowane nieomal na atomy spożywać (oczywiście ze skrzeku żaby, pajęczyny wiosennej i szpetnego pazura Belzebuba). I jeszcze ta szpecąca (a może szepcząca?) brodawka na nosie! Kto takie monstra skórne w ogóle nosi na twarzy w naszych czasach?! Ktoś przecież nienadaremno wymyślił elektrokoagulację, laseroterapię, krioterapię z ciekłym azotem - czy łyżeczkowanie w znieczuleniu miejscowym. Ostatecznie mogłaby Baba Jaga grzecznie poprosić Jasia i Małgosię, by zamiast zżerać jej domek z piernika, raczej odgryźli jej ową wstrętną brodawkę. Jeśliby zaś była gorzka i drażniąco włochata, a któreś z dzieci przypadkowo by ją połknęło podczas usuwania, może by nawet babisko ze wstrętu wcale ich zjeść nie planowało, jeno puściło wolno?".

Gaduła kłobucki tchu tylko zaczerpnął i dalej nawijał: „A co zrobić z tymi oddziałami skrzatów, bandami krasnoludków, trójkami elfów, drużynami trolli? Gniją stworzonka te mizerne w porzuconych przez dzieci książkach, nikt już o nich czytać nie zamierza. Dziecięce mózgi wolą załadowywać do swoich smartfonów nowe gry i pilnować ich *apgrejdów*, *sequelów* i *appendixów* – niż włożyć stosowny wysiłek umysłowy, by wyobrazić sobie książkowe światy. Krasnoludki są obecnie dobre tylko dla naiwniaków i opóźnionych informacyjnie autorów książek, którym się wydaje, że ktoś chce jeszcze materializować sobie w wyobraźni ich istnienie. Halo, halo! Kiedyś dzieci nawet dzieliły się z krasnoludkami jedzeniem – zostawiając dla nich kawałki kanapek z pasztetem czy najtańszym salcesonem grubości milimetra, który ich matka wystała w nocnej, wielokilometrowej kolejce lat 80. XX wieku. A teraz? Które dziecko w ogóle empatycznie pomyśli, że może warto podtuczyć jakiego krasnoludka domowego (tak na wszelki wypadek, gdyby oczywiście istniał)? Przecież żadne z nich nie podzieli się z nim nawet kawałkiem chrupiącego chipsa serowego, skąpanego w tłuszczach trans – czy butelką podkręcającego psyche energetyka! Może co najwyżej oddać mu kompocik od babci lub zdrowy soczek typu detoks, ze świeżo wyciskanych warzyw typu wege. I jeszcze gumę balonową może oddać. Tyle tylko, że zużytą okrutnie, przyklejaną po drodze co najmniej do osiemnastu powierzchni brudnych, ohydnych i pełnych bakterii. Słowem: dzieci mają krasnoludki w nosie (i może stąd te współczesne ataki alergii, leczonej maciupkimi tableteczkami i sprejami nabitymi sterydami). Książkowy świat ociupków odszedł w zapomnienie, ale jest jeszcze kraina tysiąca i jednego bajkowego audiobooka. I siedzi przez to taki krasnoludek w eterze w postaci zapisu audio, zredukowany do samego tylko głosu, zubożały jakoś, nie do końca szczęśliwy. A dziecko niby bajki o nim słucha, ale drugą wolną ręką smartfona po śliskim licu gładzi, do interakcji zachęca, dzieląc palce prawej i lewej dłoni sprawiedliwie, pomiędzy popularną strzelankę, przyznawanie lajków na portalach społecznościowych, hejtowanie kogoś na forum publicznym – a słuchanie o pożółkłych ze starości przygodach krasnoludka démodé”.

Kłobuk czerwieniał okrutnie z wściekłości na gębie, ale gaduła kłobucki nadal wydobywał pieczołowicie ze swojej krtani zdanie po zdaniu: „Czarownice już nie są nam dzisiaj potrzebne. Zresztą – faceci często mają żony (a to przecież synonim słowa czarownica). Która baba by teraz latała na miotle w tych poszarpanych łachmanach, skoro eleganckich butików co niemiara, w internecie wyprzedaże ubrań online, a nawet w szmateksach/lumpeksach/second handach (wybrać swoje ulubione słówko) -kupić można okazyjnie markową odzież w przystępnej cenie. Nawet konserwatorki powierzchni płaskich (jak się o nich eufemistycznie mówi), nie ubierają się raczej do pracy przy mopie w

poliestrowy fartuch i stare, dresowe lumpy, ale i tipsem błysną, kępkami rzęs podklejanych zamrugają, pedicure obnażą w sandałku w złote paseczki i kolankiem gołym w spódniczce dopasowanej – fikną odważnie. Dawne czarownice jeno bardziej wyzwolone się zdawały, cieszyły się zdobyczami równouprawnienia (miotły miały jednoosobowe, ciasne, ale własne, nikt im się na kij nie ładował pijany, żadnego męża nie musiały prosić o pieniądze na benzynę do baków swoich mioteł - zresztą bez wykupionego OC i AC). Polisy na zdrowie też nie kupowały w salonie ubezpieczyciela, ani tej na wypadek śmierci też nie – przecie one były w posiadaniu eliksirów nieśmiertelności! Nikt im miotły na parkingu nie zarysował, kół od niej nie odkręcił, przeglądu nie musiały przechodzić co roku, ani załatwiać sobie na miotły tablic rejestracyjnych. I GPS-u nie użytkowały, nie wgrywały do niego aktualizacji map, leciały kędy chciały, skrzecząc z uciechy jak pokręcone. A teraz mogą im w powietrzu przeszkadzać te wszystkie korytarze powietrzne, ćwiczące manewry wojskowe samoloty F-16, motolotniarze, a nawet… miłośnicy skoków bungy jumping. Dodatkowo, gdyby tak regularnie latały na tej miotle, zaraz by się jacyś obrońcy moralności odezwali i z kija je szybko wygonili, boć on przecie niestosownie ułożony między niewieścimi kolanami, dzieci na to patrzą i się demoralizują natychmiastowo, taki lot to prawie do orgii jakiej zbliżony wyuzdaniem perwersyjnym. Nie lepiej byłoby Babie Jadze jakiegoś Alladyna zepchnąć z latającego dywanu, by samej na nim tyłek czarci posadzić? Przynajmniej wilka by nie złapała od przeciągu, nawet gdyby zamiast reform cieplutkich czy jakiś pantalonów falbaniastych – tylko sznurkowe stringi pod sukmany swe wdziała. Tak dostojnie by na tym produkcie podróżowała, może by nikt jej nie nagrał smartfonem z trzeba kamerami i nie wrzucił filmiku w sieć z hashtagiem #babajagasfiksowała, by się z niej pośmiać towarzysko z innymi awatarami".

Z wściekłości nieposkromionej pęczniał kłobuk, był już nieomal jak balon, a jeszcze się powiększał niezdrowo. Gaduła nie ustawał w swej przemowie rozwlekłej: „Magiczne rekwizyty też już nikogo nie jarają. Ot, taka różdżka. Młodemu konsumentowi kultury może się kojarzyć co najwyżej z takim jednym narzędziem w programie graficznym. Lustro, które przekonuje, że jest się najpiękniejszym na świecie? Przecież młodym wystarczy teraz smartfon z najnowszą apką do sweetfotek i dziubkofotek, trochę lajków czy innych emotikonek na popularnym portalu rzekomo społecznościowym i już się sobą zachwycają, oglądając swoje fałszywe odbicie w krzywym lustrze społeczeństwa. Kije – samobije? Walnij się naiwniaku nimi po głowie! Teraz na topie są kijki do nordic walking. Czapka niewidka? Zależy jaki ma krój, jakie logo i ile kosztowała… Najlepiej, by przypominała kształtem czapkę do bejsbola i niosła za sobą bijący po oczach prestiż (kryształki Swarovskiego,

gigantyczna metka). Zatrute jabłko? E, młodzi nie lubią teraz takich niemodnych witamin. Jabłka są passé, przecież jedli je już ci pierwsi ludzie w raju. Nastolatki wolałyby raczej kolorową pastylkę – kruszynkę, z całym alfabetem aktywującym mózg. Ech, nie ma co szukać współcześnie interesujących, magicznych rekwizytów. Młode dzieciaki – pędraki mają przecież taki sprzęcik smartfonem zwany. To centrum rozrywki, które pieści i pobudza nieustannie ich zmysły wszelkie. Odpowiednik niemowlęcego smoczka – uspokajacza, a poza tym...".

Nie dokończył gaduła kłobucki swej myśli kolejnej, gdyż naraz rozległ się huk wielki i kłobuk wścieklizną myśli napędzany, spuchnięty i gigantyczny, zwyczajnie pękł… Ku niedowierzaniu ludzi z jego wnętrza wydobył się jeszcze bardziej rozsierdzony od kłobuka… okrutny Edward Lemański, dawny syn właściciela dóbr zagórskich, znęcający się nad okolicznymi mieszkańcami, powieszony przez powstańców styczniowych w roku 1863. Błyskawicznie doskoczył do korbki Wielkiej Szpuli Czasu i kręcił nią jak siłacz jakiś, manią napędzany. Krzyczał przy tym: „Jak to nie ma czarownic, magów, kłobuków, różdżek czarodziejskich i wszystkich tych rekwizytów teatru magii? Już ja wam udowodnię, że są, są, są!".

Widzieli ludzie wyraźnie, że pan możny zwariował zupełnie, fiksacją trafiony celnie, nie zamierza zatrzymać się w swych urojeniach. Kręcił korbką Wielkiej Szpuli Czasu jak demonami wspomagany, obracał nią z energią i uporem szaleńca. A czynił to wielce nierozważnie, gdyż w każdej chwili korbka od szpuli mogła się oderwać, rozpędzona zaś i rozwibrowana nić – poplątać. To byłaby historyczna katastrofa! Stulecia by się ze sobą pomieszały, ludzie różnych epok – potasowali jak pijane karty, wątki by się supłały, zdarzenia różnych dekad zazębiały. Tak być nie mogło! Podbiegli zatem do purpurowego na policzkach Lemańskiego, chcąc siłą odciągnąć go od korbki Wielkiej Szpuli Czasu, ale… nie zdążyli! Lemański zamienił się bowiem w kota, ze srebrnym hełmem - kłobukiem na łepetynce, do którego karku przyczepione było jedno srebrne, orle skrzydło. Kot miauknął szpetnie, ogonem zakręcił, tylnią prawą łapą nacisnął niewidzialny pedał gazu i pomknął prosto do najbardziej smolistej części piekła.

Podróżnicy z czasie ostrożnie manewrowali przy korbce, by na nitce historii ustawić znów aktualny swój rok bytowania. Wielka Szpula Czasu zawodziła przeciągle, darła się i wrzeszczała na manipulantów, ale nic jej to nie pomogło: zatrzymać się w XXI wieku musiała, z piskiem koszmarnym. Tak oto mieszkańcy Pagórów Kłobuckich powrócili bezpiecznie do swoich domów, przebodźcowani kapeczkę doświadczeniami dnia minionego. Nawet nie zauważyli, że nitka historii z Wielkiej Szpuli Czasu rozwinęła się całkowicie i

dzieląc się na mniejsze fragmenty, zamieniła się na powrót w atramentowe zapiski – w miejskich kronikach, annałach, foliałach, cyzjojanie kłobuckim. Korbka z kolei dość już miała zawrotów głowy od tego kręcenia się nieustannego i urwała się bezpowrotnie. Poleciała gdzieś w prawo, w roślinność bujną na terenie rezerwatu Zamczysko. A Wielka Szpula Czasu zmienia trajektorię lotu i krąży gdzieś teraz nad ojczystą ziemią swoją i szuka kolejnego miejsca, którego historię będzie mogła nakręcić na swój trzon. Proszę, uważajcie, by nie zaplątać się nicią swych losów w jej szaloną szpulę, jakby zbiegłą z lunaparku fiksacji.

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

PAULINA WOJCIECHOWSKA

Zwiastunka plag

Dziewczyna westchnęła, oglądając brudne od ziemi dłonie. Liczne zadrapania były powodem drażniącego bólu. Każdy paznokieć miał inny, niewymiarowy kształt. Otarła je leniwie o dziurawe spodnie i uklękła między grządkami. Z daleka przyglądał jej się Domarad. W prawej ręce trzymał nóż, którym odkrawał kawałki zielonego jabłka. Uśmiechnął się ze współczuciem, a chwilę później zniknął za jednym z pięciu foliowych tuneli. Wyciągnął z kieszeni bluzy polowej piersiówkę i przełknął gryzący bimber.

Był środek lata, samo południe. Godziny przy zbiorach mijały powoli. Podczas przerw na posiłek rzadko widywano rozmawiające osoby – nie było to mile widziane, usypiało czujność. Dopiero przy kolacji, po upewnieniu się, że grupa pracowników wróciła w komplecie, języki rozwiązywały się nagle, niby wykrzykując przemyślenia całego dnia i powstawał gwar tak wielki, iż własne myśli zagłuszał.

Pole uprawne ciągnęło się po wał, majaczący niczym kamfora na horyzoncie, jednak z powodu jałowej gleby i skażonej wody niechętnie dawało plony. Postawiono więc na hodowlę roślin najmniej wymagających: cebuli, marchwi i buraka ćwikłowego. W tunelach foliowych jeszcze jakiś czas temu próbowano wysiewać ogórki gruntowe, eksperymentowano z mieszaniem gleb, kątem padania światła, dopieszczano jak kochane dziecko, jednak nie przyniosło to żadnych efektów i ostatecznie konstrukcje przeznaczono do demontażu.

Folwark zajmował kilka hektarów powierzchni. Praca trwała tu przez cały tydzień – od wczesnych godzin porannych do zmierzchu, w pocie czoła. Każda grupa miała swój przydział obowiązków. Kobietom zazwyczaj przypadało gotowanie, szycie i opierunek, a jeżeli były młode – zbiór upraw lub opieka nad zwierzętami hodowlanymi. Mężczyźni odpowiadali za transport płodów rolnych do magazynu, wyrabianie narzędzi lub wznoszenie umocnień wokół gospodarstwa.

Tym żyło to surowe miejsce, a mimo to interesowały się nim nie tylko mieszkające w lesie drapieżniki. Złodziei nie brakowało – desperatów, niewidzących innego wyjścia, jak też lawirantów, próbujących sprzedać towar paserom. Nawet bowiem w dobie skrajnego ubóstwa znajdowali się bogacze, chętni zapłacić krocie za podrzędnej jakości alkohol i dębowe deski,

a w tym folwark „Dębowa Góra” się specjalizował. Lasy ciągnęły się po wschodniej stronie, wzdłuż stromych stoków, odcinając niejako to miejsce od reszty świata. Dzięki nim przetrwało ciężkie czasy, utrzymując się jako jedno z nielicznych na terenie powiatu kłobuckiego.

Transakcje przeprowadzano tylko z pobliskim Miastem. Odbywały się raz na kwartał, przy żelaznej bramie, nad którą wisiał wykuty z brązu napis: „MIASTO GŁÓWNE – KŁOBUCK”. Mur z granitu wyposażono w kamery i czujniki ruchu. Nikt nie miał wstępu bez pozwolenia Asesora, kierującego metropolią.

Sam handel był delikatną kwestią. Najmniejszy zgrzyt w trakcie negocjacji mógł spowodować wzrost cen albo ograniczenie ilości dóbr przeznaczonych na sprzedaż. Folwark pilnie potrzebował broni. W ostatnich dniach bandyci zaczęli łączyć się w grupy, coraz śmielej podchodzili do budynków gospodarczych, a ich atak był jedynie kwestią czasu.

Krasa, bez względu na wszechobecną sytuację, próbowała znaleźć jakiekolwiek pozytywy. W obliczu klęski głodu nie mogła narzekać na brak ciepłego posiłku, schronienia i dostępu do wody. Jej prycza była twarda i niewygodna, lecz przywykła do tego już lata temu. Każdego tutaj traktowano równo, nawet strażnicy nie posiadali specjalnych przywilejów; do ich obowiązków należały nadzór nad pracownikami oraz ochrona gospodarstwa. Przypadki, gdy któryś z nich nadużywał władzy, były rzadkie i szybko ukrócane z obawy przed buntem. Tylko ta cisza, rzadko przerywana pogwizdywaniem lub śmiechem, eskalowała poczucie niepokoju i wyobcowania. Wszystkich łączyła obawa przed nieznanym, czyhającym za granicami pola, na wzniesieniu. Ruiny wieży obserwacyjnej niczym zły omen kładły się cieniem na polach w ciągu dnia.

Z nastaniem zmierzchu rozbrzmiał krótki sygnał syreny alarmowej, oznajmiający koniec pracy. Ludzie wychylili się zza lirowatych liści, zaczęli zbierać narzędzia z pola, przesypywali buraki z koszy do drewnianych taczek, które co silniejsi pchali wzdłuż grządek, a w końcu wszyscy gromadnie poszli na posiłek. Kiwali sobie porozumiewawczo głowami, klepali po ramionach.

Pod magazynem, który znajdował się zaraz za wewnętrznym ogrodzeniem, często dochodziło do barteru. Wymianie podlegała dowolna rzecz: scyzoryk za pasek do spodni, szpadelek za pikownik, czy butelka bimbru za króliczą łapkę – wiara bowiem też miała swą cenę.

Krasa widziała mroczki przed oczami po całym dniu pracy w słońcu. Biała, bawełniana chusta, przewiązana wokół czoła i zapleciona pod warkoczem, niewiele pomogła. Przyłożyła wnętrze dłoni do czubka głowy – poczuła gorąc.

Snując się niczym cień, szła za resztą, równolegle do linii gęsto rosnących drzew czereśni i jabłoni. Ich pnie były pokryte wapnem. Na gałęziach, powykręcanych niczym w sennym koszmarze, rzadko pojawiał się owoc. Liście, mimo że jesień była odległa, sprawiały wrażenie zmęczonych i skurczonych w środku. Falowały lekko, jakby toczyły walkę z niewidzialnym wiatrem o pozostanie na swoim miejscu. Martwy sad.

Usiadła na ławce, przy dębowym stole, między dwiema dziewczynami w podobnym wieku. Uważnie wpatrywały się w talerze, nabierając łyżkami gęstą zupę z kaszą manną. Nad nimi rozpościerała się pajęczyna winnych pnączy, tworząc zieloną kopułę, iluzję schronienia. Wokół migotały światła oliwnych lamp. Momentami zlewały się w jedno niczym wielki świetlik. Niebo było bezchmurne, gwiazdy błyszczały, hipnotyzując do tego stopnia, że Krasa prawie zasnęła. Była wyjątkowo zmęczona, ciało odmawiało posłuszeństwa.

Poprzedniej nocy czytała książkę, którą ukradła z węglarki przy piecu i zanurzyła się w fabule aż do nastania świtu. Zastanawiała się, czy może ją oddać tak po prostu, bez konsekwencji, w to samo miejsce. Ostatecznie jednak postanowiła, że pozbędzie się dowodów swojej pierwszej zbrodni w kuchennym ogniu. Przetarła twarz suchymi dłońmi, aby odrobinę się rozbudzić.

Kolacja już na nią czekała. Sięgnęła powoli po kawałek razowego chleba i zmusiła się do jedzenia, czując narastającą migrenę.

Rozmowy trwały w najlepsze. Lederg, dusza towarzystwa, nalewał do szklanek bimbru każdemu, kto chciał spróbować jego wynalazku z cebuli. Niemłody już wiekiem, lecz odznaczający się niespotykaną otwartością brunet, szybko zjednywał sobie sympatię nawet najbardziej posępnych jegomościów. Był najlepszym łowczym, w lesie zaś nigdy nie brakowało łupów, z tego więc powodu zawsze otoczony był ludźmi chcącymi robić interesy. Młode kobiety posyłały zalotne uśmiechy, nieraz nawet dochodziło do przepychanek w łazience, by mogły jak najlepiej prezentować się przy posiłku, a gdy wychodził na zebranie z drużyną, wdzięcznie machały z okien chustami. Co złośliwsi twierdzili, że nie tylko tym.

Dziewczyna była zniesmaczona kręgiem wzajemnej adoracji. Szybko odłożyła do połowy opróżnione naczynie na tacę, odeszła od stołu i poszła prosto do kwater. Przy wejściu zatrzymał ją postawny strażnik.

– Nazwisko! – wrzasnął donośnie.

– Daj spokój, przecież wiesz… – mruknęła.

Wysoki mężczyzna w mundurze zmierzył ją wzrokiem i znacząco uniósł brew. Miał pulchną buzię, która przez brak zarostu wydawała się idealnie okrągła. Jeżeli chodzi o Wojbora, wszyscy przywykli do jego zaangażowania w powierzoną mu funkcję i traktowali z

wyrozumiałością lub przeciwnie – całkowicie ignorowali. Pewne jednak było, iż będzie chronił progu tych spróchniałych drzwi do końca swego życia.

– Parus – zreflektowała się po dłuższej chwili.

– Właź – westchnął. – Zrób coś ze sobą, wyglądasz okropnie.

– Dzięki za radę!

Przeszła przez białą sień, minęła ogromną kuchnię, gdzie na ścianach wisiały drewniane przybory i stare obrazy przedstawiające wazony z kwiatami lub pole w czasie orki. W kącie stał piec kaflowy, a obok niego w węglarce piętrzyły się kawałki drewna, chrust i słoma. Wszystko, co było zdatne do palenia.

Przeszukała każdy centymetr małego pomieszczenia. Ubolewała, że tym razem nie było żadnego woluminu. Schodami weszła na piętro i skręciła w prawo, do wąskiej łazienki. Usiadła na skraju metalowej wanny, zdjęła chustę i zamoczyła ją w zimnej wodzie. Wokół samotnej żarówki zwisającej z sufitu kłębiły się piękne, brunatne ćmy. Ich spontaniczny taniec rzucał cień na ściany pokryte jasnoszarą lamperią. Nikogo nie było w pobliżu, wszyscy bawili się przy wielkim stole. Przyłożyła zimy okład do czoła i wreszcie poczuła ulgę. Siedziała tak przez moment, wpatrując się w okno z widokiem na złowieszczy sad oraz migające w tle światła.

– Córki to kłopot… – szepnęła pod nosem.

Weszła do jednej z trzech izb i przeszła na sam koniec. Upewniła się, że opasła książka jest w miejscu, w którym ją zostawiła – miast kawałka cegły za łóżkiem. Światło księżyca padało na koc z owczej wełny. Wsunęła go pod głowę i od razu zasnęła.

W środku nocy rozbudził ją głuchy huk. Nie miała pewności, czy odgłos w istocie był prawdziwy, czy tylko wycieńczony umysł płatał jej figle. Podniosła na chwilę powieki, było całkiem ciemno – ktoś zasłonił okno. Teraz siedział przy łóżku z głową wpatrzoną w sufit, bezdźwięcznie wypowiadał słowa, a dłonie miał złożone do modlitwy.

Odwróciła się w stronę ziemnej, ceglanej ściany, na której wisiał plakat przedstawiający statek turystyczny „Sroka”, obwieszony milionem kolorowych lampek, wypływający w swój pierwszy rejs po Odrze.

– Niech cię słońce spali – rzuciła, mocniej wtulając głowę w prowizoryczną poduszkę.

Rano nie mogła otworzyć oczu, zaszły ropą, a głowa wciąż pobolewała.

Ludzie ustawiali się w kolejce do łazienki, gdzie mogli obmyć się przed pracą. Rozmowy nie miały końca, izbę wypełniły chichoty i odgłosy pośpiesznie ubieranych butów.

Krasa przejrzała się w oknie. Wyglądała, jakby spała przez całą noc na polu, pomiędzy grządkami buraków. Jej włosy pilnie potrzebowały grzebienia. Kilka razy o nich zapomniała, potem musiała wycinać kołtuny nożem kuchennym.

Miała delikatną urodę, dziecięcą, dlatego kobiety w kuchni chętnie jej pomagały. Czasem włożyły po kryjomu dodatkową kromkę chleba do kieszeni, a czasem zacerowały ubrania, mimo że w kredensie leżały zwinięte resztki nici. Można powiedzieć, że próbowały matkować dorastającej nastolatce. Ona zaś bardzo to doceniała, choć z drugiej strony czuła się niesamodzielna.

Na korytarzu przywitały ją obojętne spojrzenia. Nikt nie zwracał uwagi na jej brudną twarz, podarte ubranie i zabłocone buty. Folwark, mimo że był miejscem ciężkim do życia, to w szeregach jego pracowników nie brakowało młodych, jak i starszych wiekiem osób. Ludzi znających świat z opowiadań i tych, którzy stali się świadkami wielkich wydarzeń. Bez względu na doświadczenia, zdecydowana większość pilnowała wypełniania obowiązków, a najświętszym co dla nich istniało, był pełny półmisek.

Jajecznica z cebulką odrobinę poprawiła dziewczynie humor. Wydawać się mogło, że nie było już nikogo, gdy kończyła posiłek. Krople rosy wędrujące po liściu babki lekarskiej wyglądały zjawiskowo w promieniach słońca. Oparła ramiona o dębowy stół i zapatrzyła się w rozkołysane korony drzew na górzystym wzniesieniu.

Niewiele pamiętała z tego, jak wyglądał świat przed Wielką Suszą, która nadeszła ponad dekadę temu. Właściwie nie wspominała tego okresu najlepiej. Głód popychał ludzi do najgorszych zbrodni, także na najbliższych. Pieniądz szybko stracił zainteresowanie, gdy okazało się, że sklepowe półki stoją puste.

– Z tej latarni jest przepiękny widok na okoliczne gospodarstwa, a ile poziomek po drodze do zbierania i ptaków do ustrzelenia!

Przestraszyła się, słysząc czyjś głos. To chłopak siedzący obok patrzył w ten sam punkt, a na jego twarzy malował się filuterny uśmiech.

– Skąd wiesz? – zapytała podejrzliwie.

– Wszyscy wiedzą – wzruszył ramionami.

Krasa przez chwilę poczuwała się w obowiązku naprowadzić myślenie nieznajomego na właściwie tory, jednak szybko zrozumiała, że próbuje się z nią tylko droczyć.

– Niemożliwe – pokręciła przecząco głową. – Nie wolno wchodzić do lasu, a ptaki, o których mówisz, zabijają ludzi.

– Tylko tak straszą małe dzieci, żeby ich wilki nie porwały, ale ty mi już nie wyglądasz na dziecko – zmierzył ją spojrzeniem. – Chociaż…

– Bardzo zabawne – obruszyła się, lecz po krótkim zastanowieniu zapytała. – Naprawdę byłeś tam kiedyś, czy tylko tak mówisz?

– Pewnie, że byłem. Dlaczego sądzisz, że kłamię?

– Tam mogą chodzić tylko łowcy i strażnicy. Nie jesteś strażnikiem, nie masz munduru, a żeby zostać łowczym, trzeba przejść szkolenie. Mieszkam tu od siedmiu lat, lecz ciebie widzę pierwszy raz.

– Bystra jesteś jak na dziecko.

– Skąd jesteś? – ciągnęła rozmowę.

– Nawet nie zapytasz, jak mam na imię?

– Skąd jesteś i jak masz na imię? – jego nagła pretensja nie zbiła jej z pantałyku.

– Byg, skazali mnie w zeszłym tygodniu. Mam tu zostać pięć cholernie nudnych lat, a to mój drugi dzień na tym wygwizdowie, zapomnianym przez świat.

– Za co zostałeś ukarany? – zaciekawiła się. Nigdy nie słyszała o tym, żeby więźnia z Miasta zesłano za karę do pracy w folwarku.

– Włamałem się do spiżarni jakiegoś bogacza. Co miałem zrobić? Głodny byłem!

– Rozumiem… Wiesz, tutaj nie jest tak źle – powiedziała, nabijając na widelec kawałek mocno przysmażonej cebulki.

– Nie? Jakie tu macie rozrywki? Łapane byka za ogon? Może dojenie kóz na czas?

Westchnęła lekko poirytowana.

– Ludzie stąd bardzo chwalą sobie spokój. Przywykniesz.

– Spokój? To jakaś nieziemska harówka, za którą dostajesz to! – Wskazał palcem na okruchy w koszyku. – Zresztą... Idziemy na spacer? Postrzelamy z procy do zajęcy!

– Nie idę i tobie też radzę zająć się swoimi obowiązkami.

– Nie, to nie – zaśmiał się i wstał.

Krasa obserwowała, jak wyciera talerz kromką chleba z resztek jajecznicy i odchodzi od stołu. Na prawym przedramieniu miał wytatuowany czarny sztylet. Nosił ciemnogranatowe jeansy, a skórzany pasek zwisał poza szlufki. Średniego wzrostu, włosy ciemny blond i papierowa cera.

Po chwili zauważyła starszą kobietę w fartuchu, która stała przy wejściu do domu i nasłuchiwała jednym uchem – wyraźnie chciała się dowiedzieć, co było tematem rozmowy. Po chwili wzięła od niej puste naczynie, pogłaskała ją po głowie i odłożyła je na stos pozostałych.

– Dziękuję, Sławko.

– Co ty robisz z czasem, dziecino? Ani ty umyta, a w dodatku spóźniona.

Oblał ją zimny pot, nie szukała kłopotów. Nerwowo wytarła buzię rękawem i wybiegła do sadu.

Starszy strażnik Gosław już chciał jej zwrócić uwagę, lecz gdy zobaczył jej umorusaną twarz, machnął tylko ręką i odszedł zapalić fajkę w cieniu grabu. Miał siwe włosy przypominające kaczy puch, oczy szczere i wyraziste, szczękę szeroką, chodził zaś powoli, lekko przygarbiony. Plotki głosiły, że nigdy na nikogo nie podniósł głosu.

Na polu przywitały ją zmrużone oczy młodych dziewczyn, jedna z nich musiała schować graczkę, bo Krasa nie mogła jej znaleźć.

Słońce zdążyło wzejść wysoko, nim zorientowała się, że nigdzie nie widać Domarada. Ludzie rozglądali się od czasu do czasu, ale nikt nie odważył się o to zapytać. Wszystko płynęło swoim zwyczajnym trybem. W oddali grupa mężczyzn niosła przywiązane do kija truchło sarny, inni rąbali kawałki drewna na opał. Słychać było śpiew ptaków i muczenie krów. Wiał ciepły, letni wiatr, a po nieboskłonie przetaczały się ogromnych rozmiarów obłoki, jakby chciały nakryć całą ziemię pod sobą. Bajkowy krajobraz.

Koło południa przez pole przejeżdżały wozy z beczkami mleka. Ludzie podchodzili po kolei, by ulżyć spieczonym ustom i nabrać odrobinę sił. Przeraźliwie chudy woźnica przekazywał najświeższe informacje. Ubranie wisiało na nim niczym wór po kartoflach, a jego pomarszczona skóra była spalona od promieni słońca.

– Aż trzy sarny udało się dzisiejszego ranka upolować, jak nigdy i Miasto ponoć jakiś interes ma, bo żołdaki razem w kwaterze siedzą i ugadują się głośno! Tartak chcą uruchamiać!

Ludzie byli przejęci, rzadko zdarzało się takie szczęście. W końcu pojawił się także Domarad, choć wyraźnie niezadowolony i zachowywał się nieswojo. Porozmawiał chwilę z Gosławem, potem tamten odszedł. Zauważył, że dziewczyna go obserwuje i przeszył ją wzrokiem, jakiego nie widziała u niego wcześniej. Wystraszyła się i natychmiast wróciła do pracy.

Pewnie już wie o spóźnieniu – pomyślała.

Przypomniała sobie huk, który usłyszała w nocy. Czy mógł mieć coś wspólnego z wizytą Miastowych? A może to tylko wyobraźnia, rozbudzona czytaniem książki o mitycznych bogach? Na rozmyślaniach takich i podobnych mijały godziny, dni, lata… Z tego też powodu cowieczorne sprawdzanie węglarki w poszukiwaniu wszelkiej maści informacji szybko stało się rytuałem. Radość sprawiało jej znalezienie nawet skrawków pożółkłych gazet, chociaż był jeden wyjątek – artykuły dotyczące Wielkiej Suszy, nie potrafiła ich przeczytać. Gdy

próbowała, oczy zachodziły niby mgłą, a serce podchodziło do gardła. Na żadne zdjęcia tym bardziej nie mogła patrzeć.

Spostrzegła cień, ślizgający się po jej ręce. Podniosła głowę do góry, jednak nic nie zauważyła, wzięła ciężki kosz i przeszła do następnej grządki.

– Trzymaj! – burknął Domarad, podając jej graczkę.

– Gdzie była? Skąd wiesz, że jest moja?

– Bo ma na sobie zaschnięte błoto, a ty nigdy nie dbasz o narzędzia – rzucił ją i odszedł.

Krasa zasępiła się. Przejrzała się w kawałku metalu, odbijającym promienie słońca, dotknęła sklejonych włosów i głośno westchnęła.

– Znowu Mira obetnie mnie na łyso – mruknęła.

Skrzek, jaki rozszedł się chwilę potem, ogłuszył ją z taką siłą, iż przestała cokolwiek słyszeć. Bezładnie upadła na glebę. Poczuła się jak we śnie, gdzie rzeczywistość odmierzana jest innymi jednostkami czasu. Próbowała złapać ostrość widzenia, jednak jedyne co zobaczyła, to wielka plama, która siedziała w miejscu, gdzie przed chwilą był strażnik.

– Harpia! – powoli docierały do niej odgłosy zewnętrznego świata. – Harpyia!

Ludzie w popłochu rzucili się do ucieczki. Wpadali jeden na drugiego, próbując dostać się do najbliższego magazynu. Z daleka dobiegały doniosłe skrzeki, zwiastując zbliżające się stado drapieżników.

Bestia zatopiła hakowaty dziób w miękkim ciele, wyszarpała kawałek mięsa i przełknęła, po czym uważnie rozejrzała się po okolicy. Krasa leżała nieruchomo, nakryta zerwanym listowiem. Starała się nie oddychać, lecz krztusiła się od pyłu i wzbierały w niej konwulsje. Słyszała, jak harpia rozdziera ubranie i łamie kości. Zacisnęła palce, wbijając je w ziemię. Leżała tak, dopóki ta nie zakończyła żeru.

Dziewczyna obserwowała ją spomiędzy liści – miała zakrzywiony dziób niczym metalowy hak. Oczy jej były czarne jak węgiel. Ciało długie na dwa metry, łapy z palcami skulonymi, te zaś wyposażone w pazury o długości ogonów psów gończych. Pióra czarno-białe i matowe, na łbie układające się w pojedynczy grzebień. W końcu wzbiła się w powietrze, pozostawiając po sobie chmurę kurzu i odleciała na wschód. Krasa jeszcze przez długi czas nie potrafiła opuścić swojego prowizorycznego schronienia, nasłuchiwała niepokojących odgłosów dochodzących od strony magazynów. Tak zapadł zmrok i nadszedł sen.

Wybudziła ją nawoływanie strażników, którzy w okolicach północy zaczęli przeczesywać pola. Szli z pochodniami, w zwartym szeregu.

– Goj! Cich! Mszczuj!

Nikt nie odpowiadał.

Powoli wstała, zrzucając z siebie stertę liści i zaczerpnęła świeżego powietrza. Jej oddech był świszczący, ciężki. Wiatr napierający na gałęzie drzew przyprawiał ją o ciarki, a otwarta przestrzeń powodowała częściowy paraliż.

Przemknęła między grządkami, schylając odruchowo głowę i zasłaniając spierzchnięte usta. Biegła, nie oglądając się za siebie, jak najdalej od światła. Wpadła na płot z dębowych desek i po omacku dotarła do otwartej bramy. Nie chciała przesłuchań. Niczego bardziej nie pragnęła niż obudzić się w łóżku w izbie na piętrze.

Potykała się o własne nogi. Kształty zlewały się niczym czarna, plastyczna maź. Nie wiedziała, gdzie jest i w którą stronę idzie. Usiadła na ziemi, zziębnięta, przerażona. Dmuchała w zdrętwiałe dłonie, próbując je rozgrzać i rozruszać.

Usłyszała szczekanie. Niedaleko, po wschodniej stronie ogrodzenia. Łańcuch napinał się z każdym szarpnięciem, a wilczur obracał się wokół, próbując zsunąć z szyi obrożę.

– Bary? – szepnęła.

Pies zaskomlał i schował się w budzie. Łzy stanęły jej w oczach.

Nieprzenikniona ciemność otaczała ją z każdej strony. Próbowała przypomnieć sobie, w jakiej odległości były kwatery. Liczyła w myślach kroki, zakładając, że każdy z nich to niecały metr. Ile powinno ich być? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt od przekroczenia bramy?

Poczuła gulę w gardle i narastający ścisk żołądka.

– Hej, ty! Pamiętasz mnie?

– Kto tu jest? – wzdrygnęła się, słysząc głos.

– To ja, Byg! Możesz tu podejść?

– Gdzie?

– Do ogrodzenia. Jest niedaleko. Obróć się w prawo o trzydzieści stopni i idź przed siebie.

– Skąd to wiesz? Widzisz w ciemnościach?

– Mam lornetkę na podczerwień. Nie bój się.

– Co tu robisz, Byg? – spytała, podążając za jego głosem. – Szukasz zaginionych?

– Nie uwierzysz. Jedna z tych bestii chwyciła mnie i wyrzuciła na pole! Wbiłem jej nóż w łapę!

– Już idę, Byg! Ile tu czekasz? Nic ci nie jest?

– Nie. Krwawię, ale niewiele. Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem… Cieszę się, że tu jesteś.

Chwycił ją za ramię z mocą równą dzikiemu zwierzęciu. Wilczur wypadł z budy, ujadając na cały folwark, próbując zerwać się z łańcucha.

– Co… Co się dzieje? Byg?!

Usłyszała dźwięk wyciąganego z pochwy sztyletu. Próbowała wyrwać się z uścisku, jednak ten prędzej wyrwałby jej ramię, niż puścił wolno. Zaczęła krzyczeć, kuląc się przed niewidocznym niebezpieczeństwem.

Nagle znikąd pojawił się wilczur i rzucił się na ogrodzenie. Chwycił młodego mężczyznę za rękę i szarpał ją, dopóki ten nie wypuścił z uścisku dziewczyny. Krasa poczuła na ubraniu wilgoć.

Zaczęła spazmatycznie szlochać, zwijając się na ziemi. Pies szczekał dalej, zataczając wokół niej koło. W końcu zjawili się i poszukiwacze.

– Na bogów drewna i zboża…

– Czerwona od krwi, to kolejny znak. Mówiłem, że jesteśmy przeklęci!

– Zamknij się, Cibor! Jeszcze kto usłyszy i panika wybuchnie!

– Co z nią zrobimy?

– Pomóżcie mi… – wydukała.

– No dziecko to przecież, pomocy potrzebuje! Do kwatery!

– Znak czy nie znak… Dziwne to wszystko. Skąd ta krew u niej? Ranna nie jest – wtrącił Tomir.

– Prawda. Czyja to? – zapytał rolnik.

– Byga. Rzucił się na mnie! Chciał zabić… – łkała.

– Ech… Mówiłem od razu, żeby pomocy z więzień nie brać, bo tylko problemy będą! No, mości panowie, do domu! Więcej ocalałych tej nocy nie znajdziemy.

Zaprowadzili ją do budynku głównego, w którym mieściły się izby sypialne. Podali kawałek szmaty i wskazali mniejszą z łazienek, zlokalizowaną w piwnicy.

– Obmyj się, co byś paniki nie budziła. Ludzie już dosyć na dzisiaj mają – powiedział najstarszy ze strażników, Lasota.

Zeszła więc schodami na dół i przy świetle świecy obmyła się w zimnej wodzie, szorując skórę raz po raz, dopóki nie zmyła krwi i błota. Zauważyła białe plamki na przedramionach, które przypominały drobny pył, niby nasiona liściastych drzew. Odchyliła głowę w wannie i tak, dygocząc z zimna, czekała, aż ciało gotowe będzie na usunięcie zabrudzeń. Wpatrywała się w cegły nad głową, worki buraków pod ścianą oraz regał zastawiony słoikami z jabłkowym kompotem. Minuty mijały niczym godziny, chłód przenikał przez liche kości.

Próbowała ponownie oczyścić się z dziwnego nalotu, lecz nic to nie dało. Zirytowana uderzyła pięściami w taflę wody. Kiedy zbiła się ona ponownie w jednolite lustro, zobaczyła swoje odbicie z rękami nad głową. Z jej przedramion wyrastały pióra, ona sama wzrok miała niczym harpia, czarne tęczówki na tle białek.

Krasa wydała z siebie krzyk tak donośny, iż zbudzić można by nim zmarłego. Do piwnicy wpadli strażnicy, a ona sama pamiętała tylko tyle, że jeden z nich zrzucił swój mundur i okrył nim rozgorączkowaną dziewczynę.

Obudziła się następnego dnia, leżąc na kocu koło kuchennego pieca. Pod głową miała poduszkę wypchaną sianem, a ubrana była w obszerną, błękitną halkę. Gdy tylko kucharki zorientowały się, że dziewczyna nie śpi, zbiegły się do niej i podstawiały to kaszę z warzywami, to zupę z chlebem. Niczego jednak Krasa nie potrafiła tknąć, a jedyne, o czym myślała, to omamy, które nawiedziły ją w ciemnej piwnicy.

– No, malutka, skubnij odrobinę – starsza kobieta głaskała ją po głowie i nabierała łyżką mniejsze kawałki jedzenia.

– Kiedy nie mogę…

– Czemu nie możesz? Pomogę ci. No, śmiało, dziecinko.

Przełknęła kawałek ziemniaka i czuła, jak zaczyna kręcić jej się w głowie.

– Ilu zginęło? – zapytała, a łzy oblały jej policzki.

– Osiem osób – odpowiedziała po dłuższej chwili Sławka, dokładając drewna do pieca. Trzy kobiety pochyliły głowy na znak głębokiej żałoby. – Ty jedna miałaś szczęście.

– Nie chcę takiego szczęścia…

– Nie mów tak. Nie kpij z dobrodziejstwa bogów! – krzyknęła.

Zamknęła metalowe drzwiczki i odłożyła pogrzebacz.

– Widziałam straszne rzeczy, Sławko…

– Nie wątpię. Ja widzę je nie pierwszy raz i zakładam, że nie ostatni. Kiedy bogowie widzą, że nie jesteś już wrażliwy na jakiś ból, dają ci do zasmakowania innego.

– Ale po co, Sławko? Po co?

– Ażeby człowiek życie doceniał – smak chleba, każde jabłko na drzewie, koc wełniany, gdy za oknem śnieżyca. Oni mają swój wielki plan, rzadko zdradzają go nam, maluczkim…

Krasa zamilkła i wtuliła się w mundur, który pozostawił jej jeden ze strażników. Nie była w stanie przypomnieć sobie jego twarzy. Wyciągnęła przed siebie prawą rękę, oglądając ją uważnie, jednak tym razem nie dostrzegła na niej białych punktów.

– Idziemy podać obiad – powiedziała Salomea, przeczesując jej jasne włosy. – Za chwilę wrócimy.

– Jestem taka zmęczona… – szepnęła.

– Śpij… A potem do mnie wróć.

– Wrócę…

– Na wzgórza…

– Na wzgórza wrócę.

– …gdzie biała wznosi się wieża.

– Co powiedziałaś? – Krasa otworzyła oczy, jednak w kuchni już nikogo nie było. Rozejrzała się dookoła w przestrachu, jednak wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej. Wstała powoli i poszła na piętro, do izby sypialnej. Była sama. Usiadła na łóżku, nie mogąc dojść do siebie.

– To jakieś zwidy… – przetarła twarz i oparła się o ścianę. Po chwili usłyszała awanturę dochodzącą z zewnątrz. Chwiejnym krokiem podeszła do otwartego okna i wyjrzała, próbując przysłuchać się chaotycznej rozmowie.

Jakiś mężczyzna stał przy bramie w obstawie strażników z Miasta Głównego. Pokazywał palcem raz po raz na niebo, wymachiwał zapieczętowanym listem, a ludzie, którzy mu towarzyszyli, wchodzili na teren folwarku, odpychając łowczych i strażników na boki.

Krasa zobaczyła kątem oka w szybie postać kobiety z piórami na przedramionach. Jej orli nos do złudzenia przypominał dziób. I te oczy – czarne, dzikie, identyczne z tymi, które ujrzała podczas kąpieli. Odskoczyła do tyłu.

Po chwili na parterze rozbrzmiały podniesione głosy i krzyki kobiet. Dziewczyna nie zastanawiając się długo, schowała się pod pryczą. Ktoś biegł na górę i przeszukiwał pomieszczenia. Wszedł do izby sypialnej, przeszedł przez jej środek, po czym zawrócił. Krasa widziała tylko jego oficerskie buty. Dygotała z zimna, głowa bolała ją od natłoku myśli. Nie wiedziała, ile dokładnie wszystko trwało, bo ponownie zasnęła, pokryta pajęczynami i kurzem.

Kiedy się ocknęła, było już ciemno. Wszechobecna cisza przyprawiała ją o dreszcze. Najciszej, jak potrafiła, wyszła z kryjówki i zeszła na dół po schodach, dotykając dłonią murowanej ściany.

W kuchni zastała trzy kucharki, siedziały przy stole, na którym leżały sterty brudnych naczyń. Jedna z nich wycierała oczy chustką. Na widok dziewczyny wstała i mocno ją przytuliła.

– Krasa, gdzieś ty była? Tak się martwiłam!

Podeszła do dziewczyny z otwartymi ramionami.

– Salomea, co tu się stało? Dlaczego nikogo nie ma?

– Harpii poszli szukać… – odpowiedziała jej Sławka, siedząca obok na krześle.

– Gdzie?

– Do lasu, na Dębową Górę. Ponoć w ruinach dawnej wieży obserwacyjnej się zalęgły.

– I wszyscy poszli?

– Wszyscy młodzi… Wojsko przyszło i zabrało. Jak nie wrócą, folwark przepadnie. Co my, starzy, sami poczniemy? – łkała stara kucharka, tuląc ją do piersi.

– Przeklęte miejsce – odezwała się Miłka, siedząca po przeciwnej stronie stołu. – Najpierw dwa lata temu dzieci pomarły, teraz to.

– Najpewniej kara to jest za kobietę, co ją Cichoń z Mironem odprawili przy bramie niewiele wcześniej – rzekła stanowczo Sławka.

– Ja też tak mówiłam, już wtedy, ale kto by tam zwracał uwagę… – odpowiedziała ze smutkiem Salomea.

– Jaką kobietę, Sławko? Powiedz mi.

– A po co to wracać do tego? – obruszyła się.

– Powiedz jej, powiedz. Duża już jest. Zrozumieć musi, że świat bywa okrutny. Ja ziół naparzę, bo woda już paruje z garnka.

– Ze dwa lata temu zaszła tu kobieta i prosiła o pomoc, schronienia szukała. Wszystkie folwarki w okolicy obeszła, a ten był ostatni. Strażnicy odmówili, więc ta ich przeklęła i odeszła w stronę lasu. Głodowaliśmy wtedy okrutnie, nawet na jeden posiłek dziennie nie starczało, to i nie dziw, że Miron jej nie przygarnął.

– A ja słyszałam – wtrąciła się Salomea, wracając z naparem – jak raz przy obiedzie, gdy już się wina napił, opowiadał o jej oczach. Mówił, że dziwne były, całe czarne, nie chciał choroby w folwarku. Samolubny był, ot co.

– Od tamtej pory dziwne rzeczy się dzieją. A to drzewo raz uschło w jedną noc, co zdrowe całkiem było albo psy na niebo ujadały jak wściekłe. No i Miron, przepadł… Demony pewno go dopadły jak resztę.

– Byg mi powiedział, że był w tej wieży. Nic nie wspominał o gnieździe – powiedziała Krasa.

– Znakiem tym, że albo kłamał, albo gniazda tam nie ma. W każdy razie już się tego nie dowiemy, psy z gospodarstw zagryzły go zeszłej nocy na środku pola. Zmówiły się jak wataha.

– Chciał mnie zabić…

Kobiety spojrzały po sobie porozumiewawczo.

– Tak, dziecko. Za twój wisiorek po matce mógłby w Mieście zacząć nowe życie. Ile razy ci mówiłyśmy, żebyś go ze sobą nie nosiła?

Krasa westchnęła.

– Rumianku się napij i połóż się spać – powiedziała Miłka, podając jej kubek.

– Czemu on mógł tu zamieszkać, a ta kobieta nie? Przecież mamy niewiele więcej niż wtedy.

– Chciwość, moja droga, kolejny grzech. Za tego rozwydrzonego chłopaka zapłacił ojciec, żeby do więzienia nie trafił i tutaj przeczekał, aż sprawa w Mieście ucichnie.

– Mogę spać z wami w jednej izbie? Boję się…

– Możesz, dziecino. Weź swój koc.

Krasa zajęła jedną z prycz na parterze i zapadła w głęboki sen. W marzeniach widziała las, dzikie zwierzęta, blask słońca. Gdy zerwała się burza, otworzyła na chwilę oczy. Na podłodze leżało pióro. Biało-czarne, długości mysiego ogona. Dziewczyna sięgnęła po nie, przekonana, że nadal śni. Było gładkie, a jednocześnie miękkie w dotyku. Rozejrzała się po izbie, jednak nie dojrzała nic niezwykłego. Położyła się na plecach i wpatrywała przez chwilę w sufit, zanim jej myśli znów odpłynęły w bezpieczną krainę fantazji.

Sławka zbudziła ją na śniadanie. Była bardzo niepocieszona, ponieważ nikt jeszcze nie wrócił z wyprawy.

– Idę po mleko, a ty się nie spiesz. Nikt cię nie będzie pilnował – powiedziała, wychodząc.

Dziewczyna przetarła oczy i odkryła koc. Leżał pod nim czarno-biały puch. Patrzyła na niego jak zaklęta.

– Mówię ci, że Asesor nie pozwoli, żeby folwarki padły. Skąd będą brali jedzenie? Ludzi do pracy po Wielkiej Suszy też jak na lekarstwo – dochodziło z kuchni.

Krasa z przerażeniem stwierdziła, że pióra wyrastają z jej przedramion. Chwyciła za jedno z nich i próbowała wyrwać, lecz poczuła dojmujący ból. Spojrzała na szybę. W odbiciu dostrzegła znajome czarne oczy. Próbowała krzyknąć, jednak z jej gardła wydobył się jedynie skrzek. Zasłoniła usta.

Do pokoju weszła Miłka.

– Idziesz na śniadanie?

Dziewczyna pokiwała przecząco głową.

– Źle się czujesz?

Potaknęła.

Kobieta usiadła na skraju pryczy i przyłożyła jej dłoń do czoła.

– Zimne… Bardzo zimne. Przyniosę ci drugi koc i coś ciepłego do picia. O, pióro… Musiało ci zostać na ubraniu – szepnęła, uważnie je oglądając. – Mówiłyśmy, że wydarzą się nieszczęścia, ale mądrości starych ludzi nikt nie chce słuchać. Łatwiej wino pić i skórami jeleni handlować.

Jak tylko zamknęła za sobą drzwi, Krasa otworzyła okno. Usiadła na drewnianym parapecie, po czym zeskoczyła na ziemię.

Przy budach leżały łańcuchy, a brama folwarku była otwarta. Słońce mimo wczesnej pory dawało się we znaki. Skierowała kroki na pola. Nie chciała umrzeć jak istota przeklęta, widząc zawód w oczach kobiet, które ją karmiły i wychowały.

Szła miedzą, starając się być jak najdłużej w zasięgu cieni rzucanych przez liście kasztanów i jarzębin. Minęły godziny zanim doszła do opuszczonej chaty. Na jej podwórku znajdowała się studnia głębinowa. Dziewczyna opuściła wiadro i ze zniecierpliwieniem czekała na odgłos, który mógł oznaczać obecność wody. Sznur zdawał się nie mieć końca, jednak po dłuższej chwili usłyszała dźwięk przedmiotu uderzającego w taflę.

Zanurzyła głowę w pełnym wiadrze, ściągnęła koszulkę i zamoczyła ją, żeby schłodzić ciało. Siedząc na betonowym schodku, zauważyła wieżę obserwacyjną. Była blisko. Wznosiła się ponad gospodarstwami, zasłonięta częściowo lasem. Niekompletne elementy szyb, które pozostały po załamaniu się starego systemu, odbijały promienie letniego słońca.

Wciąż była za blisko, łowcy mogli wpaść na trop. Musiała znaleźć inne schronienie, daleko na północ, za Miastem Głównym.

Obejrzała swoje ręce – zdążyły w całości pokryć się puchem. Zaczęła swędzieć ją skóra w okolicach łopatek i boleć ramiona. Z gardła wciąż zamiast słów wydobywał się skrzek.

– Za co? – myślała, szukając powodu, dla którego ktoś mógł na nią rzucić tak potężną klątwę.

Pobliskie drzewa szumiały przedziwnie, jakby ich gałęzie łamały się raz po raz, lecz żadna z nich nie spadała na ściółkę.

Szła po gęstym mchu, potykając się o ukryte pośród zieleni kamienie. Tak nastał zmierzch, a po nim noc. Zdawało jej się, że dęby i graby pochylają nad nią swe korony, obserwując każdy krok. W ciemnościach nie zauważyła wilczego dołu, do którego wpadła, wydając z siebie przeraźliwy pisk. Leżała tak, cała obolała, wpatrując się w jasne niebo.

Nagle zerwał się wiatr, a nad dołem stanęła jakaś postać.

– Tu jesteś – rzekła kobieta. – Czekałam na ciebie.

Wyciągnęła dłoń, a jej oczy pojaśniały niczym rozżarzone węgle. Krasa przytuliła się do ściany ziemi za swoimi plecami.

– Czas ruszać w drogę. Och, nie bój się. Chcesz wiedzieć, co się stało ze złymi ludźmi? Są tutaj, pośród nas… – Drzewa zaszumiały złowrogo na dźwięk tych słów. – Tyle dusz, zepsutych dusz. Żadne z nich nie wyda owocu. Chodź ze mną.

Dziewczyna zaskrzeczała, próbując cokolwiek powiedzieć, lecz nieznajoma nie miała problemu ze zrozumieniem jej myśli.

– Zostałaś sprzedana za grzechy kobiet, które cię chowały, lecz nie martw się. Oto od dziś będziesz obserwować bacznie każdy ich krok, a że ludzie nigdy się nie uczą na swoich błędach, zemsta nadejdzie szybko, moja córko.

Dziewczyna poczuła, że się zmienia, przestała czuć strach. Dała się zaprowadzić na szczyt wieży obserwacyjnej. Tam, zwrócone w cztery strony świata, stały ogromne harpie. Obserwowały okolicę. Była pośród nich niczym nieopierzone pisklę.

– Spójrz w dal, na folwark...

Krasa, mimo znacznej odległości, ze szczegółami zobaczyła izbę z pryczami, a w niej trzy kobiety, modlące się w ciemności. Miłka trzymała nóż za plecami. Na parterze grasowali rabusie, a jeden z nich miał wytatuowany sztylet na przedramieniu.

– Pamiętaj, moja córko. Niedługo.

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

TADEUSZ CHARMUSZKO

Kłobuczak

Podobno o Kłobuczaku było niepomiernie głośno w pierwszej połowie poprzedniego wieku. Bardzo przywiązany był do terenów leśnych i bagiennych w obrębie Kłobucka, stąd zapewne jego nazwa. Swawolił wówczas nad Białą Okszą i Czarną Okszą, ale nade wszystko upodobał sobie Dębową Górę. Może z tego względu, że ze wzgórza miał wgląd doskonały na całą okolicę, a może zupełnie z innej przyczyny. Jak satyr albo niedźwiedź kosmaty był cały, ciemnobrunatny, a zwinny jak wiewiórka, zaś kształtem i rozmiarami podobny był do atlety. Bywało, że naginał młodą brzózkę, odbijał się od ziemi i jak kamień wyrzucony z procy przelatywał bez szwanku z jednego końca miasta na drugi. Przejawiał ten kudłacz dziwne maniery. Przesiadywał na konarach drzew, ogryzał szyszki lub łupał orzechy i strasznie nie lubił, jak się wycina drzewa. Miał nadzwyczajną moc w łapach i magię jakąś, że drwalowi trzonek siekiery na nadgarstku owijał jak bransoletę. Śpij później z taką ozdobą! Doszło do tego, że w całym Kłobucku nie było chętnego do wyrębu lasu. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, aby w rejonie Dębowej Góry utworzyć rezerwat. Kłobuczak zyska teren wyłącznie dla siebie, nikt nie będzie wchodził mu w paradę i niepokoił. Stąd nadzieja, iż nowe rozwiązanie na jakiś czas kudłacza uspokoi. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Dzięki temu z Kłobuczakiem był święty spokój przez kilkanaście lat, ludzie nawet o nim zapomnieli, aż do tej pory.

Niepokoje zaczęły się od Burchlaka, który po remoncie kuchni starą lodówkę miał na zbyciu. Wyrzucić chłodziarkę na śmietnik było trochę szkoda, bo sprzęt jeszcze na chodzie, więc pomyślał sobie rozsądnie, że podrzuci do lasu w pobliżu rezerwatu. Niewątpliwie przyda się przychodzącym z rezerwatu dzikom, lisom oraz kunom, nawet jastrzębiom i myszołowom, mięsne potrawy w lodówce znacznie dłużej przecież można przechowywać. Do rezerwatu, należy wyraźnie podkreślić, zupełnie nie wchodził. Ładnie ustawił lodówkę pod rozłożystym dębem, gałązkami ozdobił, żeby było bardziej artystycznie i komponowało się z otoczeniem. Zwłaszcza obok konwalii majowej, kopytnika pospolitego, kokoryczki wielkokwiatowej oraz przytulii wonnej lodówka prezentowała się znakomicie. Raptem z dębu zeskoczyło kosmate straszydło do goryla podobne. Tupnęło gniewnie i ryknęło groźnie na Burchlaka, że szacunku do natury za grosz nie ma. Potwór złapał za lodówkę i jak piórko uniósł do góry. Niechybnie

Burchlaka by wtedy ukatrupił, gdyby ten nie uskoczył zręcznie, błyskawicznie nie wsiadł do samochodu i nie odjechał czym prędzej. W rezultacie tylko tylny zderzak w aucie poważnie został uszkodzony i pokrywa bagażnika.

Kolejne nieprzyjemne zdarzenie spotkało Chytrackiego. Człowiek trzy worki gruzu załadował do bagażnika i w dobrej wierze zawiózł w pobliże rezerwatu. Chciał poprawić sarnom nawierzchnię leśnych ścieżek. Niewątpliwie inne zwierzaki też by na tym skorzystały, bowiem chodzą po wertepach, zaczepiają się o korzenie i nierówności, nogi sobie wykręcają. Normalnie żal człowiekowi na to patrzeć. Poważna sprawa, trudno przejść nad nią obojętnie. Jak tylko można, należy pomóc, choć to nie rezerwat. Jeszcze chwilka i Chytracki spokojnie by odjechał, aż tu napatoczyło się – nie wiadomo skąd – kosmate stworzenie. Jak nie zacznie pomstować, ciskać kawałkami gruzu w Chytrackiego i w jego samochód. Uszedł wprawdzie Chytracki z życiem owej gadzinie, ale do domu wrócił cały posiniaczony i z powybijanymi szybami w samochodzie. Weź tu człowieku okaż odrobinę serca.

Jednak najgorsze spotkało Cymbalskiego, który wymienił stare opony na nowe. Stare też nie były takie beznadziejnie stare, żeby od razu je w piecu spalić. Pomyślał Cymbalski, że w pobliżu rezerwatu przydadzą się znakomicie. Do owych starych opon dołożył komplet jeszcze starszych i żwawo ruszył w las. Warchlakom dobre na legowisko, wiewiórki będą miały przez co skakać, schować się drobnej zwierzynie w takiej oponie też można. Same zalety płyną z opon w leśnych ostępach. Cóż jednak począć, kiedy z wysokiego buka spadł nagle leśny potwór i precyzyjnie nałożył na Cymbalskiego opona po oponie, jakby ten był szpikulcem do szaszłyków. Potem tak sporządzony wałek poturlał z dzikim chichotem, aż nietypowa rolka znalazła się w rowie przy ulicy Staszica. Pewnie Cymbalski marnie by sczezł w owym rowie, gdyby nie pewien mały Wojtuś, któremu zachciało się siku. Matka zatrzymała samochód, mały zręcznie wyskoczył z wozu, podbiegł do opon i zaczął sikać.

– Zlituj się, nie sikaj na mnie! – jęknął żałośnie Cymbalski.

Malec się rozpłakał i poskarżył matce, że ktoś w oponach straszy i nie pozwala zrobić siku. Matka wysiadła z samochodu i ze zdumieniem zobaczyła uwięzionego w oponach Cymbalskiego. Niezwłocznie wezwała pomoc. Czterech krzepkich mężczyzn z wydobyciem Cymbalskiego z uwięzi miało spory problem. Dwóch go ciągnęło, dwóch trzymało opony, omal go nie rozdarli, ale w końcu udało się nieszczęśnika wydostać z niecodziennej pułapki.

Sytuacja w Kłobucku zrobiła się przez powyższe nie do wytrzymania. Ludzie mają już dość szaleństw Kłobuczaka, żyją w ciągłym strachu i niepewności. Nerwowe napięcie dosięga zenitu. Chyba w zaistniałej sytuacji najlepszym rozwiązaniem będzie znaczne powiększenie powierzchni rezerwatu. W dotychczasowym najwyraźniej zrobiło się stworzeniu mało

miejsca i ciągle wyłazi poza jego granice. Trzeba zrobić to jak najszybciej, zanim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Ludzkie życie jest przecież najważniejsze.

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

ROLAND HENSOLDT

Eksperyment kłobucki

Zamarłem w oczekiwaniu na przepowiedzianą katastrofę. W lasach przy Mokrej obserwowałem nadjeżdżający pociąg. Wagony pełne ludzi sunęły na poduszkach pól magnetycznych. I chociaż nie chciałem niczyjej krzywdy, przyłapałem się na niepokojącej myśli. Tak samo gorliwie prosiłem Wszechmogącego, aby nic złego się nie wydarzyło, jak szeptałem diabłu, aby doszło do tragedii. Byłbym wtedy świadkiem czegoś niepojętego, czegoś, co przeczy logice.

Spoglądałem na zegarek. Mijały chwile, w rytm, których targały mną skrajne emocje oczekiwania, strachu. Co, jeśli…? Zacisnąłem pięści.

Wreszcie nieco spóźniony pociąg usłuchał czyjegoś głosu, bo oto pierwszy wagon przechylił się na zakręcie niebezpiecznie w prawo, pociągając resztę składu. Wiedziałem, że to się wydarzy, a mimo wszystko wątpiłem. Doszło do katastrofy, którą ujrzałem wcześniej, a teraz stałem zahipnotyzowany, nie mogąc się poruszyć. Potem w mediach powiedzą, że to nie był sabotaż, a jedynie nieszczęśliwy wypadek, zupełnie przypadkowy, że nikt nie zawinił. Rzeczoznawca potwierdzi, że tego nie dało się przewidzieć.

Wszyscy się mylili. To ja byłem winnym, a moimi grzechami były wiedza i zaniechanie.

I gdy tak patrzyłem na dopełnioną przepowiednię, zastanawiałem się, czemu Kłobuck miałby być jedynym miejscem na świecie, gdzie jest możliwe przewidywanie przyszłości? Jak się miało okazać, ten fenomen nie tylko jest wytłumaczalny, ale także to miejsce ma adekwatną wielkość, aby było to możliwe.

Rok wcześniej

– Wiesz, że diGoldy zużywają więcej energii niż Argentyna? Nieustannie coś obliczają i nikt nie wie co – pytanie kolegi zasiało ziarno, z którego wykiełkowała teoria spiskowa.

– Dowiem się, co one przetwarzają – zadeklarowałem.

diGold, kryptowaluta, która opanowała świat, została oparta na mocy obliczeniowej komputerów. Było w niej coś niepokojącego. Od miesięcy rozgryzałem ten temat. W

Darkwebie mawiano, że nie da się zhakować diGoldów, ponieważ są oparte na funkcji falowej komputerów kwantowych i każda nieudana próba bezpowrotnie niszczy informację. Pisano o protokole E91 dystrybucji klucza i zaszumionym splątaniu. Czy to możliwe, że wprowadzono to do blockchaina diGolda? Powątpiewałem, bo przecież kryptowaluta działała na tradycyjnym sprzęcie.

Wszystkie tropy wiodły rzekomo do miejsca zwanego OŚRDODKIEM. Ktoś pracujący dla providera internetu twierdził, że ruch diGoldów wypływa z niego, opływa świat i wraca do niego. O budynku krążyły legendy: najlepsze zabezpieczenia, niezależne zasilanie, odseparowana biosfera. Miejsce było całkowicie odizolowane.

Zgłębianie tematu zajęło mi rok. Miałem nadzieję, że diGoldów nie chroni kwantowy superstrażnik. Aby wygrać, musiałem wystawić do walki zawodnika podobnej wagi, czyli inną walutę cyfrową. Hakerzy mieli własny kryptopieniądz GoldHack, który używano jak BotNet. Miałem wśród nich znajomości i udało mi się przekonać ich, aby użyczyli mi mocy.

Pojedynek kryptowalut był pasjonujący, dopingowałem swojemu zawodnikowi, aż wreszcie sędzia losu walnął w gong.

The winner is…

Ujrzałem wiersz poleceń. Kazano mi podać zakres dat pożądanego zbioru informacji. Zdziwiłem się, bo do wyboru była tylko przyszłość.

>Podaj podmiot.

W spisie nazwisk widniało moje. Pokusa zwyciężyła, chociaż było to niemalże równoznaczne z podpisaniem się pod tym włamem.

Dane mieliły się długo. Około trzeciej rano zacząłem się obawiać, że nie zdążę na pociąg, który miałem w południe, ale przecież nie mogłem przerwać tego.

Dane wizualne pobrały się przed siódmą rano, zwracając error:

>0,00001% symulacji, brak pamięci na macierzy dyskowej SSD.

Włączyłem SensorycznyVR.

***

Drzewa za oknem poruszały się, a wzrok dostosowywał do symulacji i zdałem sobie sprawę, że jestem w pociągu. Siedziałem na miejscu #23. Liczba detali porażała. Zamarłem. Sprawdziłem w kieszeni moich VR-owo wygenerowanych dżinsów i wyciągnąłem z nich bilet. Zobaczyłem, że jest on opatrzony moim nazwiskiem i dzisiejszą datą. Zdziwiło mnie to, bo przecież dużo wcześniej kupiłem ten bilety na ten konkretny pociąg.

Przede mną siedziała blondynka w kwiecistej sukience. Odebrała telefon, mówiąc – tu Olga…– Na kolanach trzymała książkę Isaaca Asimova.

Obserwowała mnie i wiedziałem, że jej się podobam. Po prostu to wiedziałem.

VR zwrócił komunikat:

> Error, wprowadzono nowe dane.

Huk. Wstrząs. Coś mną rzuciło i wpadłem na ścianę. Błędnik szalał. Symulacja dobiegła końca. Zdarłem z siebie okulary VR z przerażeniem.

Układałem w głowie, co właściwie się wydarzyło. Za żadną cholerę nie wsiądę do tego przeklętego pociągu, ale musiałem tam być, w tamtym miejscu o tamtej porze, aby zobaczyć…

***

Pojechałem na stację PKP w Kłobucku, która znajdowała się w białym gmachu z brunatną dachówką. Budynek wyglądał jakby nowoczesność narosła na ściany budowli z poprzedniej epoki. Holograficzne reklamy oświetlały mury, a magnetyczna magistrala przebiegała przy peronach. Ciemne chmury zbierały się nad tym miejscem. Okulary VR podpowiedziały, że za paręnaście minut spadnie deszcz.

Szukałem pięknej nieznajomej w kwiecistej sukience, aż ją dostrzegłem. Siedziała w poczekalni, czytając Asimova.

Założyłem VR, odnajdując w ukradzionych danych Olgę w tym czasie i w tej przestrzeni. Kobieta była zsynchronizowana z jej symulowaną reprezentacją niczym lustro z odbijanym obiektem. Serce łomotało mi, jakbym był o krok od odkrycia największej zagadki ludzkości. Gdy przyjrzałem się dokładniej, ruch obu kobiet nie był identyczny. Ta z przyszłości poruszała się nieco sztucznie. Przestawiłem upływ czasu w okularach, aby mieć podgląd z przyszłości odległej o pięć sekund. Mogłem porównywać zachowanie Olgi teraźniejszej z tą, która dopiero się wydarzy. I to działało! Za chwilę spojrzy na zegarek, wstanie i skieruje się ku toalecie, przechodząc niedaleko mnie. Dziewczyna z teraźniejszości po prostu zaczęła robić to, co przewidziały okulary VR, chociaż detale były różne. Odłożyła książkę i kawę. Mógłbym przewinąć jej życie do bardziej odległej przyszłości, zobaczyć, co zrobi, gdzie pójdzie.

System umożliwiał wizualizowanie czegoś, co rozpoznałem jako jej myśli. Czytała powieść, ale analizowała problemy życia osobistego. Pojawił się mężczyzna, raz go opuszczała, innym razem przytulała. Wahała się i to wszystko widziałem w VR-rze. Jego też mogłem tam odnaleźć. Gdy przełączyłem się na niego, zobaczyłem, że jest z niejaką Martą. Ją także mogłem śledzić w przyszłości, w przeszłości, wszędzie. Czułem, że posiadłem boską moc wszechwiedzy, aż kolana trzęsły mi się z ekscytacji.

Teraźniejsza Olga spojrzała na mnie, zdając sobie sprawę, że gapię się na nią. Kiedy jej symulowana wersja poszła do toalety, ta prawdziwa stanęła. To wydarzenie sprawiło, że przyszłość dziewczyny przestała zgadzać się z teraźniejszością.

Co ja zrobiłem? – pomyślałem przerażony. Czy to możliwe, że zniszczyłem przeznaczenie Olgi? Wróciła na ławkę. Symulacja biegła dalej w przyszłość, ale to nie miało już znaczenia. VR-owa wersja usiadła na sedesie, rozmyślała i doszła do wniosku, że zostanie z tym facetem. Ale to się nie wydarzyło – miałem wrażenie, że ta myśl nie dotarła do Olgi, bo przesłoniła ją inna w postaci mojej twarzy i zapewne teraz też wydałem jej się interesujący.

Wiedziony jakąś siłą, być może przeznaczeniem, podszedłem do niej.

– Olga? – zapytałem.

– Znamy się?

– Nie wiem, jak to powiedzieć… – Zacząłem się miotać i czerwienić. W końcu oznajmiłem – proszę nie wchodzić do pociągu.

– Pan żartuje – odpowiedziała uśmiechem, który szybko znikł, gdy odkryła, że byłem zbyt poważny jak na podrywacza, tak bardzo poważny jak tylko szaleniec może być, mówiąc takie rzeczy.

– Czuję, że wydarzy się coś złego. – Odszedłem, zastanawiając się, co dalej.

Jakim cudem to schrzaniłem? A jednak Olga nie wydawała się mną zauroczona. Źle to rozegrałem, przecież VR chyba dawał mi możliwość wcześniejszego przetestowania różnych wariantów tej rozmowy i czytania w myślach?

W symulacji pociąg ruszył. Odnalazłem maszynistę. Cofałem czas, aby prześledzić jego drogę do lokomotywy i zobaczyć, gdzie znajduje się on teraz. Pił kawę w barze. W VR-rze podszedłem do niego, chcąc przetestować rozmowę o rzekomej bombie w pociągu, w celu zapobieżenia tragedii. Wtedy zobaczyłem komunikat:

> Połączenie zerwane.

Momentalnie z proroka zostałem zdegradowany do roli zwykłego śmiertelnika. Musiałbym jeszcze raz zhakować diGoldy, a na to nie miałem czasu. Ten naglił, bo oto maszynista udał się do pociągu. Olga też. Podbiegłem do niej.

– Pani tam umrze.

– Bo wezwę policję! – krzyknęła i wszyscy na nas spojrzeli, łącznie z funkcjonariuszami na służbie. Serce załomotało mi mocniej. Odeszła. Koła jej walizki skrzypiały na posadce, tocząc się ku wagonom. Ewidentnie nie potrafiłem rozmawiać z ludźmi.

Mundurowi obserwowali mnie. Powinienem coś zrobić, ale co? Nie byłem typem bohatera, nawet nie przekonałem Olgi, aby nie wchodziła do tego przeklętego pociągu, który

ruszy za pięć minut. Wtedy przeszyła mnie niepokojąca myśl. Potrzebowałem niepodważalnego dowodu, a ten zdobędę, jeśli…

Bezsilny patrzyłem na pociąg, na przeznaczenie, które zaraz odjedzie i nawet wiedząc, co się wydarzy, nic nie potrafiłem z tym zrobić. Przecież zmienianie przyszłości powinno być łatwe. Chyba że ona nie chce być zmieniona, rozważałem.

Obliczyłem dystans, jaki pociąg mógł pokonać od stacji w Kłobucku do godziny 13:19, kiedy miało dojść do tragedii. Wyszedł mi punkt niedaleko na północ od przecięcia torów z ulicą Wołyńską w okolicach Mokrej. Wahałem się, nie wiedząc, co mam zrobić. Czas uciekał.

Pędziłem tam moim flycarem.

Stanąłem w miejscu, które widziałem z okien VR-owego pociągu. Nie miałem wątpliwości, że to tutaj rozegra się przepowiedziana przyszłość, a ja zostanę jej niemym świadkiem. Jeśli to wszystko jest prawdą, w co wciąż wątpiłem, to będę winny tragedii, ale zyskam dowód.

***

– Ukradł pan coś, co należy do mnie – oznajmił stanowczo nieznajomy, który podszedł znienacka i mnie zaskoczył. Spoglądałem ze wzgórza na wykolejony pociąg, w którym powinienem się znaleźć, ale ujrzałem tę katastrofę w przepowiedni. Zatem nie wsiadłem do niego. Służby ratunkowe poruszały się w sobie znanym chaosie logiki procedur kryzysowych.

– Ukradł pan przyszłość – kontynuował facet koło pięćdziesiątki, siwy, ubrany w garnitur. Wzdrygnąłem się, gdy zobaczyłem saperkę w jego rękach. Popatrzyłem z przerażeniem to na niego, to na dopełnioną przepowiednię, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Wcześniej w symulacji sprawdziłem to miejsce i tego mężczyzny tu nie powinno być. A jednak zjawił się niczym duch i do mnie mówił.

– Jest pan kotem Schrödingera panie HenSolo, ale ja potrafię patrzeć przez ścianki pudełka, w którym pana trzymano. Żywy, chociaż widziałem pana… – Zawiesił głos, jeżdżąc palcem po krawędzi szpadla. Słowo śmierć złowieszczo dźwięczało w uszach. – Fakt, że pan nie zginął, przeczy aksjomatom nieoznaczoności, bo widziałem kolaps pana funkcji falowej, co przełożyło się na kolaps funkcji życiowych – uśmiechnął się delikatnie. – Pewnie chce pan zapytać, skąd znam pana ksywkę, skoro nigdy nie została użyta? Albo skąd wiem, że ma pan bilet na ten pociąg w prawej kieszeni kurtki? Albo jak to jest możliwe, że zobaczył pan tę katastrofę, zanim do niej doszło? – wyliczał kolejne niemożliwości.

Z każdą nową informacją czułem zawroty głowy. Tragedia objawiła mi się w pewnym kodzie, a teraz spoglądałem na dowód na to, że przyszłość można zobaczyć, co burzyło

fundamenty logiki świata, dowód na szaleństwo w postaci katastrofy, rannych, może zabitych…

– Też to widziałeś? Czemu tego nie powstrzymałeś? – zapytałem.

– Dylemat wagonika panie HenSolo – odparł i wskazał na wykolejony pociąg. – Z widzeniem przyszłości jest jak z mechaniką kwantową. Samo patrzenie niszczy ją bezpowrotnie. To najtrudniejsze: jak patrzeć, aby nie wpływać na obserwowany obiekt? Może ciężko to teraz zrozumieć, ale wybraliśmy mniejsze zło. – Spoglądał bezemocjonalnie na pociąg, na rannych, może na…

– Pan by tam zginął, ale nikt inny nie umrze, nawet Olga – uprzedził moje pytanie, kiedy pomyślałem, że dylemat wagonika jest testem wykrywania socjopatów. Ani ja, ani on nie przestawiliśmy zwrotnicy, a jedynie patrzyliśmy na pędzący pociąg, co udowodniało, że nasza moralność jest podobna.

Ratownicy na dole szukali ofiar.

Zapalił papierosa.

– To jak z tytoniem. Nie trzeba być jasnowidzem… Wiedziałem, gdzie mnie to zaprowadzi, ale czasami to nie wystarcza. Potrzebny jest jeszcze charakter, aby coś zmienić. – Machnął ręką. – Pozwoli pan, że zapytam. Wiedział pan, że dojdzie do katastrofy, a jednak nie pociągnął pan za wajchę zmiany torów przyszłości. Dlaczego?

Milczałem, chociaż znałem odpowiedź. Wygląda na to, że jestem psychopatą. Przybyłem tu, aby mieć dowód na coś niewytłumaczalnego, aby wiedzieć. Gdybym powstrzymał katastrofę, chociażby informując, że w pociągu jest bomba, nigdy bym się nie dowiedział. Wiedza bywa grzechem, bo tak jak Ewa dowiedziałem się o czymś, co było zakazane.

– Co, jeśli powiem, że fatum można zmienić? – oznajmił, upuszczając papierosa. Rozgniótł go podeszwą. – Ukradł nam pan coś cennego, panie HenSolo. Ukradł pan światu przyszłość. Dzieje się tak za każdym razem, kiedy ktoś jasnowidzi. – Mężczyzna powiedział na jednym wydechu – Umieram na raka, szukam następcy. Proponuję panu pracę.

– Słucham?

Odpowiedział szerokim uśmiechem, wręczając saperkę.

– Opis stanowiska znajdzie pan tam. To, że nie stoi pan teraz dokładnie na zakopanej kopercie z pana nazwiskiem, dowodzi, że Wszechświat nie jest w pełni przewidywalny. Albo nie potrafimy patrzeć. Faktem jednak jest, że zakopałem tam list adresowany do pana, w miejscu, gdzie pan teraz prawie stoi.

Wykopałem list, a mężczyzna kontynuował: – Ma pan adekwatne kwalifikacje. Doktorat z fizyki i jest pan niezłym… złodziejem. Z ciekawostek powiem, że ta katastrofa wydarzyła się tuż przed granicą.

– Granicą?

Odrysował palcem półkole w powietrzu. – Tam jest granica widzenia przyszłości. Nasza zdolność patrzenia jest mocno ograniczona zarówno w wymiarze czasu, jak i przestrzeni. Pana pracą będzie to zmienić.

– Granica? Lokalne zaburzenie czasu? Czarna materia? – palnąłem.

– Jeśli chce pan poznać demona, który widzi, proszę podążać za mną – powiedział i poszedł w stronę flycar, który zaparkował pod lasem. Nie obracał się za siebie i nie wiedział, czy HenSolo podąża za nim. Nie mógł tego wiedzieć, ponieważ nie tak funkcjonowała jego moc jasnowidzenia. Mówiąc to wszystko hakerowi, który ukradł przyszłość, nadpisał fatum świata, załamując funkcję falową czasoprzestrzeni.

***

Podpisałem stertę papierów. W skrócie cyrograf oznaczał, że zniszczą moje życie doczesne, a kto wie, może i duszę, jeśli złamię którykolwiek z punktów umowy. Zapłata? Poznanie przyszłości. Konsultacja z prawnikiem nie wchodziła w grę. Poznasz prawdę albo na zawsze pozostaniesz ślepcem. Co byś zrobił?

Po roku w OŚRODKU dowiedziałem się, że jestem częścią programu SELDON, a moje badania dotyczyły promieniowania tła. Satelita Plank^3 dostarczał dane. Budowałem modele statystyczne, które miały opisywać CMB. Do tego celu udostępniono mi komputer kwantowy. Czułem się jak szaleniec, bo nikt tu nawet nie wspominał o jasnowidzeniu, co było surowo zabronione. Czy pozostałości pierwotnego światła o długości fali 1,1 mm i temperaturze od 2,7249–2,7252 K niosą informacje z przeszłości? Tak, ale jak to się przekłada na tak dokładne profetyczne widzenie? To pozostawało zagadką.

Mężczyzna, którego wtedy spotkałem przy torach, nigdy mi się nie przedstawił, a ja nie pytałem. Nazywano go Panem X.

Gdy skończyłem badania nad modelem probabilistycznym fluktuacji CMB, przyszedł X.

– Świetnie! Teraz to wszystko wyrzucimy do kosza! – oznajmił i wyszedł.

Jak się później okazało, to nie CMB jest nośnikiem przyszłości. Wręcz przeciwnie: ono zaburza zdolność jasnowidzenia i trzeba je odfiltrować.

***

– Docelowo OŚRODEK zostanie całkowicie odcięty od świata polem antykwantowym, ale na razie korzystamy z sieci obliczania rozproszonego diGold – X rzucił ochłap prawdy jak psu za dobre zachowanie.

***

– Każdy z nas prowadzi badania nad małym wycinkiem całości, ale chyba można się domyślić, o czym nie wolno nam rozmawiać, co? – ucięła dr Semaria Kes, moja znajoma, gdy nieśmiało zapytałem o jej pracę.

W OŚRODKU chodziło o dostarczanie wyników poszczególnych etapów badań, ale nie omawiano ich jako całości, tworzącej to miejsce. I chociaż każdy musiał się domyślać, że chodziło o studia nad przewidywaniem przyszłości, nikt jednak nie używał tego sformułowania. Stawka była zbyt wysoka, bo złamanie regulaminu mogło skutkować odsunięciem od projektu. Jak kłamać tym, którzy potrafią przepowiadać przyszłość?

Do obszaru ZERO miał wstęp X i kilku innych naukowców, którzy nie rozmawiali z nikim innym. Trzymano tam coś, co było obdarzone profetyczną mocą.

***

Zżerała mnie ciekawość, aż wreszcie pewnego dnia X wtajemniczył mnie.

– Pod podłogą trzymamy XIX-wiecznego demona, którego ożywiliśmy – oznajmił w swoim stylu. – To, co powiem, przeczy aksjomatom mechaniki kwantowej, ale zgodziłby się ze mną zapewne Einstein i Bohm.

– Znaleźliście ukrytą zmienną?

– Satelita robi skan Kłobucka i okolic – odparł X, a ja poczułem nieodpartą chęć zapytania: czemu Kłobuck? Mój mentor zapewne domyślił się, bo powiedział:

– To miasto jest wystarczająco duże i wystarczająco małe, by móc przewidywać przyszłość. Nie sprawia nam trudności jasnowidzenie w przestrzeni, gdzie nie ma ludzi, ale Kłobuck to pierwsze miasto, gdzie przeprowadziliśmy tego typu eksperyment na szeroką skalę. Zatem skanujemy okolicę na poziomie kwantów, spinów, jak to nazywamy w rozdzielczości Planka, chociaż to lekkie nadużycie. Tworzymy przestrzeń konfiguracyjną mechaniki kwantowej. Ta technologia to prawdziwa magia: ilość danych, a przede wszystkim to, że samo fotografowanie kwantów wpływa na nie. Po jakimś czasie robimy drugie zdjęcie tego samego obszaru. A następnie obliczamy różnice, aby określić kierunki zmian na poziomie kwantów. To daje nam możliwość generowania trzeciego zdjęcia, które jest z przyszłości. Zgodnie z teoriami de Broglie'a-Bohma i fali pilotującej w mechanice kwantowej zawarta jest ukryta zmienna, którą potrafimy znaleźć i obliczyć zdeterminowaną przyszłość. Do tej pory nie potrafiliśmy badać zjawisk kwantowych tak, aby nie zaburzać obserwacji,

dlatego nie potrafiliśmy odkryć zmiennej ukrytej. To się zmieniło, gdy zbudowaliśmy komputer kwantowy, który w nieoznaczoności Heisenberga dostrzegł fraktalne prawidłowości. Oczywiście to, co przybywa z kosmosu, czyli chociażby fotony ze Słońca czy CMB, stanowi dla nas przeszkodę, a także sam fakt fotografowania wpływa przecież na obiekty kwantowe. Zatem jak fotografować kwanty?

– I po to potrzebujemy statystyki CMB?

– To był test, czy da sobie pan radę. To, co pan obliczył, było nam już znane i stanowi część nowej nauki zwanej Statystyką Fraktalną Pól Tensorowych, która przekłada fluktuacje z mikroskali na obiekty makro. Bazuje ona na założeniu, że Wszechświat jest deterministyczny, a quasi-losowe fluktuacje kwantów wykazują fraktalne prawidłowości. SELDON wycina je dzięki komputerowi kwantowemu, gwarantując lepsze heurystyki. Walczymy z panem Heisenbergiem, jak tylko umiemy. To jak czyszczenie zdjęcia z szumu. Ponieważ skanujemy wycinek o promieniu 15 km, to informacje spoza tego obszaru znacząco zaburzają nasze pomiary. Wystarczy, że chociażby przyjedzie pociąg i wysiądą z niego nowe zmienne.

Pasażerowie, poprawiłem w myślach. Tak nazywał ludzi, zmiennymi.

– To na razie eksperyment. Docelowo będzie to układ zamknięty o rozmiarach kuli ziemskiej, zatem uwzględni wszystkie świadome zmienne.

– Tych danych musi być niepojęta ilość. Jak to obliczacie? – zapytałem i przypomniał mi się dzień, kiedy zhakowałem przyszłość i zrozumiałem. Szepnąłem – diGoldy.

X uśmiechnął się.

– Zapewne wie pan, że zgodnie z teorią hologramu wszystkie informacje o każdym kulistym obiekcie da się zapisać na powierzchni tego obiektu? Gdyby nie to, potrzebowalibyśmy komputera kwantowego o rozmiarach Ziemi. A tak wystarczy nam prostopadłościan o polu podstawy 510 milionów km i wysokości jednego kwantu, co nie jest aż tak dużo, gdy ułożymy to w sensowniejszą figurę.

– Powierzchnia Ziemi – zrozumiałem.

– Naszą wersją demo przyszłości są diGoldy, które są niczym RAM. Opasają powierzchnię Ziemi. Obecnie testujemy ZBIORNIK. Pod podłogą trzymamy najprawdziwszego demona, a jego imię to Laplace. Jest to basen o liczbie moli odpowiadającej obszarowi skanu. W polu magnetycznym przepisujemy lokalizację o promieniu 15 km na układ kwantowy cieczy. Budynki, przyroda, wreszcie ludzie są zapisani w ZBIORNIKU. W ten sposób H2O stało się „storage”. Moc obliczeniową dostarczają diGoldy, które już w 2021 były najpotężniejszym superkomputerem obliczania

rozproszonego, satelita Plank^3 robi skan, komputer kwantowy czyści dane z fluktuacji kwantowych. Taka jest architektura systemu.

Usiadłem z wrażenia i przerażenia.

– Piszecie palcem po wodzie… – powątpiewałem.

– Cieczą można manipulować łatwiej niż ciałami stałymi. Basen otacza pole, które nam to umożliwia, a ponadto jest kwantowo odizolowane od reszty. Zbudowaliśmy sztuczny horyzont zdarzeń. Zdołaliśmy wyeliminować tunelowanie kwantowe, ale do tego potrzebujemy gigantycznej energii i oczywiście SFPT, naszego aktualnego dogmatu.

– A świadomość? Ją też przewidujecie i zapisujecie w postaci H2O?

– Proszę sobie przypomnieć naszą rozmowę przy torach.

– Przecież, hakując system musiałem załamać funkcję falową – dopytywałem.

– Zniszczył pan własną przyszłość, to prawda, ale po tym jak wykryliśmy włam wiedziałem, co pan zrobi. Nie dlatego, że objawił mi to SELDON, ale dlatego, że ja bym tak zrobił. Zatem pojechałem tam. Popatrzyłem, gdzie jest najdogodniejsze miejsce, aby obserwować katastrofę i tam zakopałem kopertę.

– To szaleństwo! – Przypomniała mi się rozmowa z Olgą, to, że symulacja odtwarzała jej ruchy, ukazując je z wyprzedzeniem, a nawet jej myśli.

– Wodą można zapisać dowolną informację na poziomie kwantów, ale proszę nie spodziewać się, że trzymamy tam świadome byty zrobione z cieczy.

Jaka jest pewność, że nie, pomyślałem, gdy X kontynuował:

– Myśli mają fizyczną reprezentację w postaci energii, kwantów, są fizyczne, bo to przecież tylko przepływ impulsów. SELDON potrafi fotografować je i analizować, a nawet przewidywać reakcję podmiotów na nowe zdarzenia. W symulacji można nawet odbyć sensowną, realistyczną rozmowę z ludźmi.

– Jak to?

– Wizualizacja myśli Olgi to tylko próba analizy SELDONA, który podstawia idee na poziomie zapisu kwantowego pod „stop klatkę" przechwyconego stanu świadomości w danym momencie danej osoby i oblicza potencjalną reakcję podmiotu.

– To jest bardziej interpretacja niż rzeczywiste myśli?

– To tylko zdjęcie świadomości zatrzymanej w czasie. Gdybyśmy potrafili nagrać film z rozdzielczością Planka… – Urwał myśl, ale mikroekspresyjny uśmiech zdradzał podniecenie, które mnie przerażało. Kontynuował – człowiek jest najbardziej obliczalną ze zmiennych. Oczywiście nie z punktu widzenia mechaniki kwantowej, ale do sterowania zachowaniem ludzi wystarczy 280 znaków kodu.

– Jak to?

– Jeden Tweet, głupi mem, fake news i naprawdę nie musimy rozbierać ludzi na kwanty i przestawiać im w mózgach spiny, aby ich obliczać. Wystarczy nam big data, aby jasnowidzieć. Wstajesz o podobnej godzinie, podążasz do pracy regresyjnie zoptymalizowaną drogą, mijasz te same osoby. Człowiek z punktu widzenia big data jest przewidywalny. Człowiek to tylko automat z ułudą wolnej woli, która manifestuje się jako fluktuacje, a moje badania to potwierdzają.

Coś mi się nie zgadzało.

– Na stacji byłem w stanie odtworzyć więcej detali symulacji, niż sugerowałyby dwa zdjęcia przeszłości – oznajmiłem.

– Wtedy w ramach eksperymentu zrobiliśmy ich więcej, ale o mniejszej powierzchni skanu. Brakujące sekwencje obliczył i zwizualizował SELDON na podstawie kwantów i wzorców behawioralnych. Coś jak machine learning z początków XXI wieku był w stanie domalowywać brakujące klatki w filmach poklatkowych przerabianych sztucznie na slow motion.

– Jakim cudem usłyszałem głos Olgi?

– Głos to energia fali i SELDON z kwantów pojedynczego skanu jest w stanie wydobyć słowa, trwające nawet sekundę. Coś jak zrobienie zdjęcia fali oceanu. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby sobie wyobrazić, że ona się załamie. Tak samo SELDON widzi ewolucję fali dźwięku.

– Co dalej?

X wyjął chusteczkę. Kaszlnął, pozostawiając krwawy ślad.

– Jak już wspomniałem, człowiek jest automatem, a mi kończy się okres przydatności. W rok sam stworzył pan religię SFPT, coś, nad czym pracowaliśmy znacznie dłużej. A skoro ma pan już religię i jej zagorzałych wyznawców, to pozostaje mi pogratulować. Objął pan stanowisko Wszechwiedzącego.

20 lat później, „Agenci wieczności”

>Alarm, trzęsienie ziemi, lokalizacja czasoprzestrzenna: epicentrum w zatoce Sagami, za 132h, zginie 16542,62 osoby.

– Zatwierdzam procedurę modelowania ruchu tektonicznego dzięki zmianie energetycznej wartości pól kwantowych.

Sieć satelit Plank^6 naświetlała wskazany obszar cząsteczkami elementarnymi. Heisenberg obraziłby się, bo na poziomie pól kwantowych działało to jak przebicie balonu, z którego nadmiar energii uszedł w pożądanym kierunku, stabilizując płytę tektoniczną i jednocześnie śmiejąc się z nieoznaczoności.

SELDON po dobie zameldował:

>Operacja zakończona sukcesem, jednak tak duża ingerencja sprawiła potężną desynchronizację modelu przyszłości. Zalecane ponowne obliczenie przyszłości obiektu kwantowego: ZIEMIA.

>Czy chcesz obliczyć przyszłość?

<Y/N>? _

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

MARIA SAKTURA

Partnerstwo Miast

„Dziś na głowach kwietne wianki mają wszystkie Kłobuczanki” - chór dziewczęcych głosów rozbrzmiewał do wtóru dmącej w dęciaki strażackiej orkiestry. Nad rynkiem imienia Jana Pawła II powietrze drżało w czerwcowym upale. Czyste, lekko tylko podbarwione kolorem indygo niebo, co rusz przecinały śmigające nisko jaskółki.

Pomiędzy drzewami, ostańcami, którym udało się przetrwać modernizację rynku, wisiały żółte, obwisłe od gorąca banery obwieszczające czerwonymi literami, że "WELCOME" oraz "FRIENDSHIP", a także "PARTNERSHIP", tworząc tło dla niewielkiej podwyższonej sceny, udekorowanej girlandą balonów.

– Raz, raz, raz... - nagły wizg sprzężenia mikrofonu zagłuszył śpiew. W niebo, dyskretnie, lecz nieubłaganie granatowiejące, wzbiło się stadko spłoszonych gołębi.

– Może przejdzie bokiem - mruknął komendant straży pożarnej, spoglądając w stronę horyzontu.

– Bokiem czy nie, goście już w drodze, wszystko przygotowane, najwyżej się schowamy na pięć minut w Starostwie – burmistrz nie miał zamiaru poddawać się malkontenctwu. Zamaszystym gestem starł z czoła kropelki potu i ruszył w stronę sceny, lustrując uważnie otoczenie.

Faktycznie, wszystko było gotowe. Pani Joasia, nauczycielka angielskiego, dziś mająca zadebiutować w roli tłumaczki, wyglądała przyjemnie i profesjonalnie w żakiecie i szyfonowej sukience w maki. W budynku magistratu naszykowano dla gości ciepły bufet i zimne napoje. Tablica pamiątkowa tylko czekała, przysłonięta kurtynką, by odsłonić ją jednym prestidigitatorskim gestem. Banery i baloniki nadawały odświętny otoczeniu charakter, a sam rynek, choć może ponadnormalnie gorący, wyglądał zupełnie nowocześnie. Otaczające go gęstym wianuszkiem samochody też nie były takie wcale najgorsze. Przeważnie całkiem dobre auta rodzinne.

Gospodarskie oko burmistrza omiotło orkiestrę, dekoracje, chór, który obecnie tłoczył się pod drzewem, odświeżając się wodą mineralną i Kłobucczan schodzących się na rynek. Naprawdę nie wyglądało to źle. Pogodnie, czysto i normalnie. Zresztą, umówmy się, goście

też nie przybywali z niewiadomo jakiej metropolii. Ich miasto różniło się nawet odrobinę na niekorzyść od Kłobucka, zarówno jeśli chodzi o liczbę mieszkańców, jak i infrastrukturę. "Zagranica" – to słowo już dawno straciło dla Polaków wymiar eksluzywno-egzotyczny, a zaczęło kojarzyć się z licznymi krewnymi, których los i potrzeby ekonomiczne rzuciły do Niemiec i Anglii. "Ameryka" też nie była tym, co kiedyś. Wyblakła i spowszechniała wraz z dostępem, a nawet przesytem Coca-Colą i Marlboro. Wypada pokazać się jednak z dobrej strony, zwłaszcza, że z tej kurtuazyjnej wizyty mogą wyniknąć konkretne korzyści dla miasta i regionu. Są strażackie marsze do odegrania, ale są też umowy do podpisania. Tłumek mieszkańców gęstniał, szczególnie w okolicy straganu z piwem z nalewaka i lodami. Orkiestra skończyła próbę, strażacy w galowych mundurach pocili się obficie. Chór, gotów do występu, ustawił się w dwuszeregu przed podwyższeniem. Co młodsze chórzystki zaczynały marudzić i z zazdrością popatrywały na rówieśników, ganiających beztrosko po placu i opychających się kłębami waty cukrowej. Burmistrz w asyście pani Joasi, nieco zestresowanej, stał na scenie, uśmiechając się promiennie do zgromadzonych i kiwając głową w stronę co bardziej znanych osobistości kłobuckiej socjety.

Poryw gwałtownego wiatru załopotał banerami. Od strony ulicy Długosza na rynek zajechał zielony Solaris.

– Gorącymi brawami przywitajmy naszych gości! – zawołał burmistrz, wskazując ręką w stronę parkującego autokaru. Orkiestra dmuchnęła w instrumenty, rozległy się owacje. Niebo nad budynkiem Starostwa Powiatowego gwałtownie pociemniało, na granitowych płytach rynku pierwsze krople deszczu zaczęły znaczyć nieregularny deseń.

– Pogoda płata figle, ale my się nie poddajemy! Gorące brawa rozpędzą chmury! Sto lat! Sto lat! – burmistrz robił, co mógł, by zarazić entuzjazmem tłumek, którego zapał malał wprost proporcjonalnie do nasilania się porywów wiatru, zacinających coraz gęstszym deszczem.

Orkiestra podjęła melodię, z autokaru zaczęli wysiadać goście. Jeden za drugim, przygarbieni, o twarzach bez wyrazu. Kłobucczanie rozstępowali się niepewnie przed tym dziwnym pochodem. Z każdym krokiem gości coraz gęstsze milczenie spowijało ludzką ciżbę, dusząc normalny gwar. Ostatnia trąbka umilkła, kończąc niepokojąco ludzkim jękiem. Wiatr wzmógł się i tłukł balonikowymi girlandami o plandekę sceny.

– Khm khm… – burmistrz ocknął się z konsternacji i chrząknął. – Jeszcze raz, brawa dla naszych gości z Innsmouth w Massachusetts! Innsmouth-Kłobuck, miasta partnerskie! Nauka! Przemysł! Kultura!

Goście sunęli cichym, jednostajnym pochodem w stronę sceny, nie oglądając się na cofających się przed nimi mieszkańców, nie zwracając uwagi na deszcz i wiatr, ani na coraz bardziej nerwową paplaninę burmistrza.

– Jest z nami główny inżynier z rafinerii Marsha – burmistrz drżącym głosem czytał z kartki. – Są innsmouthscy przedstawiciele sektoru rybołówstwa i przetwórstwa ryb…ryb…ryb…rybie twarze – zakończył i urwał, wpatrując się z osłupieniem w zbieraninę zadziwiających postaci, które powłócząc nogami, wchodziły na scenę. Na czoło grupy wysunął się długoręki i długonogi mężczyzna o szarej twarzy, wyłupiastych oczach i niewątpliwie rybiej fizjonomii. Bez słowa minął burmistrza i z przenikliwym zgrzytem zdjął mikrofon ze statywu.

– Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn – rozległy się słowa obmierzłe, mrożące krew w żyłach, nieprzypominające brzmieniem niczego, co którykolwiek Kłobucczanin mógł usłyszeć na najegzotyczniejszej wycieczce turystycznej, czy na najdalszych saksach.

Burmistrz, starając się ignorować dławiącą go panikę, zerknął na panią Joasię – N...nie znam tego dialektu – szepnęła słabym głosem i osunęła się, plecami oparta o plandekę, na deski sceny.

Piorun, uderzający z hukiem w szczyt wieży kościoła świętego Marcina, na ułamek sekundy oświetlił rynek upiornym blaskiem. W tym sinym, ostrym świetle, mieszkańcy zobaczyli przybyszy w całej ich ohydnej i wynaturzonej postaci. Pulsujące szczeliny skrzeli, błoniaste palce, wąskie, pozbawione włosów głowy pokryte chropowatą skórą, przejmowały przedwieczną grozą, która każe bać się tego, co zbyt zwierzęce, by być człowiekiem, a zbyt ludzkie, by zwać się zwierzęciem. Nie dociekając, czy widok ten oddaje prawdę, czy jest ułudą, wynikłą z gry świateł i zacinającego deszczu, zapomniawszy o zaparkowanych samochodach, tłum rozbiegał się, wznosząc okrzyki histerycznej, pierwotnej zgrozy. A oni, przygarbieni, człapiąc płetwiastymi stopami, jeden za drugim, w strugach ulewy, schodzili ze sceny. Nieśpiesznie, lecz bez wahania, jakby dobrze wiedzieli, gdzie zmierzają, opuścili rynek i ruszyli ulicą 3 Maja.

Pani Stanisława Kałamarczyk, emerytka zamieszkała na rogu 3 Maja i Okólnej, która nie wybrała się na festyn ze względu na dokuczliwy reumatyzm, opowiadała później tym nielicznym, którzy chcieli jej słuchać, że widziała przez zalaną deszczem szybę „Grupę świecących wstrętną poświatą osób, która skręciła w stronę wałów". Kolejny świadek, pracownik stacji Orlen, wspominał „Emanujących zielonym blaskiem, przypominających żaby mężczyzn, którzy przeszli przez drogę krajową numer 43, weszli w wodę Białej Okszy i

szli, brnąc przez wezbrany burzą nurt, w stronę zalewu”. Prawdopodobnie jako ostatni widział ich pan Dariusz Bożelec, zapalony wędkarz, który schronił się przed deszczem pod wiatą na placu zabaw, bezpośrednio graniczącym ze zbiornikiem zalewowym Zakrzew. Wedle jego relacji „Ryboludy odziane w strzępy odzieży minęły groblę i zanurzyły się w wodzie zalewu”.

Deszcz powoli się uspokajał. Przez ciemne kłęby chmur prześwitywały promienie słońca, zasnuwając blaskiem pobojowisko na rynku. Liście, strzępy baloników i banerów poniewierały się na lśniącej, granitowej nawierzchni. Kotarka, wcześniej śnieżnobiała i zdobna w dekoracyjny chwost, zwisała mokra i podarta, odsłaniając tablicę pamiątkową, na której szeryfowymi literami wyryto „Kłobuck-Innsmouth, miasta partnerskie. Dzielą nas kilometry, łączy spojrzenie w przyszłość”. Następnego dnia burmistrz wstał wcześnie rano i samodzielnie usunął tabliczkę przy pomocy młotka. Zastanawiał się z niepokojem, co jeszcze może zrobić, by wyciszyć niepokoje społeczne, które niewątpliwie nastąpią się w skutek sensacyjnego charakteru zajścia. Obawy okazały się daremne. Ludzie, włączając tych, którzy tego dnia byli w centrum wydarzeń, niechętnie dzielili się wrażeniami i nawet w myślach starali się nie wracać do burzowego popołudnia spędzonego na kłobuckim rynku. Lokalne media solidarnie przemilczały sprawę.

Tego roku woda w zalewie zmętniała, a okolicę osnuł przykry, siarczany swąd, wywołujący u mieszkańców okolicznych domostw męczące majaki senne, a na jawie przyprawiając o niepokój i wrażenie nieprzyjaznej obecności. PZŁ okręg Częstochowa objął Zakrzew zakazem połowu ryb, a kąpielisko zostało zamknięte. Jako oficjalny powód podano zakwit sinic. Z czasem sytuacja unormowała się, lecz matki nadal niechętnie pozwalają kapać się w zalewie swoim dzieciom, intuicyjny lęk tłumacząc plotkami o rzekomych odczynach alergicznych, występujących po kontakcie z wodą. Tamtejsze ryby uchodzą obecnie za niezdatne do spożycia. Zanotowano także zwiększoną liczbę utonięć, zwłaszcza nocnych. Gazeta Kłobucka zareagowała akcją edukacyjną pod hasłem „Piłeś? Nie płyń”, jednak bez statystycznie istotnego skutku.

„Hej, pod lasem jest jezioro, ryby nigdy tam nie biorą
Choć w jeziorze woda gnije, siedzą chłopcy, moczą kije
A gdy który pójdzie w trzciny, już nie wróci do rodziny.”

Piosenka kłobuckich dzieci

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

EMIL ZAWADZKI

Polowanie na dzika kłobuckiego

Do owych pamiętnych wydarzeń doszło latem, roku pańskiego tysiąc dwieście siedemdziesiątego. Wszystko zaczęło się od okolicznych chłopów, głoszących wieści o dziku wielkim niczym stodoła, o potworze z piekła rodem, który terroryzował bogobojnych ludzi. Miała być to rzekomo klątwa zesłana przez dawnych bogów, kara za szerzenie chrześcijaństwa. Ówczesny łowczy kłobucki, Wawrzyniec Strzeszkowicz Sulima, człowiek roztropny i twardo stąpający po ziemi, nie dawał wiary tym bajaniom. Po pomoc do księcia krakowskiego, Bolesława Wstydliwego, posłał dopiero wtedy, kiedy piekielny dzik po raz pierwszy natarł na kłobuckie palisady i wyrządził liczne szkody w samym grodzie. Książe Bolesław przestraszył się plotek o siłach pogańskich i odpowiedział: Poradźcie sobie sami. I tak też mieszkańcy Kłobucka uczynili...

***

Pomimo późnego poranka wieś Wilkowiecko pogrążona była w sennej, leniwej atmosferze. Wczorajszej nocy odbyło się tu huczne wesele, a większość mieszkańców i przyjezdnych gości odsypiała jeszcze całonocną zabawę. Wszystkie z prostych, chłopskich chałup pozamykane były na cztery spusty i tylko donośne chrapanie zdradzało, że w środku ktoś przebywał.

Bogumił zdziwił się bardzo, gdy dotarł do wsi i nie zastał tam krzątających się po obejściu ludzi. Pokręcił głową z dezaprobatą i skierował swojego siwego wierzchowca w stronę ogromnej stodoły, znajdującej się w centrum wioski. Budowla ozdobiona była wiankami kwiatów i licznymi wstążkami. To tam musiała odbywać się wczorajsza uroczystość i to właśnie tam Bogumił spodziewał się zastać ostatnich biesiadników.

Stodoła otwarta była na oścież, a ze środka dochodził gwar głośnych rozmów. Bogumił bezceremonialnie wjechał tam konno, za nic mając sobie dwie młode dziewczęta, które ze strachu upuściły brudne talerze, dopiero co zebrane z ław pod ścianą. Odgłos tłuczonych naczyń i rżenie konia sprawiły, że wszystkie rozmowy ucichły. Przy jednej z ław siedziało

kilku mężczyzn popijających piwo z glinianych kufli. Musieli to być ostatni na placu boju albo pierwsi chętni na poprawiny.

– Czego tu? – odezwał się niemiłym tonem głosu jeden z mężczyzn, starszy człowiek z wielkimi, sumiastymi wąsami. – Stodoła nieczynna. Cała wieś nieczynna. Wesele było.

– Zauważyłem. Gratulacje dla młodej pary – odpowiedział spokojnie Bogumił, po czym zeskoczył z konia i wyprostował się dumnie przed mężczyznami. – Zwą mnie Bogumił z Kłobucka i szukam wielkiego wojownika i obrońcy uciśnionych, niejakiego Wojuty. Słyszałem, że był zaproszony na to wesele.

– Nie pojawił się niestety – odrzekł szybko wysoki, tęgi mężczyzna siedzący przy końcu ławy. Ów mężczyzna zmierzył Bogumiła chłodnym spojrzeniem i pociągnął z kufla kilka solidnych łyków. Reszta biesiadników spojrzała w jego stronę z zakłopotaniem, niektórzy zaczęli szeptać coś cicho między sobą.

– Szkoda. Ważną sprawę mam do niego. Przysłał mnie sam wielki łowczy kłobucki, pan Wawrzyniec, będący na usługach miłościwie nam panującego księcia, Bolesława Wstydliwego.

– Pan Wawrzyniec? – zaciekawił się ten starszy z wielkimi wąsami. – A to musi jakaś poważna sprawa być. Kłopoty jakieś?

– Tak jest, dobry człowieku! Łowczy Wawrzyniec zbiera grupę dzielnych bohaterów, same ważne persony. Rozchodzi się o zabicie pewnej szkarady, która uprzykrza życie mieszkańcom Kłobucka i okolicznych miejscowości – dumnie oznajmił Bogumił, po czym bez pytania przysiadł się do biesiadników. Zignorował fakt, że jego koń właśnie narobił na samym środku stodoły. – Kiedy mój pan usłyszał, że w okolicy bawi się legendarny Wojuta, to stwierdził, że bez niego grupa nie będzie kompletna. Komuś mogłaby stać się krzywda, a jak wiadomo waleczny Wojuta siłował się już ze stolemami, wełetami i innymi olbrzymami. Ba! Ponoć ubił nawet groźnego biesa z Opola. Z pomocą takiego herosa jak Wojuta nasz potwór padnie raz dwa!

Biesiadnicy znowu zaczęli szeptać między sobą nerwowo, zerkając na barczystego, ponurego mężczyznę na końcu stołu. Bogumił też tylko na niego patrzył. Wiedział, że ów mężczyzna nie był stąd, a aparycją pasował jak ulał do opiewanego w pieśniach bohatera.

– To jak będzie? Na pewno Wojuta nie bawił się na tym weselu? Nawet do Kłobucka doszły słuchy, jak to młody Krzesimir chwalił się, że sławny krewniak uświetni jego ślub z piękną Grzymisławą. Wiecie, jak ten potwór się rozszaleje, to na pewno nie poprzestanie na Kłobucku. Ani chybi wpadnie któregoś dnia do waszego pięknego Wilkowiecka i tu też narozrabia.

– Wojuta… – odezwał się pryszczaty chłopak siedzący obok mężczyzny z wielkimi wąsami. – Brzmi jak ważna sprawa. Może jednak zechciałbyś pomóc?

– A ty Krzesimirze nie powinieneś przypadkiem być teraz z żoną i wykazywać się w ramach nocy poślubnej?! – oburzył się barczysty osobnik z końca stołu, po czym znowu ukrył twarz za kuflem piwa.

Zmieszany pan młody opuścił smętnie głowę. Reszta biesiadników zerkała z zaciekawieniem to na ukrywającego się za kuflem Wojutę, to na gościa z Kłobucka. Atmosfera stała się nagle bardzo napięta, a wyczekujący pan Bogumił tylko pogarszał sprawę.

– Dobra... – przemówił w końcu z rezygnacją w głosie Wojuta i z hukiem odstawił kufel na stół. – Miejmy to za sobą. Co to za potwór?

– Doskonale! – ucieszył się Bogumił i pociągnął z dzbanuszka, który ktoś podstawił mu właśnie pod nos. – To dzik. Ale, ma się rozumieć, nie taki znowu zwykły! Bydle jest cięższe niż trzy ciężarne żubry, szable ma wielkie jak miecze, a z pyska buchają mu trujące wyziewy.

– Starczy tego! – legendarny wojownik roześmiał się gromko i pokręcił głową. –Mam rozumieć, że wasz wielki łowczy zbiera całą drużynę, żeby zapolować na dzika? To ja już wolę tutaj zostać i poczekać na poprawiny. Piwa jest pod dostatkiem, a dziewczęta pięknie się uśmiechają. Obejdzie się bez dziczyzny. Ale… Tak z ciekawości, kto zgłosił się już na to polowanie?

Bogumił uśmiechnął się pod nosem chytrze. Słyszał wiele plotek o mężnym Wojucie. Bardzo często powtarzała się wśród nich wieść, że był próżnym człowiekiem. Jeśli w grę wchodził duży rozgłos, albo spora nagroda, to znacznie chętniej podejmował się heroicznych wyczynów.

– Wszyscy najznamienitsi mężowie, którzy przebywali akurat w okolicy! Polowanie poprowadzi oczywiście sam wielki łowczy Wawrzyniec. U jego boku stawił się Leszek Czarny, młody książę łęczycki i sieradzki. Lada dzień miał też przybyć książę mazowiecki Konrad. Jest też sławny myśliwy Wszebor ze swoją córką, Drogomirą. Jest sir Godfryd, templariusz z Łukowa i sir Wilhelm, krzyżak. Na wezwanie przybył też lokalny zabijaka i rozbójnik, Mścigniew Szary.

– Zacna kompania – burknął z podziwem wąsaty senior. – Sami szlachetni panowie. Poza Mścigniewem oczywiście, ten to jest łotr i łajdak zakłamany. Jeśli tacy wielcy rycerze chcą towarzystwa naszego Wojuty, to nie powinno się im odmawiać!

– Niech będzie wuju – powiedział Wojuta i uśmiechnął się zawadiacko. – Nie pierwszy raz muszę ratować tyłki szlachetnie urodzonych. Panie Bogumile, kiedy to polowanie ma się rozpocząć?

– Dziś po południu – oznajmił tamten, jak gdyby nigdy nic. – Kłobuck jest kilka godzin drogi stąd, powinniśmy zaraz ruszać.

– Chyba żartujesz... – odparł wojownik i roześmiał się po raz kolejny. – Mam za sobą całą noc tańczenia i picia. Wyruszę na to wasze polowanie, ale dopiero jak chwilę się zdrzemnę.

Wojuta wstał od stołu i nie zważając na protesty Bogumiła udał się powolnym krokiem do przygotowanej dla niego izby w jednej z chat. Teraz dopiero przybysz z Kłobucka mógł się przekonać, jak wielkiej postury był ten słynny człowiek.

– Ale tak nie można! Pan Wawrzyniec dał mi wyraźne rozkazy! – gderał Bogumił, ale słuchali go już tylko pozostali biesiadnicy.

– Nasz Wojuta nie lubi rozkazów – odpowiedział z zadumą wąsaty senior. – Wywodzi się z prostego ludu, ale dawno już wybił się ponad to. Nie słyszałem o żadnym szlachetnie urodzonym, który coś by na nim wymusił. Jak powiedział, że pojedzie, to pojedzie. Dajcie mu chwilę odpocząć.

– Oby wart był tego całego zachodu – wymamrotał pod nosem Bogumił, po czym wstał i zaczął rozglądać się za swoim koniem. – Nie wygląda mi wcale na tak potężnego, jak opisuje się go w pieśniach. Owszem, spory z niego mąż, ale z twarzy przypomina raczej leniwego pijaka niż wielkiego woja.

***

Po kilku godzinach byli już w drodze do Kłobucka, Bogumił na swoim wspaniałym, szarym ogierze, a Wojuta na jakiejś starej szkapie pożyczonej od krewnych. Jechali przez gęsty las, który porastał większość okolicznych terenów. Tylko kiepsko wydeptana, wąska dróżka wśród drzew wiodła ich we właściwym kierunku. Bogumił był cały czas spięty i czujny, nasłuchiwał, czy aby w pobliżu nie czai się jakieś niebezpieczeństwo. W tych stronach zdarzały się przypadki ataku bandytów lub sfory wilków. Wojuta natomiast pogwizdywał sobie beztrosko w siodle i niczym się nie przejmował.

– Powiedz mi, jak to się stało, że wasz łowczy urządza na tą bestię polowanie? – zagadnął w pewnym momencie wojownik, gdy wyjechali na otwartą przestrzeń i ścieżka rozszerzyła się znacznie, dzięki czemu mogli jechać obok siebie.

– Panu Wawrzyńcowi podsunął ten pomysł cudzoziemiec, niejaki Dacjan Nonus, jakiś arystokrata z Rzymu – Kłobucczanin mówił i zachowywał się wyraźnie swobodniej, nie stresował się już tak bardzo jak wtedy, gdy jechali w gęstym lesie.

– A co do cholery robił w tych stronach arystokrata z Rzymu?!

– Zwiedzał. Ponoć mój rodzinny Kłobuck leży na trasie dawnego szlaku bursztynowego, który wiódł od Morza Śródziemnego aż do Bałtyku. I ten Dacian Nonus postanowił sprawdzić, czy ostały się tu jeszcze jakieś antyczne pamiątki z dawnych lat.

– No dobrze... Więc odwiedził Kłobuck i co? Stwierdził, że trzeba zebrać grupę śmiałków i zapolować na waszego potwornego dzika? – Wojuta roześmiał się na koniec i pokręcił głową z politowaniem.

– Podobno to się już kiedyś wydarzyło. Tak przynajmniej twierdził ten Rzymianin. Mówił, że w pradawnych czasach, w krainie zwanej Kalidonem pojawił się potworny dzik. Tamtejszy król urządził na niego wielkie polowanie i tamtejsi bohaterowie ubili zwierza. Pan Wawrzyniec postanowił podjąć podobną próbę.

– Dzik to dzik, nie żaden potwór – oświadczył beznamiętnie Wojuta – Nie sądzę, żeby trudno było go zabić. Nie mogliście poprosić o pomoc w Krakowie?

– Próbowaliśmy… – odpowiedział Bogumił i nagle sposępniał. Widać było, że nie podobała mu się cała ta historia. Spojrzał na swojego kompana, po czym westchnął ciężko i kontynuował. – Posłaliśmy listy z prośbą o pomoc do księcia Bolesława. Niestety, doszły do niego także głupie plotki, że to Weles, pogański bóg świata podziemnego zesłał na nas tego dzika. Miała to być kara za to, że ludność Kłobucka przyjęła chrzest i wprowadziła nową wiarę wśród miejscowych. Książe Bolesław jest gorliwym chrześcijaninem. Na tyle gorliwym, że w ogóle nie chce się mieszać w takie pogańskie sprawy. Kazał nam zaprowadzić z tym porządek i tyle. No to co mogliśmy zrobić? Ludzie się boją. Potrzebujemy tam walecznych mężów, takich co zainspirują wieśniaków do walki, pokażą przykład.

Wojuta zamyślił się nad czymś mocno i przez chwilę się nie odzywał. Po jakimś czasie zbliżyli się znowu do lasu, a teren zaczął wznosić się łagodnie. Tym razem to Bogumił postanowił przerwać niezręczne milczenie.

– Panie Wojuta, a czy to prawda, co o panu powiadają? Spotkał pan kiedyś olbrzymów?

– Tak, stolemy na Pomorzu i plemię wełetów w Tatrach. Z niektórymi musiałem walczyć, a z innymi się zaprzyjaźniłem. Zapamiętaj Bogumile, nigdy nie próbuj pić z olbrzymami. To był chyba najgłupszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłem.

– Nie może być! A te inne opowieści? Te o walce z biesem opolskim? I te o spotkaniu z dawnymi bogami? I te, wedle których rodzanice naznaczyły pana jeszcze kołysce? Rodzanice były pogańskimi demonami przeznaczenia, prawda? Ludzie powiadają, że to przez to dokonuje pan tych wszystkich bohaterskich czynów.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać – urwał Wojuta i zmarszczył brwi groźnie. Rozgadał mu się ten cały Bogumił i za bardzo pofolgował swojej ciekawości. – Jeśli chcesz się czegoś o tym dowiedzieć, to wystarczy, że zapytasz o to jakiegoś bajarza lub śpiewaka.

– Przepraszam, nie chciałem wtykać nosa w nie swoje sprawy. Po prostu wiele o panu się mówi w całym kraju i kiedy w końcu spotkałem żywą legendę, to…

– Rozczarowałeś się? – zapytał wojownik i rozchmurzył się od razu. – Spokojnie, poczekaj, aż sięgnę po miecz i zobaczysz mnie w akcji, może wtedy uwierzysz choćby w część tych wszystkich legend.

Znowu wjechali między gęste drzewa i Bogumił ponaglił swojego wierzchowca. Zbliżali się już do Kłobucka i wkrótce mogli zobaczyć imponujące, drewniane palisady grodu na wzgórzu. Część umocnień była zdewastowana i kilku chłopów pracowało właśnie nad naprawieniem szkód.

– Czy to ten wasz dzik zrobił? – zagadnął zaciekawiony Wojuta, oglądając rozległe zniszczenia. Pierwszy raz pomyślał, że to faktycznie mógł być nie taki zwykły zwierz.

– Tak. Do tego zabił dwóch ludzi, a czterech innych zranił. Zaraz pan Wawrzyniec wszystko pokaże i wszystko dokładnie opowie. W zasadzie, to powinien być gdzieś tutaj i szykować całą kompanię do wymarszu. Czemu jest tu tak cicho?

Bogumił zeskoczył z konia i ruszył w stronę solidnych, drewnianych wrót. To samo zrobił Wojuta i po chwili mógł podziwiać rozległy gród. Mieszkańcy Kłobucka bardzo się napracowali, żeby postawić na tym wzgórzu tyle chat, stodół i aż dwie gospody. Z drugiej strony żyli w samym sercu puszczy i drewna mieli pod dostatkiem. Wojuta najdłużej przyglądał się zrujnowanej studni, połamanym płotom i wielkiej dziurze w jednej z chałup. Jeśli tego wszystkiego dokonał jeden dzik, to musiał być okrutnie silną bestią.

– Gdzie pan Wawrzyniec? – ostrym tonem zapytał jednego ze strażników Bogumił. – Gdzie książę Leszek? Gdzie rycerze zakonni? Gdzie do cholery podziała się cała kompania?

– Ruszyli kilka godzin temu – odpowiedział strażnik z bezczelnym uśmieszkiem na ustach. – I Wawrzyniec bardzo był na ciebie zły. Miałeś sprowadzić Wojutę skoro świt. Książęta i rycerze rwali się do walki i nie chcieli dłużej czekać. Pan Wawrzyniec musiał im ulec i poprowadził grupę na polowanie.

– Mówiłem, żeby nie zwlekać! – zawołał rozpaczliwie Bogumił, tym razem do Wojuty – Prosiłem, żebyśmy ruszyli od razu! Teraz nie wiadomo jak szybko ich odnajdziemy!

– Spokojnie – heros roześmiał się szczerze, widząc mieszankę rozpaczy i złości na twarzy mężczyzny. – Jestem przekonany, że spotkamy w lesie kogoś, kto wskaże nam

właściwą drogę. A jeśli nie, to będziemy nasłuchiwać wielkiej awantury. Znalezienie tak znamienitej kompanii nie może być przecież takie trudne, prawda?

***

Bogumił był strasznie nadąsany, od kiedy tylko razem z Wojutą opuścili Kłobuck i ruszyli na poszukiwania. Wojuta śpiewał coś beztrosko pod nosem i często zatrzymywał się, nasłuchując uważnie odgłosów lasu. Był przekonany, że prędzej czy później trafią na zaginionych łowców. Bogumił był innego zdania.

– To strata czasu! – oznajmił ze złością, po drugiej godzinie poszukiwań.

– Skąd ten pomysł? Przecież jesteśmy coraz bliżej – odparł wojownik i zatrzymał się przy okazałym dębie. – Nie widzisz? Spójrz tam, między drzewami.

Bogumił spojrzał we wskazanym kierunku, nie spodziewając się zobaczyć niczego niezwykłego. To co dostrzegł, sprawiło, że otworzył usta szeroko i niemal spadł z konia. Między drzewami przemykały w ciszy dziwne kobiety, o oliwkowej skórze, wszystkie poubierane w skóry leśnej zwierzyny. Niektóre dosiadały wielkich, rogatych żubrów, które potulnie kroczyły we wskazanym kierunku.

– Co to za dziwy? – wyszeptał Bogumił, wytrzeszczając oczy na niecodzienne widowisko.

– Dziewonie, nimfy leśne opiekujące się turami, jeleniami i inną zwierzyną łowną. A wiesz, co oznacza ich obecność? To, że twoi łowcy są niedaleko. Dziewonie wyprowadzają zwierzęta z tej okolicy, żeby nie padły one ofiarą myśliwych.

– Nie może być! O takich istotach opowiada się bajki małym dzieciom! – Bogumił przetarł oczy i odprowadził wzrokiem ostatnią leśną kobietę, znikającą już wśród drzew.

– Mieszkasz w okolicy i jeszcze ani razu ich nie widziałeś? – zdziwił się wojownik.

Nagle, spomiędzy drzew, tam, gdzie właśnie zniknęły dziewonie, wyszedł nieprawdopodobnie wysoki mężczyzna, ubrany w stare, podziurawione szaty. Poza budzącą respekt posturą, nieznajomy wyróżniał się gęstą brodą złożoną z jaskrawo zielonych liści, która sięgała niemal do ziemi. Jego skóra przypominała nieco korę drzewa, a ręce zakończone były długimi, ostrymi szponami.

– A któż to? – zapytał zaciekawiony Bogumił, wpatrując się w ponure, mroczne oblicze nieznajomego. Jego oczy były całkowicie czarne, zupełnie pozbawione białek. Przypominały one dwie ciemne, bezdenne otchłanie. Groźne spojrzenie sprawiło, że po plecach Bogumiła przeszedł dreszcz.

– To borowy – odparł Wojuta, a cała beztroska i dobry humor nagle go opuściły. – Nie waż się nawet drgnąć, Bogumił. Jeśli on zrobi choć krok w naszą stronę, to uciekaj do Kłobucka tak szybko, jakby miało od tego zależeć twoje życie.

Zza pleców borowego wyszedł powoli warczący, szary wilk o nastroszonej groźnie sierści. Borowy powstrzymał lewą ręką dzikie zwierzę, podczas gdy Bogumił uspokajał swojego spanikowanego ogiera. Porośnięty liśćmi leśny dziad przypatrywał się długo Wojucie w milczeniu, po czym wyciągnął powoli prawą rękę i wskazał na wąską ścieżkę biegnącą tam między drzewami. Następnie borowy odwrócił się powoli i odszedł w ślad za dziewoniami, a powarkujący wilk ruszył za nim. Zwierzę co chwilę oglądało się na osłupiałych mężczyzn. Ani Wojuta, ani Bogumił nie odważyli się poruszyć, dopóki wilk nie zniknął im z oczu.

– Jedziemy dalej – powiedział spokojnie heros i otarł pot z czoła. – Jedziemy tam, gdzie pokazał i to szybko. Sprawy musiały przybrać bardzo zły obrót, jeśli borowy woli oddalić się na bezpieczną odległość.

– Kto to był?! – zapytał zszokowany Bogumił, po czym ruszył za Wojutą pośpiesznie w stronę wskazanej ścieżki. Legendarny wojownik wydawał się być teraz nieco zestresowany.

– Opiekun okolicznych lasów. Bardzo groźny osobnik, rzadko ujawniający się śmiertelnikom pod swoją prawdziwą postacią. Wydajesz się mało wiedzieć o tych stronach, mój przyjacielu. Chyba, że do tej pory uważałeś wszystko za głupie plotki i legendy.

– Chyba mam majaki – stwierdził Bogumił i przeżegnał się dwukrotnie.

***

Jechali przez jakiś czas w milczeniu, rozglądając się dookoła nerwowo. W końcu usłyszeli pierwsze odgłosy polowania: ujadające psy i nawołujących ludzi.

– Kto tam?! – zawołał groźnie mężczyzna, który wyszedł nagle zza drzewa z dzidą w rękach. Całe ubranie miał ubłocone i pokryte liśćmi. W pierwszej chwili Bogumił wziął mężczyznę za kolejne leśne widziadło, ale przypatrzywszy się mu dokładniej rozpoznał go jako jednego z kłobuckich strażników.

– Bogumił z Kłobucka! Uniżony sługa pana Wawrzyńca. Przybywam z legendarnym bohaterem, Wojutą, aby wesprzeć was w polowaniu na bestię.

– Wojuta! – mężczyzna z dzidą zupełnie zignorował Bogumiła i od razu podbiegł do rosłego wojownika. – Zaprawdę, bogowie nam pana zesłali!

– Bóg! – upomniał Bogumił z wyższością. W jego głosie dało się słyszeć naganę. – Bóg jedyny, wszechmogący. Ale skupmy się na potwornym dziku. Jak sprawa wygląda? Osaczyliście bestię? Słyszę nawoływania ludzi.

– A gdzie tam, dobrzy panowie! Tu zostali jedynie ranni – mężczyzna odsłonił brudną tunikę, pokazując przesiąknięte krwią bandaże na udzie. – Jechaliśmy w pięknym szyku przez las i szukaliśmy tego demonicznego dzika, a tymczasem to on znalazł nas! Po prostu wybiegł na nas z chaszczy, wielki jak stodoła i rozeźlony niczym sam diabeł. Stratował połowę kompanii!

– I nikt nie zareagował? – zapytał Wojuta z powątpiewaniem.

– Zareagowali, a jakże – mężczyzna z dzidą był wyraźnie podekscytowany tym, że rozmawia z nim opiewany w pieśniach bohater. – Sir Godfryd, ten templariusz co wybrał się z nami na łowy, własnym ciałem zasłonił księcia Leszka. Zacny chłop. Już go pochowaliśmy z całym należnym ceremoniałem. Drugi pasowany rycerz, ten krzyżak przeklęty, to z kolei zupełnie na odwrót zareagował. Na widok dzika uciekł z krzykiem niczym płochliwa panienka. Za to panienka z naszej kompanii, dzielna Drogomira, córka Wszebora, dwie strzały zdążyła w stronę dzika wypuścić. Jedną przebiła oko potworowi i chyba tylko dzięki temu bestia znowu w krzaki pognała. Na ten znak książę i łowczy Wawrzyniec zarządzili: ranni i martwi zostają, a my ścigamy ranne zwierzę i je dobijemy.

– Ten dzik chyba wcale nie jest taki gotowy do dobicia – stwierdził rzeczowo Wojuta i skinął głową w stronę Bogumiła. – Jedziemy szybko śladem Wawrzyńca i reszty. W całą tą sprawę faktycznie zamieszane są mroczne siły. Inaczej by się nam nie objawił borowy. Dużo ich tam ruszyło w pościg?

– Pan Wawrzyniec, książę Leszek – zaczął wyliczać na palcach mężczyzna, przez co upuścił włócznię w pokrzywy rosnące nieopodal – Wszebor, Drogomira. No i niejaki Mścigniew. To ten ostatni pan ich poprowadził, zarzekał się, że widział, w którą stronę zbiegł dzik.

– Kmiotku, do rzeczy! – oburzył się Bogumił. – Nie widzisz, że panu Wojucie śpieszy się na ratunek? Wskaż nam drogę i wracaj doglądać rannych!

Mężczyzna skłonił głowę pokornie i pokazał im właściwy kierunek. Następnie schylił się i mamrocząc pod nosem zaczął szukać dzidy w pokrzywach. Kiedy podniósł się z powrotem, Wojuty i Bogumiła już nie było.

***

Mężczyźni przemierzali coraz gęstszy las, gdzie wydeptana ścieżka między drzewami ledwo była widoczna spod porastającej ją świeżej trawy. Widać było, że niegdyś był to często uczęszczany szlak, ale w ciągu kilku ostatnich lat został mocno zaniedbany. Co jakiś czas mijali wielkie głazy poukładane przy drodze, niektóre ozdobione dziwnym, runicznym pismem. Bogumił nie zwracał na nie uwagi, za to Wojuta przyglądał się im badawczo i mamrotał coś pod nosem.

W końcu drzewa przerzedziły się, a przed ich oczami ukazała się szeroka polana. Liczne, ogromne głazy otaczały ją z każdej strony ciasnym okręgiem. Nie sposób było pojąć, jak ktoś przytaszczył tu tak wielkie kamienie i tak równo je poukładał. Między głazami kręciło się kilku konnych. Bogato wystrojony książę wyróżniał się na tle buro poubieranych pozostałych łowczych.

Bogumił już chciał wyjechać na polanę, kiedy Wojuta przytrzymał go i gestem nakazał zachować ciszę.

– Który to ten Mścigniew? Ten młody, z chytrym uśmiechem na twarzy? Ten, co trzyma noże w rękach? – zapytał szeptem wojownik, na co Bogumił pokiwał głową energicznie.

Obaj mężczyźni zsiedli z koni i uczepili je do najbliższego drzewa. Pozostając w ukryciu przyglądali się scenie rozgrywającej się wśród głazów.

– No i gdzie ten dzik?! – oburzył się Wszebor, starszy człowiek w prostych, zakurzonych szatach. – Mścigniew, z ciebie taki tropiciel jak ze mnie tancerz! Mówiłem, żeby ruszyć w drugą stronę!

– Dzik zaraz się tu zjawi… – obiecał młodzieniec z nieprzyjemnym wyrazem twarzy, po czym zaczął okrążać głazy powoli. – Właśnie tutaj ma swoje leże, pod czujnym okiem Welesa, boskiego władcy podziemnego świata! Tutaj, o wielki Welesie, przyprowadziłem ci ofiarę z królewskiej krwi!

– Co też za głupoty pleciesz Mścigniew?! – wykrzyknął Wawrzyniec, siwy mężczyzna stojący u boku bogato wystrojonego księcia Leszka. – Żarty się ciebie trzymają w takiej chwili?!

– To nie żart! Stoicie w samym centrum dawnej świątyni Welesa, w środku świętego kręgu, w którym składano ofiary bogu podziemi. Wy głupcy! Zachciało się wam nakłaniać do chrześcijaństwa okolicznych chłopów? Karaliście ich za kultywowanie dawnych wierzeń? No to zaraz dostaniecie za swoje! Mój potężny bóg przysłał mnie tu z misją, tak jak wcześniej zesłał na was swojego ukochanego potwora! To przez was od dawna nikt nie składał mu należnych ofiar. Teraz zginiecie tu ku chwale potężnego Welesa!

W czasie złowrogiego przemówienia Mścigniewa okoliczne drzewa zatrzęsły się złowrogo, a z krzaków wylazł ogromny, czarny dzik. Był wielki niczym tur, z szablami większymi nawet niż miecze półtoraręczne. Jego gęsta sierść poznaczona była licznymi bliznami, które układały się w jakieś symbole runiczne. Prawe oko zwierzęcia jarzyło się złowrogim, czerwonym blaskiem. Lewe przebite było strzałą.

Potwór zawarczał groźnie i pognał pędem w stronę kamiennego kręgu. Roztrącił najbliższe głazy, by dotrzeć do otoczonych mężczyzn. Ci ledwie zdążyli zapanować nad spanikowanymi końmi i umknąć za największy z kamieni. Bestia uderzyła ogromnym łbem w przeszkodę z taką siłą, że aż ziemia zadrżała.

Wojuta wybiegł ze swojego ukrycia i już pędził w stronę bestii, po drodze wyszarpując szeroki miecz z pochwy u pasa. Krzyknął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę dzika, ale bardzo szybko tego pożałował. Zwierzę obróciło się błyskawicznie i spojrzało na niego z czystą furią w jedynym pozostałym oku. Potwór ruszył w stronę wojownika, ogromnymi racicami wyrywając spore połacie trawy. Słychać było głośny huk, po czym Wojuta odbił się od dzika niczym szmaciana lalka i wpadł na najbliższy głaz.

– Nie! – zawołał Wawrzyniec z rozpaczą, gdy bestia znowu zwróciła się w stronę osaczonych myśliwych. Mężczyźni stracili wolę walki, widząc siłę rozszalałego potwora. Tylko Drogomira zachowała zimną krew i dzielnie wypuszczała z łuku strzałę za strzałą, wprost w gęste futro zwierzęcia. Niestety, wszystkie pociski odbijały się od czarnej sierści. Dziewczyna nie mogła w to uwierzyć, w końcu niedawno udało jej się w ten sam sposób przebić oko bestii.

W międzyczasie Bogumił pognał do Wojuty, leżącego pod jednym z głazów. Wojownik wyglądał na lekko zamroczonego, ale poza tym był cały.

– Co planowałeś zrobić?! Kto to widział, żeby pędzić tak naprzeciw potwornej bestii?!

– Pomodliłem się... – wyszeptał Wojuta i z pomocą Bogumiła podniósł się na nogi. – Pomodliłem się do Peruna i poprosiłem o użyczenie mi cząstki jego siły. Do tej pory to zwykle działało, ale tym razem…

– Peruna?! – Kłobucczanin zawołał z oburzeniem, dosyć już mając wszystkich tych pogańskich bredni. Mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, że tym okrzykiem zwrócił na siebie uwagę dzika. Wojuta pociągnął go za głaz w ostatniej chwili przed tym, jak miała w nich uderzyć szabla dzika.

– Już wiem! – ucieszył się Wojuta, gdy razem z Bogumiłem biegli do kolejnego kamienia. Ich poprzednie schronienie rozsypało się na kawałki po ataku potwora. – Ta bestia

to pupil Welesa, a my jesteśmy na poświęconej mu ziemi! Mścigniew przyprowadził wszystkich tam, gdzie dzik dysponuje największą siłą!

– I co teraz?

– Odciągnę go stąd – oznajmił heros i popchnął Bogumiła w stronę reszty ludzi, tłoczących się razem z końmi za kamiennym kręgiem.

Wojownik obrócił się na pięcie i pobiegł w stronę dzika. W ostatniej chwili skręcił lekko, tak by być po lewej stronie potwora. Przebite oko z tamtej strony mogło przeszkodzić zwierzęciu w celnej szarży. Dzik kwiknął z wyraźną radością i pochylił lekko głowę, tak by przebić mężczyznę pokaźnym kłem. Tym razem jednak Wojuta zdołał zrobić unik i chlasnął mieczem w bok potwora. Krew bryznęła, skraplając Wojutę od stóp do głów, ale była to tylko powierzchowna rana.

Mimo wszystko cios wystarczył, by doprowadzić dzika do szaleńczej furii. Zwierzę obróciło się po raz kolejny, by znowu zaszarżować na bezczelnego mężczyznę. Ten jednak już uciekał w stronę lasu, lawirując zwinnie między drzewami. Dzik pognał za nim ze zdecydowanie mniejszą finezją. Po prostu przewalał mniejsze drzewa, a od większych się odbijał, nie zwalniając przy tym ani na chwilę. Wojuta poczuł na karku trujące wyziewy z paszczy potwora, przez co powoli zaczynało kręcić mu się w głowie.

– Jeszcze tylko chwila, jeszcze kawałeczek... – szeptał w biegu wojownik. Bał się obejrzeć za siebie i sprawdzić, jak blisko był potworny dzik. Biegli tak przez dobrych kilka minut, oddalając się od dawnej świątyni Welesa. – Jeszcze odrobina… Perunie… Słyszysz mnie?

Odpowiedział mu grzmot. Na ten znak czekał Wojuta. Chwycił mocniej swój miecz i wykrzesał z siebie resztki sił. W biegu odbił się w górę od leżącego nieopodal pniaka i wyskoczył wysoko. Skręcił przy tym lekko w lewo, by utrudnić potworowi właściwą ocenę sytuacji. W locie oburącz uniósł swój miecz nad głowę. Zdezorientowany dzik przebiegł pod nim, zadzierając paskudny łeb na tyle, na ile pozwalał mu na to sztywny kark.

– Giń! – zawołał Wojuta, gdy prosto z niebios w jego miecz uderzyła błyskawica. O dziwo piorun nie spopielił herosa, tylko rozświetlił jego broń boskim blaskiem. Wojownik z nadludzką siłą ciął w dół, jednym uderzeniem odrąbując łeb demonicznego dzika. Ogłuszający grzmot, jaki towarzyszył temu uderzeniu, słyszeli wszyscy w okolicy, nawet oddaleni o wiele mil ludzie w Kłobucku. Niektórzy przeżegnali się wtedy trwożnie, a inni, oddani w sercu dawnej wierze, wspomnieli szeptem imię Peruna.

***

– Co to było? Słyszeliście to? – zapytał Bogumił, prowadząc schwytane dopiero co konie w stronę łowczego Wawrzyńca.

– Nie zbiera się na burze, niebo jest czyste... – stwierdził z zakłopotaniem myśliwy Wszebor.

– Patrz ojcze, tam! – zawołała bystrooka Drogomira, wskazując na ścianę lasu. Na wszelki wypadek nałożyła strzałę na swój morderczy łuk. – Czyżby to ta przeklęta gnida Mścigniew?

– Czekaj! Nie strzelaj – Bogumił wybiegł przed kamienny krąg i zaczął machać rękami. – To Wojuta! Przeżył!

Wojownik wyłonił się zza drzew i stanął przed nimi w blasku słońca, dumny, wyprostowany i potężny. W jednej dłoni dzierżył swój szeroki miecz, a drugą ręką ciągnął po ziemi gigantyczny łeb dzika. Jego muskularny tors zbryzgany był krwią, przez co przypominał teraz bardziej uosobienie boga wojny niż zwykłego śmiertelnika. Wojuta rzucił głowę zwierza tuż pod nogi księcia Leszka Czarnego.

– Nie musicie się już przejmować tym potworem – oznajmił, po czym otarł pot z czoła. – Udało się wam zatrzymać Mścigniewa? Myślę, że jest w sekrecie kapłanem Welesa.

– Nie – odparł książę, pochylając się nad dziczym łbem. – Napuścił na nas tego zwierza i uciekł. Chyba w tej samej chwili, gdy ty wkroczyłeś do akcji.

– I co teraz zamierzasz, książę? – Wojuta schował miecz do pochwy i spojrzał z zaciekawieniem na Leszka Czarnego, młodego chłopaka o sporych wpływach. Wśród ludu krążyła opinia, wedle której bezdzietny Bolesław Wstydliwy miał wybrać właśnie Leszka Czarnego na swojego następcę.

– Wyślę listy gończe za Mścigniewem, oskarżę go o próbę zabójstwa i kultywowanie pogańskich zabobonów – książę zatoczył ręką łuk, wskazując pozostałości pogańskiego, kamiennego kręgu. – A całe to miejsce każę zrównać z ziemią i wybudować tu kapliczkę.

– Błąd – stwierdził Wojuta i obrócił się tyłem do całej grupy. – Wymuszając na miejscowych wiarę chrześcijańską rozdrażniliście Welesa, a stawiając tu chrześcijańską kaplicę rozzłościcie go jeszcze bardziej. Zostawcie to miejsce w spokoju.

– Jakim prawem się ode mnie odwracasz Wojuta?! – oburzył się Leszek. – Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Hej! Nie odchodź! Nie weźmiesz udziału w świętowaniu? Zabiłeś potwora, musimy to uczcić!

– Nie… – Wojuta zatrzymał się wpół kroku i obejrzał się na zaskoczonego księcia. – Laur zwycięstwa należy się Drogomirze. Gdyby nie oślepiła dzika na jedno oko, to nie

dałbym rady go podejść i zabić. Ja nie chcę mieć już z tym nic wspólnego – wojownik obrócił się w stronę kamiennego kręgu i zawołał głośno – Słyszałeś Welesie?! Ostrzegłem ich! Nie miej mi za złe tego, co dalej się wydarzy!

Wojuta zostawił za sobą zaskoczonych chrześcijan i ruszył w stronę starej szkapy, która nadal wiernie czekała tam, gdzie ją zostawił.

– Jakże to tak? Wojuta! – nawoływał zasapany Bogumił, który dogonił wojownika w połowie drogi. – Słyszałem o tobie wiele opowieści, ale w każdej byłeś rządny sławy! A teraz co, całą zasługę gotów jesteś oddać Drogomirze? Owszem, strzeliła celnie, ale ostatecznie to ty zabiłeś potwora!

– Bogumił, jadąc tutaj miałeś okazję dostrzec pozostałości dawnych czasów, czasów przedchrześcijańskich – Wojuta uśmiechnął się do niego, po czym wskoczył na starą klacz. – Jak możesz być nadal ślepy na oczywisty fakt?

– Jaki znowu fakt? Widzieliśmy jakieś leśne dziwy, ale co z tego?

– Chrześcijaństwo nie opanowało jeszcze całkowicie tych ziemi, stare bóstwa i moce im oddane nadal nieźle się tu trzymają. Dlatego ostatnie, co chcę zrobić, to obrazić Welesa. Zapamiętaj moje słowa, to potężny i naprawdę groźny bóg. A teraz bywaj Bogumile, miło było z tobą podróżować.

***

I tak właśnie Wojuta odjechał, za nic mając sobie oburzonego i krzyczącego za nim Leszka Czarnego. Młody książę niczego nie zrozumiał z tej przygody. Wszebor i Drogomira zrozumieli, więc też czym prędzej opuścili Kłobuck i nie wzięli udziału w świętowaniu. Natomiast Bogumił nie miał pojęcia, co myśleć o tym wszystkim. Po latach nic nie zostało z pogańskiego kręgu, a Kłobuck stał się wielkim, znanym w świecie miastem. Wielu uznało, że za całą aferę nie był odpowiedzialny potwór, tylko wielki, ale całkiem zwyczajny dzik. Z drugiej strony, gdy od tej pory Bogumił jechał samotnie konno przez gęsty las, to nie mógł być już ślepy na to, co dostrzegał między drzewami. Dziewonie, nimfy, rusałki… Okoliczne puszcze wciąż były pełne tych cudownych stworzeń. To Wojuta otworzył mu oczy na te sprawy. Bogumił miał nadzieję, że będzie mu dane jeszcze kiedyś spotkać tego wielkiego bohatera, że przy następnej okazji zdradzi mu więcej z tajemnic pradawnego świata.

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

MAŁGORZATA RANDAK-JEZIERSKA

Marketing strategiczny w hołdzie dla miasta piórem mistrza Jana spisany

– *Village comme village*[1] – zaskrzypiało indywiduum okryte szarą opończą. Ubiór sprawił, że osobnik ten lekko tylko był widoczny w panującym półmroku. Najlepiej w panującej szarzyźnie odznaczał się kształt jego nakrycia głowy: coś jakby dwuróg lub pieróg.

– *Za moich czasów pełne gwaru* – odpowiedziała zmęczonym głosem druga postać. Głos przypominał raczej zmęczony szept wydostający się ze starej krypty i na pewno należał do mężczyzny. Bardzo starego mężczyzny, dodajmy dla porządku.

– *Na kogo czekamy w tym dziwnym miejscu?* – zapytała młoda kobieta o zniewalającej urodzie i jeszcze piękniejszej sukni, co byłoby widać, gdyby była należycie oświetlona. – *Po co tu w ogóle jesteśmy?* – dodała niecierpliwie.

– *Zadośćuczyniam, petite Marie*[2] – odpowiedział krótko ten w szarej opończy. Niepotrzebnie silił się na język polski, gdyż słowo „zadośćuczyniam" doprawione francuskim akcentem zabrzmiało jak „zaadosc uc zyniaaam". Dobrze, że chociaż „petite Marie" wypadło tak, jak trzeba.

– *Bardzo dobrze, bardzo dobrze, Panie* – wyszeptał starzec i zatarł z radością ręce, po czym wyjął z sakwy podróżnej gęsie pióro, butelkę inkaustu i papierowe karty.

– *Pan ciągle używa gęsiego pióra?* – zdumiała się kobieta. – *Nie lepszy byłby długopis albo ostatecznie ołówek?* – zapytała, wzruszając krągłymi ramionami, co również nie umknęłoby uwadze obserwatorów, gdyby ją mogli dokładnie widzieć.

– *Nie dla tej misji* – stanowczo odparł mężczyzna z piórem w dłoni. – *Tu chodzi o honor miasta bliskiego memu sercu. Takich historii nie zapisuje się byle czym. To musi zostawić ślad w kronikach i wpłynąć na przyszłe pokolenia, więc i sposób dokonania wpisu musi być tego godny.* – Wytłumaczywszy jej to wszystko odwrócił się w kierunku szarej opończy okrywającej, jak wszyscy już na pewno zrozumieli, jakiegoś ważnego Francuza:

[1] Z fr.: Miasteczko jak miasteczko
[2] Z fr.: Marysiu

– *Monsieur*[3]*, czy ma pan plan?* – zapytał.

– *Non, je regrette*[4] – odpowiedział zmęczonym głosem Francuz. – *Wiem, że potomni ciągle nazywają mnie genialnym strategiem. Nie chwaląc się jeszcze dziś mógłbym poprowadzić do zwycięstwa wielką armię! W tej historii jest jednak za dużo niewiadomych. Wiem tylko, że mamy tu spotkanie. Napisane było wyraźnie: 2 juin. Minuit moins cinq. Paroisse Saint–Martin. Klobuck*[5]*. I pamiętajcie, jestem tu incognito!*

– *Tak, panie* – starzec skinął głową, godząc się z tym, co usłyszał, a potem dodał: *Dobrze, że to wszystko dzieje się w mojej parafii. Los nam wyraźnie sprzyja.*

Mrok coraz bardziej gęstniał. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Nie widzieli już siebie nawzajem. Słyszeli tylko swoje niespieszne oddechy i od czasu do czasu stukot pantofelków belle Marie[6], która co chwilę zmieniała pozycję ciała, gdyż była coraz bardziej znudzona tym trwaniem poza czasem.

– *Zapalmy świeczkę* – wyszeptała w którymś momencie. – *Nie mogę już znieść tego mroku!*

– *Dobrze*, odpowiedział starzec. Wyjął z sakwy mały ogarek i skrzesał wątły ogień. Zrobiło się tylko odrobinę jaśniej. Nagle coś błysnęło i pojawił się przed nimi cień młodego mężczyzny w wojskowym uniformie. Był oficerem – o ile nie mylił ich wzrok w tym świetle.

– *Byłem wzywany. Czym mogę służyć?* – zapytał po polsku z silnym francuskim akcentem i energicznie skinął głową na powitanie.

– *Prowadzimy śledztwo, panie oficerze* – wyjaśnił starzec. – *Został pan tu wezwany w charakterze świadka.*

– *Świadka?! Nie rozumiem tego słowa* – wyraźnie zdziwił się młody wojskowy. – *Co oznacza: świadka?*

Starzec spojrzał na młodą kobietę i wzrokiem poprosił ją o pomoc.

– *Świadek to po francusku le témoin* – wyjaśniła krótko.

– *Aaaa, rozumiem, proszę jednak o dalsze wskazówki* – dodał młodzieniec.

– *To piękne miasteczko wypełnione jest ludźmi, którzy źle reagują na pewne słowo, szczególnie w połączeniu z nazwą ich miasta* – wyjaśnił starzec. – *Jako kronikarz czuję się tym*

---

[3] Z fr.: Panie
[4] Z fr.: Nie, żałuję
[5] Z fr.: 2 czerwca. Pięć minut do północy. Parafia świętego Marcina. Kłobuck
[6] Z fr.: Pięknej Marii

osobiście dotknięty. Przez tyle wieków starałem się, aby wizerunek tego miejsca był nieskazitelny, a tu proszę: jedna głupia historia i takie konsekwencje!

Młody oficer był nadal zagubiony, co było widoczne na jego twarzy.

– *Jaką rolę ja odgrywam w tej historii?* – zapytał grzecznie.

– *A taką, że byłeś tu razem ze mną, w mojej armii* – odezwał się nagle Francuz w dziwnym nakryciu głowy. – *Musisz zatem coś wiedzieć. Miejscowi opowiadają, że w mojej armii służył niejaki Pierre Dolle.*

– *Ja z kolei słyszałem, że rzeczony Pierre był panem na okolicznych włościach* – przerwał Francuzowi starzec, drapiąc się w tym samym czasie piórem w głowę.

– *Hę?* – zdziwił się Francuz. – *Quel bordel!*[7] (Na szczęście zaklął po francusku, by nie urazić wrażliwych uszu damy). *Nawet tego nie wiemy na pewno?!*

– *Niestety, Panie* – odpowiedział starzec. – *Musimy to wszystko dopiero odkryć.*

– *O co chodzi z tym Pierrem?* – zapytała kobieta. – *Co jest takiego dziwnego w tej postaci?*

– *A to, mon amour*[8]*, że ponoć Polacy nie umieli wymówić jego nazwiska i przekształcili je w Pierdola, a stąd już było bardzo blisko do Pierdoły, o co teraz mają do mnie nieustające pretensje. I muszę im to zaadosc uc zyniaaac* – z goryczą odpowiedział Francuz.

– *Nie tylko ty, Panie. Ciągle w zaświatach słyszę: gdyby tylko mistrz Jan żył, nigdy by do tego nie dopuścił!* – dodał starzec i pokiwał z zadumą głową. – *To prawda, za moich rządów nigdy by do tego nie doszło.*

Młody oficer myślał gorączkowo i w końcu stwierdził:

– *Nie było wśród nas nikogo takiego. Nie przypominam sobie.*

– *To może użyjemy logiki?* – zaproponowała młoda dama, uśmiechając się z wyższością.

– *Co Pani przez to rozumie?* – zainteresował się starzec.

– *A to, drogi mistrzu, że nie jest prawdą, iż żaden Polak nie wymówi nazwiska Pierre'a Dolle'a. Każdy wymówi. Usłyszymy Pier Dol, jedynie bez tego francuskiego r. To po pierwsze. Po drugie: używanie tylko wersji Pier Dol jest dla Polaków dziwaczne, więc na pewno zaczęli jego imię i nazwisko odmieniać przez przypadki. Kto? co? Pier Dol. Kogo? czego? Piera Doly. Komu? czemu? Pierowi Dole. Kogo? co? Piera Dolę. Z kim? z czym? Z Pierem Dolą. O kim? o czym? O Pierze Dole. Jest jeszcze wołacz, ale zawsze miałam z nim kłopoty, więc go pominę.*

---

[7] Nie będziemy tłumaczyć tego przekleństwa, żeby nie zgorszyć czytelników ☺

[8] Z fr.: Moja miłości

Ale zwróćcie Panowie uwagę na dopełniacz. Dla Polaka mówienie: Piera Doly jest trudne. O wiele łatwiej mu wymówić Piera Doły. Pojawia się więc litera „ł", która finalement[9] *prowadzi do pierdoły. Zagadka rozwiązana!*

– *Rzeczywiście…* – zadumał się starzec. – *Pięknie to, Pani, wywiodłaś. Tak mogło być. Jak się potwierdzi, to odnotuję Pani wywód w moich kronikach dla potomnych* – dodał wyraźnie z siebie zadowolony.

– *Dziękuję* – uśmiechnęła się młoda kobieta i z gracją skinęła głową. – *Znaleźć się w mistrza kronikach to prawdziwy dla mnie zaszczyt.*

– *Un moment, SVP*[10] – rzekł twardo Francuz. – *Pochodzenie słowa zostało być może wyjaśnione, ale musimy prześledzić, skąd ten człowiek się tutaj wziął. Nie życzę sobie, żeby znowu jacyś Polacy truli mi głowę w zaświatach! Musimy to wyjaśnić raz, a dobrze!* – dodał z mocą.

– *Wyślijmy Pana oficera na zwiady, a ja w tym czasie zanotuję słowa Madame*[11] *w moim brudnopisie* – zaproponował starzec.

– *No, to nareszcie jest jakiś pomysł* – odparł Francuz, a potem zwrócił się do młodego oficera: *Za chwilę przeniosę Cię w czasy, w których razem z moją armią stacjonowałem w tych okolicach. Rozejrzyj się uważnie za mężczyzną imieniem Pierre Doll. Zbadaj wszystkie wątki tej historii, nie spiesz się!* – Powiedziawszy to wszystko rzucił oficerowi brzęczący mieszek. – *To na wydatki podczas tej misji* – dodał.

Młodzieniec chciał jeszcze o coś zapytać, ale Francuz pstryknął palcami i młodzieniec zniknął.

– *Usiądźmy* – zaproponował Francuz – *i zagrajmy w jakąś grę, bo trochę mu zejdzie czasu na poszukiwaniach.* – Znowu pstryknął palcami i pojawiły się przed nimi trzy wygodne fotele w stylu empire oraz okrągły mały stolik, na którym stały trzy filiżanki i parujący imbryk.

– *No cóż* – powiedział starzec, widząc to wszystko – *z przyjemnością napiję się herbaty na terenie mojej ulubionej parafii.* – A potem dodał: *Madame, proszę czynić honory domu*.

Kobieta rozlała herbatę i rozsiadła się wygodnie w fotelu. – *W co będziemy grać?* – zapytała. – *Oczywiście w zagadki* – odpowiedział Francuz.

---

[9] Z fr.: Koniec końców, wreszcie, ostatecznie
[10] Z fr.: Chwileczkę
[11] Z fr.: Pani

– *To ja pierwszy!* – zgłosił się starzec i zapytał: *co to jest: na podobieństwo sieci pajęczej oplata świat, a nie składa się z nici przędnych.*

– *To proste* – odparł Francuz. – *Odpowiedź brzmi: Internet. Ach, gdybym dysponował takim narzędziem na l'île Sainte–Hélène*[12]*! Losy świata potoczyłyby się inaczej!*

– *Hmmm* – zafrasował się starzec. – *Gdybym ja miał takie narzędzie… Moja kronika byłaby znana na całym świecie!*

– *Mnie znałby cały świat!* – westchnęła młoda dama. – *Ach, Hollywood… Bulwar Zachodzącego Słońca… Czuję, że imiona Maria i Oskar tak bardzo do siebie pasują!*

– *Wpisałem imię Waszego syna do mojej kroniki* – zaczął mówić starzec, ale nie skończył, bo znowu błysnęło i pojawił się młody oficer w towarzystwie grubego karczmarza, który był opasany fartuchem i ściskał w ręku kufel piwa. Piwo chlupnęło i trochę się go wylało.

– *Mission accompli*[13] – zasalutował oficer. – *Nie było żadnego żołnierza o podanym nazwisku i żadnego właściciela majątku. Był tylko ten oto karczmarz, którego przywiodłem przed wasze oblicza, żeby sam wszystko wytłumaczył.*

Zebrani popatrzyli na karczmarza. Zadrżał pod ich spojrzeniem, ale szybko się opanował i wyjąkał:

– *Ccco szlachettni Państwwo chcą wwwiedzieć?*

– *Mów, jak było!* – rzekł Francuz w szarej opończy. *I niczego przed nami nie taj!*

– *Pppanie mój, ja jestem karczmarz z dziada pradziada. Mój dziad był Piotr, mój ojciec Piotr, ja jestem Piotr. To Twoi żołnierze przemianowali mnie na Piera. Bez przerwy słyszałem, jak nawoływali się co wieczór na spotkanie w mojej karczmie. U Piera Dola o zmierzchu! U Piera Dola najlepsze piwo! Pier Dola pożyczy pod zastaw! I pożyczałem, Panie mój! A potem odeszliście. Zostałem z całym stosem niepotrzebnych rzeczy, których twoi żołnierze ode mnie nie wykupili. No i się rozniosło po okolicy…* – Tu karczmarz spuścił głowę i popatrzył na swoje buty.

– *Aaa, teraz rozumiem* – powiedział starzec. – *Pierdoła stracił pieniądze, a zyskał parę niepotrzebnych fantów. Wszystko jasne! Dobre serce nagrodzone złą sławą, albo chciwość nagrodzona złą sławą. Nie wiadomo, co prawdziwsze.* – Stwierdziwszy to, pokiwał z zadumą głową.

[12] Z fr.: Na Wyspie świętej Heleny
[13] Z fr.: Misja zakończona

– Panie, w moim fachu nie można inaczej! Człek by poszedł z torbami, gdyby nie przychylał się do próśb braci żołnierskiej lub innej. Albo straciłby zdrowie, a nawet życie! – wyjęczał karczmarz.

– No tak, to prawda – rzekł Francuz. *– Moi żołnierze byli bitni aż miło. Mogliby wygarbować mu skórę za brak chęci współpracy.*

– Ale jak to zapisać w kronikach? – jęknął starzec. *– Oj, coś mi się widzi, że będziemy w zaświatach bez przerwy osądzani za tego Pierdołę!*

– Non[14]*! Wystarczy tego! Musimy znaleźć sposób na takie opowiedzenie tej historii, żeby bycie pierdołą było zaszczytem dla potomnych!* – powiedział Francuz, a zabrzmiało to jak rozkaz. *– Myślcie!* A potem zwrócił się do kobiety: *Ma chérie*[15]*, zademonstrowałaś nam przed chwilą bardzo logiczny wywód, ufam, że równie łatwo wymyślisz rozwiązanie tej nieprzyjemnej opowieści!*

Młoda kobieta uśmiechnęła się do mężczyzny w szarej opończy, a potem zmarszczyła czoło i zaczęła powtarzać jedno słowo. Brzmiało ono tak: *karczmarz…karczmarz…karczmarz…*

– Jak karczmarz, to i karczma, albo gospoda, albo zajazd – powiedział starzec – *czyli piwo, miody, gorzałka, pieczyste, kapuśniak i bigos* (tu stary człowiek rozrzewnił się odrobinę i mlasnął z ukontentowania), *kiszone ogórki i śledzie! Ach, zjeść jeszcze raz kiszonego ogórka!* Mówiąc te słowa rozrzewnił się już tak bardzo, że tylko kiwał głową, widząc oczami wyobraźni jakieś dawne uczty, w których brał udział.

Karczmarz przestępował z nogi na nogę. W końcu odważył się powiedzieć:

– Mam to wszystko u siebie. Nie chcę się chwalić, ale ludzie mówią, że można u mnie bardzo dobrze zjeść i wypić. Dalej wołają, jak żołnierze Jaśnie Pana, że u Piera Doły najlepsze pszczoły!

– U Piera Doły najlepsze pszczoły?! – powtórzył głośno Francuz, a potem zapytał ze zdziwieniem: *ale co mają pszczoły do karczmy?*

– Moja rodzina prowadzi pasieki – wyjaśnił karczmarz. *– Z miodu produkujemy wyborne miody pitne, pieczemy miodowniki, a naszą specjalnością jest miodna kaczka. Po prostu palce lizać!* – Mówiąc to, oblizał demonstracyjnie swoje palce.

– Pamiętam z czasów stacjonowania w tej okolicy, że miody były rzeczywiście pyszne! – przypomniał sobie oficer.

---

[14] Z fr.: Nie!
[15] Z fr.: Kochanie

– *Mam na stanie naprawdę dobry ich zapas* – powiedział karczmarz. – *Zapraszam do siebie na poczęstunek. A i zdrowotności od nich przybywa, byle tylko zachować miarę w piciu* – wyjaśnił zebranym.

– *I mają zastosowanie w kuchni, co pamiętam z dawnych lat* – wykrzyknęła kobieta. – *Nadają się znakomicie do naszych planów!*

Francuz, dotąd posępny jak chmura gradowa, uśmiechnął się po raz pierwszy. – *To mi się podoba!* – zawołał. – *Widzę w tym haśle strategiczny zamysł!*

– *Dobry marketing może na nim zbudować prawdziwą markę* – stwierdziła młoda kobieta, a potem, widząc zdumione twarze otaczających ją mężczyzn, dodała: *No co, mam dużo czasu w zaświatach, to i czytam o wszystkich pojawiających się w świecie nowinkach. Na tym haśle, Panowie, można budować od nowa historię!*

– *Tak, w rzeczy samej* – wyszeptał starzec. – *To zaczyna mi się podobać! Ustalmy, proszę, jak najszybciej wszystkie szczegóły tej nowej opowieści. A najlepiej będzie, jak wszystko zaraz zapiszę na brudno, żeby nic nam nie umknęło. Jak się uda, przepiszę opowieść do kroniki i utrwalę ją dla potomnych ku ich nauce i pamięci.* – Wyjął z sakwy brudnopis, przygotował pióro i napisał:

Hasło przewodnie: *U Piera Doły najlepsze pszczoły!*

Zamysł?

– *Wypromowanie regionu!* – powiedziała młoda kobieta. – *Czyli sprawienie, że miasto i otaczające je wsie będą z czegoś znane w całej Polsce, a może nawet na całym świecie* – objaśniła swoje słowa pozostałym.

Starzec uzupełnił swój wpis:

Hasło przewodnie: *U Piera Doły najlepsze pszczoły!*

Zamysł: wypromowanie regionu (Kłobucko, przepraszam: Kłobuck i okolice).

Działanie?

– *Wystawa wszelkich miodów, w tym pitnych, połączona z degustacją i konkursem* – podrzucił pomysł Francuz.

– *Może połączona z nauką wytwarzania tego szlachetnego trunku?* – zaproponował starzec i widząc, że innym jego pomysł przypadł do gustu, po raz kolejny uzupełnił swój wpis:

Hasło przewodnie: *U Piera Doły najlepsze pszczoły!*

Zamysł: wypromowanie regionu (Kłobuck i okolice).

Działanie: wystawa wszelkich miodów, w tym pitnych, połączona z degustacją, możliwością zakupu, konkursem na najlepszy produkt i festynem, podczas którego poznajemy historię miodów pitnych, uczymy się je wytwarzać, poznajemy ich zastosowanie, a także różne ciekawe przepisy i zwyczaje z nimi związane.

Nagroda?

– *To musi być coś pięknego* – stwierdził Francuz. *Mowy nie ma, żeby nagroda była byle jaka. Za bylejakość każę natychmiast rozstrzelać!*

– *Piękny puchar? Karafka z kryształu? Medal?* – starzec proponował różne rozwiązania.

– *Miody pije się z glinianych kubków, ale podobałaby mi się kryształowa karafka z pięknym plastrem miodu zawieszonym na niej, na którym moglibyśmy przeczytać: Jan i Napoleon zaświadczają, iż u Piera Doły najlepsze są pszczoły!* – powiedziała młoda kobieta. – *Pod spodem można by było napisać: Złoty medal w regionalnym konkursie miodów pitnych imienia Piera Doły. Kłobuck Anno Domini…*

– *Głowa u Pani jest potężna, muszę to przyznać* – powiedział z zachwytem starzec. – *Bardzo mi się to wszystko podoba. To rozwiąże wszystkie nasze problemy, a i przysłuży się mojemu miastu i całej okolicy!*

– *Mnie również ten plan się podoba* – dodał Francuz.

– *I nam* – powiedzieli jednogłośnie oficer wraz z karczmarzem.

– *W takim razie zapisuję, a potem przepiszę do kronik* – oświadczył uroczyście starzec i po raz kolejny uzupełnił swój wpis:

Hasło przewodnie: *U Piera Doły najlepsze pszczoły!*

Zamysł: wypromowanie regionu (Kłobuck i okolice).

Działanie: wystawa wszelkich miodów, w tym pitnych, połączona z degustacją, możliwością zakupu, konkursem na najlepszy produkt i festynem, podczas którego poznajemy historię

miodów pitnych, uczymy się je wytwarzać, poznajemy ich zastosowanie, a także różne ciekawe przepisy i zwyczaje z nimi związane.

Nagroda: kryształowa karafka z pięknym plastrem miodu zawieszonym na niej, na którym znajdują się następujące słowa:

Jan i Napoleon zaświadczają, iż u Piera Doły najlepsze są pszczoły!

Złoty medal w regionalnym konkursie miodów pitnych imienia Piera Doły.

Kłobuck Anno Domini…

Ostrzeżenie dla potomnych: nie lekce sobie ważcie tego, co zostało tu ustalone, bo wrócimy, a konsekwencje tego powrotu będą poważne!

Uwaga końcowa dla młodych uszu przeznaczona: z kronikami na bieżąco się zapoznawajcie, pomysły twórczo rozwijajcie, ku uciesze ludzi i w hołdzie dla miasta stosujcie.

– *Trzeba pisać o konsekwencjach?* – zapytał zdziwiony Francuz.

– *Tak, Panie* – powiedział starzec, a młoda dama kiwnęła głową zgadzając się z jego słowami. – *Trzeba. Znam moich rodaków, ciężko im się zastosować do dobrych rad. Potrzebują zachęty. Jednak, kiedy już się za coś wezmą, to zrobią to dobrze i będą się z tego cieszyć.*

– *No, to możemy odejść* – z ulgą w głosie powiedział Francuz. – *Zahaczymy o karczmę naszego przyjaciela i skosztujemy jego miodów. Mam nadzieję, że mieszkańcy tego miasta skorzystają z naszych ustaleń i skończy się to prześladowanie nas w zaświatach.*

– *Zegar bije północ* – powiedział starzec. – *Już czas!*

Zegar wybił północ, zgasł ogarek świecy, a uczestnicy tego spotkania rozmyli się w otaczającej ich czerni nocy. Znowu gdzieś w okolicy zaszczekał jakiś pies. Czy kogoś widział lub słyszał, nie wiadomo. Nie było świadka, który mógłby o tym opowiedzieć. To akurat zdarzenie nie zostało odnotowane w kronikach mistrza Jana.

KONIEC

WYRÓŻNIENIE

KONRAD ZIELONKA

Zeitgeist

Długa seria z pistoletu maszynowego rozdarła nocną ciszę.

Pociski zagwizdały niebezpiecznie blisko, odłupując korę z pobliskich drzew. Ostre drzazgi wzbiły się w powietrze, tnąc koszule i raniąc ciała. Ktoś jęknął i przewrócił się, a jego sylwetka zniknęła pomiędzy gęstymi liśćmi paproci.

– Biegiem, znaleźli nas!

Rzucili się do ucieczki.

Za ich plecami rozległy się gwizdki i nawoływania po niemiecku. Do klekotu karabinów dołączyło ujadanie psów spuszczonych ze smyczy. Zaryczał silnik i las przeszył snop światła reflektorów z dachu transportera. Maszyna zjechała z drogi i zaczęła mozolnie przedzierać się przez gęstwinę. Żołnierze rozbiegali się, szukając osłony między drzewami.

– Są coraz bliżej – krzyknął Staszek – szybko, w głąb lasu!

Kilku partyzantów odłączyło się od grupy i zatrzymało między drzewami, by osłonić ich ucieczkę. W stronę pogoni poleciały zdobyczne granaty. Krzyki niedowierzania i jęki umierających uświadomiły Olafowi, że Niemcy nie spodziewali się oporu.

Zaskoczenie szybko minęło.

Żołnierze przeszli do natarcia. Olaf zaryzykował spojrzenie przez ramię, co prawie przypłacił skręconą kostką. Zdążył dostrzec, jak jeden z ich ludzi pada, zmieciony krótką serią. Drugi zaciekle walczył z psem uczepionym rękawa. U jego stóp leżało bezwładne ciało drugiego wilczura.

– Musimy im pomóc!

– Nie damy rady – wydyszał Staszek.

Wypadli na niewielką polanę. Gęste chmury przesłaniały księżyc, ukrywając ich w mroku.

– Dlaczego?

– Widzisz transporter? Słyszysz psy? To patrol! Zaraz ściągną wsparcie z Wielunia… ufff! – sapnął, gdy zbłąkana kula trafiła go w plecy.

Mężczyzna zachwiał się i upadł, wypuszczając z rąk pakunek.

Po ziemi rozsypały się zdobyczne leki i zapasy żywności.

– Staszek! – krzyknął Olaf, zatrzymując się w pół drogi do kolejnej osłony.

Chciał wrócić i sprawdzić co z dowódcą, ale ktoś brutalnie szarpnął go za ramię, zmuszając do biegu.

– Zostaw, on nie żyje! – oznajmił twardo jakiś nieznany mu z imienia partyzant. – Trzymaj to – włożył mu w ręce wypchany plecak. Olaf aż ugiął się pod jego ciężarem. – Uciekaj w głąb lasu, my ich zatrzymamy.

– Pomogę wam – zaprotestował. – Strzelam najlepiej z was wszystkich!

– Jesteś zbyt cenny – warknął mężczyzna – bez lekarza nie mamy szans. Uciekaj! Tylko nie do jaskiń, ale w głąb lasu. Ukryj się, znajdziemy cię później!

Olaf otworzył usta, by zaprotestować, ale w tej samej chwili rozległ się czyjś ostrzegawczy okrzyk.

– Uwaga, Kettenkrad z lewej!

Z rykiem silnika i błyskiem reflektorów na niewielką polankę wpadł niewielki pojazd. Gąsienice rwały darń, gdy kierowca wprowadził maszynę w ostry wiraż. Szczęknął zamek karabinu i usytuowany na pace strzelec otworzył ogień. Długa seria przecięła wolną przestrzeń, zbierając krwawe żniwo wśród uciekinierów.

– Biegnij! – partyzant pchnął go w kierunku drzew, a sam ściągnął z ramienia karabin. Odwrócił się w stronę swoich ludzi. – Na ziemię! Rozdzielić się i ognia!

Olaf rzucił się do ucieczki. Słyszał odgłosy zażartej walki, ale nie odwracał głowy, by sprawdzić, jak radzą sobie jego towarzysze. Płuca paliły go żywym ogniem, w oczach ciemniało, ale biegł, jakby gonił go sam diabeł.

Prawie mu się udało.

Dotarł już do pierwszych drzew, gdy poczuł dwa tępe uderzenia, jak ukąszenia wyjątkowo jadowitej osy. Gorący ból rozlewający się wzdłuż boku i drętwiejąca ręka uświadomiły mu, że oberwał. Zacisnął zęby, tłumiąc okrzyk i jeszcze mocniej ścisnął pakunek.

Zataczając się ruszył przed siebie, byle dalej od polany i ścigających go żołnierzy. Nie był pewien, jak daleko udało mu się odejść, czy było to sto czy tysiąc kroków. Zmęczenie i rany dawały o sobie znać.

Krzyknął, tracąc równowagę. Na jego drodze wyrósł korzeń, którego nie zauważył. Poczuł, że ziemia usuwa mi się spod stóp, a on stacza się, ciągnięty w dół siłą bezwładności wraz z błotem i podgniłymi liśćmi.

Ból otrzeźwił go na chwilę wystarczająco długą, by zdać sobie sprawę, że zsunął się do niewielkiego jaru, u wylotu którego, niczym strażnicy, stały dwa zmurszałe głazy. Chwilę później stracił przytomność.

***

Napad na transport wydawał się dobrym pomysłem. Dowiedzieli się o nim od kulawego staruszka, który napatoczył się przed kilkoma dniami. Mężczyzna wiedział lub domyślał się, że Olaf należy do ruchu oporu. Stary przywołał go do siebie i opowiedział o transporcie, który za kilka dni miał zatrzymać się niedaleko Kłobucka. Kilka ciężarówek z zaopatrzeniem dla garnizonu, chronionych przez mały oddział wracających z frontu piechociarzy. Skąd starzec miał takie informacje? Tego Olaf nie wiedział. Obcy był dziwny i odszedł w las od razu po przekazaniu wiadomości. Niemniej miał rację. Partyzanci odnaleźli kolumnę dokładnie we wskazanym miejscu i pod osłoną nocy dobrali się do przewożonych pod plandekami zapasów. Żywność, leki, a nawet amunicja i granaty. Odeszli równie cicho, jak się pojawili, bez wywoływania alarmu. Jakim cudem patrol tak szybko trafił na ich trop? A jeśli Niemcom doniósł ten sam dziadek...?

***

Olaf poczuł, jak stopniowo powraca mu świadomość. Pierwszym, co sobie uświadomił, był fakt, że leży nie na mokrej ziemi, ale w ciepłym łóżku, przykryty kocem.

A więc wszystko było snem, przemknęło mu przez myśl. *Zwykłym snem. Nie było pościgu, nie było szaleńczej ucieczki przez las*. Spróbował przekręcić się na bok.

Ostry, gwałtowny ból postrzelonego ciała dobitnie uświadomił mu, że to, co wolałby uznać za sen, wydarzyło się naprawdę. Jęknął i rozwarł powieki.

Znajdował się w pogrążonym w mroku pomieszczeniu. Otaczały go cienie. Jeden z nich drgnął, błysnął snop iskier, a po chwili wnętrze zalało ciepłe światło naftówki.

Ktoś nachylił się nad nim, świecąc lampą prosto w oczy.

– Wicio, wołaj ojca! Ocknął się! – głos, który się rozległ, należał do kobiety. Dziewczyny właściwie, która niedawno weszła dopiero w dorosłość. Głos całkiem ładny, może nieco zachrypły z niewyspania.

Zupełnie nieznany mu głos obcej kobiety.

Poczuł jednak ulgę, rozpoznając polską mowę. Może nieco inną niż ta, do której się przyzwyczaił. Może dziewczyna była ze wschodu? Tak czy inaczej wyglądało na to, że nie trafił do niewoli.

Olaf zamrugał szybko, starając się przyzwyczaić wzrok do światła. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale głos zamarł mu w suchym jak pieprz gardle.

– Wody – wychrypiał tylko.

– Och, poczekaj chwilę…

Usłyszał stuknięcie szklanki i dźwięk nalewanej wody, a po chwili dziewczyna przyłożyła mu naczynie do ust. Zdążył zauważyć, że ma ładne, długie włosy ujęte w warkocz, duże oczy i delikatne dłonie.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, gdy zaspokoił pragnienie.

– W bezpiecznym miejscu. O, jesteś nareszcie! – to ostatnie powiedziała w stronę wejścia, w którym pojawiła się dwójka mężczyzn. Jeden z nich podszedł szybko i nachylił się nad Olafem.

– Jak się czujesz? – spytał, biorąc jego rękę i badając puls. – Jestem doktor Rudnicki, poznałeś już moją córkę, Marię. Kim jesteś?

– Olaf – przedstawił się. – Co ze mną?

– Straciłeś dużo krwi – odparł, po czym zwrócił się do dziewczyny. – Maryś, poświeć mi tutaj – poprosił.

Odsłonił koc i sprawdził opatrunki.

Olaf skrzywił się, czując dotyk niezbyt delikatnych palców.

– Będziesz żył – zawyrokował doktor. – Jedna kula tylko cię drasnęła, druga przeszła na wylot, ale ominęła kości i ważniejsze narządy. To był czysty strzał, masz szczęście. Nie wdało się zakażenie. Myśliwi znaleźli cię w lesie i przynieśli do mnie. Kto cię tak urządził? Carscy? Jesteś powstańcem? Nie, za młodyś… – zreflektował się. – A może kłusownikiem, którego ustrzelił leśnik, ha?

Carscy? Jacy carscy?, pomyślał Olaf.

Miał na myśli Rosjan? Stary pamiętał jeszcze czasy imperium? Ale skąd tu Rosjanie? Ci byli przyciśnięci pod Stalingradem, a niezwyciężona armia Niemiecka coraz dalej przepychała front na wschód.

– To byli Niemcy – odparł powoli, walcząc z ogarniającym go uczuciem nierealności.

– Niemcy? – zdziwił się. – Masz na myśli prusaków? Do granicy wprawdzie blisko... Ale aż tutaj? Oj chłopcze, musiałeś bardzo podpaść straży granicznej kaisera, skoro pogoniła cię w głąb ziemi cara.

– To... patrol… *Motorisierten Schützen*? *Wehrmacht*? – spytał bezradnie, widząc niezrozumienie na twarzach słuchaczy.

Stary pokręcił głową.

– Nie znam takiej jednostki. Dziwnie mówisz, wiesz? Skąd jesteś?

Olaf milczał. Myśli kłębiły mu się zbitą masą w głowie.

Doktor powoli pakował swoją torbę.

– Może nam wyjaśnisz parę spraw? – spytał, nie przerywając swojego zajęcia. – Kim jesteś? Co robiłeś w lesie? Skąd masz taką broń?

Pytania wypowiedziano tonem lekkiej pogawędki, ale Olaf zdał sobie sprawę, że to przesłuchanie. Przeniósł wzrok na milczącego mężczyznę, który stał przy wejściu i przyglądał mu się uważnie. Nie zdejmował dłoni z kolby wiszącego u pasa archaicznego rewolweru.

– Tato – dziewczyna spojrzała z wyrzutem na ojca. – Daj mu odpocząć. Dopiero odzyskał przytomność.

Mężczyzna spojrzał na Olafa nieprzeniknionym wzrokiem. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Oczywiście, Maria ma rację, przepraszam. Teraz wypocznij. Powrócimy do tej rozmowy, gdy poczujesz się lepiej.

Wstał i ruszył do wyjścia, gestem wyganiając córkę. Strażnik przyjrzał się Olafowi podejrzliwie, po czym również wyszedł. Olaf, zbierając całą swoją odwagę, postanowił zadać dręczące go pytanie. Bez względu na to, jak absurdalne mogłoby się wydawać, musiał mieć pewność.

– To głupie, ale muszę zapytać.

Mężczyzna zatrzymał się z ręką na ościeżnicy i spojrzał na niego ponad szkłami okularów.

– Tak?

– Który mamy rok?

Doktor zmarszczył krzaczaste brwi. Z bujną grzywą siwych włosów skojarzył się Olafowi z podstarzałym, ale nadal groźnym lwem. Takim samym, jakiego przed laty widział w cyrku. Słowa mężczyzny sprawiły, że skamieniał.

– Rok? Bez przesady, byłeś nieprzytomny ledwo kilka dni. Ale jeśli to cię uspokoi… Nadal mamy wrzesień. Tysiąc dziewięćsetnego, oczywiście.

***

Dni upływały mu na monotonnym spoglądaniu przez okno i czytaniu nielicznych polskich gazet, które przynosiła mu Maria. Dużo czasu spędzał na rozmowach z córką doktora, a ta odwiedzała go, gdy tylko miała ku temu okazję. Wyraźnie czuła do niego sympatię. Była ładna i bardzo miła. Szczerze ubolewała nad jego losem, ale taktownie nie wypytywała go o przeszłość. Sam przed sobą musiał przyznać, że i ona zaczynała mu się podobać. Nie mógł jednak powstrzymać myślenia o tym, że w jego czasach ta dziewczyna najprawdopodobniej jest już staruszką.

– Słuchasz mnie w ogóle?

Olaf spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że dziewczyna przypatruje mu się uważnie. Musiał odpłynąć myślami w chwili, gdy zaczęła opowiadać jedną z wielu lokalnych historyjek, które opowiadała z ukontentowaniem, mając w nim wdzięcznego słuchacza.

– Mmm?

Prychnęła, urażona.

– Mówiłam, że ojciec chce niedługo się z tobą spotkać.

Westchnął i pokiwał głową. Podniósł się z miejsca i, prawie już nie kulejąc, ruszył w stronę wyjścia. Maria powiodła za nim wzrokiem.

– Pójdę do niego od razu – wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie. Sięgnął po kurtkę. – Myślałem o tym i chyba jestem gotów na szczerą rozmowę.

– To dobry człowiek.

Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał w jej stronę. Na twarzy dziewczyny malowała się troska. Przygryzała wargę. *Jest taka… szczera* – pomyślał z nagłym rozczuleniem. Na jego ustach pojawił się nikły uśmiech.

– Wiem. Nie martw się.

Wyszedł na zewnątrz, przeciągnął się.

Osada była niewielka, ot, skupisko kilkunastu chat i zagród po obu stronach piaszczystej drogi. Na łąkach ciągnących się aż do lasu pasło się kilka krów, jakiś chłop szedł za pługiem w ślad za porykującym wołem. Po operacji przeniesiono go do starej wdowy, która mieszkała samotnie pośrodku wsi.

Olaf odetchnął głęboko i ruszył w stronę domu doktora.

Dostrzegł chłopaka, który przyglądał mu się badawczo przez płot. Pozdrowił go uniesieniem ręki. Tamten odpowiedział oszczędnym skinieniem. Wyprostował się i oparł ciężko na trzonku siekiery, w milczeniu obserwując nieznajomego. Olaf nie miał złudzeń, był dobrze pilnowany. Gdyby zechciał uciec, ktoś by od razu wszczął alarm.

Minął kapliczkę i wszedł na niewielkie wzgórze. Już stąd dostrzegał niewielkie zgromadzenie przed płotem Rudnickiego.

Podszedł bliżej.

Kilku ponurych mężczyzn odzianych w koszule z samodziału i łapcie wykonane z łyka rozmawiało o czymś z doktorem, który w zamyśleniu gładził brodę.

Olaf nie miał ochoty na spotkanie z mieszkańcami wioski. Przycupnął na ławeczce, w cieniu pod sąsiednią chałupą. Zerwał kłosek i zaczął go żuć, przyglądając się w zamyśleniu zbiegowisku przy drzwiach doktora.

– … nie, to tamci. Znowu wrócili – doleciał go głos przybysza. – Wyszli z lasu.

Olaf nachylił się, przysłuchując rozmowie.

– Jesteście pewni, że to ci sami?

– Ano. Dziwnie ubrani, wpadli do wsi, nakradli co mogli. Abram, ten żyd, co koło młyna mieszkał, wie doktór. Wzięli z Mojszem, znaczy bratem jego, próbowali im się stawić, ale co to dla tamtych. Wyprowadzili wszystkich pod ścianę i zastrzelili. Kto mógł, to uciekł, nikt nie chciał zostać. Strach, panie Rudnicki, mówię panu.

– Rozumiem. Pomożemy wam, jak możemy.

– Panie Rudnicki – w głosie chłopa pojawiła się błagalna nuta – pomówi pan z carskimi? Może pana posłuchają, pan miastowy, umie z takimi gadać. Tu wojska trzeba, coby lasy przeszukało.

– Niech te ruskie do czegoś w końcu się przydadzą – warknął inny głos, ale kolejne szybko go uciszyły.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecał Rudnicki. – Bywajcie.

Pożegnali się i w milczeniu ruszyli w stronę karczmy. Doktor patrzył przez chwilę w ślad za nimi, po czym westchnął i przeniósł wzrok na Olafa.

– Słyszałeś?

– Tak – przyznał. – O kim mowa?

Doktor zdjął okulary i rozmasował nos. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. W tej chwili wyglądał jeszcze starzej niż zazwyczaj. Po chwili wyjął fajkę, nabił ją kilkoma wprawnymi ruchami i zapalił. W powietrzu rozniósł się zapach dobrego tytoniu.

– Przychodzą nocą i napadają na wsie – powiedział wreszcie. – Dwa dni temu starli się z oddziałem kłobuckiej policji. Podobno kilka razy huknęło, jakby piorun trzasnął, zaklekotało i było po walce. Ludzie boją się do lasu chodzić. Kto wejdzie, już najprawdopodobniej nie wróci. Mówią po niemiecku, ale jakoś dziwnie, a przynajmniej tak w mieście gadają.

Patrol drogowy, pomyślał Olaf. *Patrol drogowy z pistoletami maszynowymi i granatami. Musieli przypadkiem przejść moim śladem. A jeśli oni mogli…*

W jego sercu zabłysnęła iskierka nadziei. Musiało istnieć jakieś przejście.

Rudnicki zaciągnął się ostatni raz, głęboko, i wystukał fajkę o płotek. Otworzył drzwi i skinął na Olafa.

– Wejdźmy do środka – zaproponował – musimy porozmawiać.

– Ano, musimy – westchnął Olaf.

Wypluł pogryziony kłos i posłusznie wszedł do mieszkania doktora.

***

– Nikt z nas nie widział, ba! Nikt z nas nie słyszał nigdy o takich karabinach.

Doktor pokręcił głową w zadumie i odsunął na bok pistolet maszynowy. Sięgnął po Mausera. Pogładził kolbę, odciągnął zamek i zajrzał do komory.

– O takich tylko słyszałem – powiedział wreszcie, odkładając broń. – Jeśli się nie mylę, to nowość w pruskiej armii. Okradłeś zbrojownię garnizonu straży granicznej? – zapytał, spoglądając na Olafa ponad szkłami okularów. – To dlatego cię ścigali? Jesteś szpiegiem?

Olaf westchnął i spojrzał doktorowi prosto w oczy.

– Prawda jest taka…

***

– To, co mówisz, wydaje się nieprawdopodobne. – pokręcił głową – a mimo to z jakiegoś powodu ci wierzę. Jestem stary i coraz mniej rzeczy mnie dziwi. Pamiętaj jednak, że nic, o czym rozmawialiśmy w tym pokoju, nie może wyjść poza jego ściany, rozumiesz?

Olaf skinął w milczeniu. Westchnął w duchu. Doktor mu uwierzył, a więc jedna sprawa z głowy.

Zgodnie uznali, że lepiej będzie nikomu nie mówić o pochodzeniu Olafa. Zaufanym mieszkańcom wioski przedstawiono go jako partyzanta, wysłanego przez emigracyjne bojówki do walki z obcą agenturą. Na ironię zakrawał fakt, że faktycznie był partyzantem. Walczył jednak z innym wrogiem, niż wszyscy myśleli.

– Gdzie dokładnie znaleźli mnie ci chłopi? – spytał, przerywając ponure milczenie.

– A w głębi lasu, nie wiem dokładnie. Musiałbyś zapytać starego Mykołę jak wróci, to on cię tu przyprowadził. Dlaczego pytasz?

– Muszę się tam dostać – odparł. – Może uda mi się powrócić do moich czasów.

Rudnicki spojrzał na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Znów zaczął gładzić brodę.

– Nie zostaniesz z nami? – zapytał w końcu.

Olaf parsknął pozbawionym radości śmiechem. Przeszedł przez pomieszczenie i wyjrzał przez okienko na pustą, polną drogę, ciągnącą się pomiędzy drewnianymi chatkami. Gdzieś w oddali zamuczała krowa pędzona na pastwisko.

Rozległ się tętent kopyt.

Zza wzgórza wyłoniła się najpierw chmura kurzu, a po chwili przez wieś w pełnym galopie przejechał niewielki oddział odzianych w czerwień jeźdźców. Kto żyw, umykał im z drogi.

– Lejb-Gwardyjski Pułk Ułanów Jego Wysokości – powiedział Rudnicki, patrząc w ślad za konnymi. – Ochraniają Wielkiego Księcia. Pewno widzieli dym i pojechali sprawdzić, co się stało. Żeby tylko dla nas nie wynikło z tego coś złego.

– Wielkiego Księcia?

– Michała Aleksandrowicza – wyjaśnił. – Przyjechał na inspekcję swych włości, co w dużej mierze sprowadza się do organizacji bankietów i polowań.

– Dla mnie to zupełnie obcy świat. Nie wyobraża pan sobie jak bardzo. Czy zostanę? Jestem lekarzem, tak jak pan. Gdzieś tam – machnął ręką w kierunku lasu – czekają na mnie ranni żołnierze. Oni nie przeżyją bez leków, które mam w torbie i tego tutaj – popukał się palcem w głowę.

– Rozumiem.

Przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz kto napada na wsie, prawda?

– Tak. Przeszli z moich czasów. Jeśli do nich jeszcze nie wrócili, to pewnie pilnują przejścia. Oddacie mi broń? Pójdę z nimi walczyć – uśmiechnął się krzywo. – Nie mam za bardzo wyboru, inaczej… sam pan rozumie.

– To oni tak cię urządzili – doktor ni to spytał, ni stwierdził, wskazując cybuchem w kierunku jego piersi. – Są niebezpieczni. Przyda ci się pomoc.

– Nie chcę nikogo w to mieszać.

Doktor zachichotał. Zaciągnął się fajką i z lubością wypuścił kłąb gęstego dymu.

– O, mój drogi. My już jesteśmy w to zamieszani. A bez naszej pomocy i tak nie trafisz do tego miejsca, prawda?

***

Ostatecznie stanęło na pięciu osobach, które miały mu towarzyszyć. Rudnicki wyszedł z domu koło południa i wrócił wieczorem, prowadząc ze sobą ochotników, wśród których, prócz doktora, znalazł się znany już Olafowi mężczyzna z rewolwerem, Aaron. Kolejna dwójka, jak się okazało, była myśliwymi.

– Mykoła – przestawił się pierwszy, postawny brodacz, niosący na ramieniu dubeltówkę, i wskazał na swojego towarzysza – a to mój brat, Stiepan. To my znaleźliśmy cię w lesie.

Ku zaskoczenia Olafa ostatnią osobą była Marysia.

– Nie patrz tak na mnie – mruknął Rudnicki – całe życie spędziła w tych lasach, a strzela prawie tak dobrze jak Stiepan.

Dziewczyna posłała mu promienny uśmiech.

Rozdzielili między siebie jego broń.

Olaf polubił Marysię i to jej, ku uciesze obdarowanej, oddał swojego Visa. Przez chwilę wahał się, komu przekazać Stena, ale ostatecznie zatrzymał go dla siebie. Rozsądnie uznał, że lepiej nie dawać pistoletu ludziom, którzy nie słyszeli jeszcze o broni maszynowej. Karabin, na który wszyscy patrzyli pożądliwie, ostatecznie przypadł Stiepanowi, którego zgodnie uznawano za najlepszego strzelca.

– To dopiero jest broń – mruczał kłusownik, z podziwem kręcąc głową.

Rudnicki zniknął na chwilę w szopie, a gdy z niej wrócił, niósł jeszcze trzy rewolwery. W kieszeniach dzwoniły mu pociski. Podzielili je między sobą i tak uzbrojeni czekali nocy. We wsi jeszcze kilkukrotnie pojawili się carscy żołnierze, spiesząc to w jedną, to w drugą stronę, nie zaszczycając nikogo swoją uwagą.

Gdyby któryś junkier zajrzał do domu doktora, mógłby się zdziwić, widząc piątkę uzbrojonych po zęby ludzi i nieopatrznie posądzić ich o szykowanie kolejnego powstania.

Los był jednak łaskawy.

Tego dnia żaden jeździec nie spadł z siodła i ani jeden piechur nie skręcił kostki, więc pomoc wioskowego doktora była nieustraszonej armii Mikołaja Romanowa niepotrzebna.

***

– Jeśli zostaniesz – opowiadała Maria – zabiorę cię do Kłobucka. Za niecałe dwa miesiące będzie odpust na świętego Marcina, będą kramy, kupimy obwarzanki. Jadłeś kiedyś obwarzanki?

Olaf potwierdził krótkim mruknięciem. Nie mógł się zdobyć na wyznanie, że zamierza odejść. Bił się z myślami cały dzień, kilka razy otwierał już usta, by się pożegnać, jednak za każdym razem w ostatniej chwili rezygnował.

Wędrowali leśnymi duktami, znanymi tylko ich przewodnikom. Księżyc świecił jasno, oświetlając im drogę. Było ciepło, jak na wrześniową noc, choć w powietrzu wyczuwało się już tchnienie jesieni. Pierwsze opadłe liście szeleściły cicho pod ich butami.

– A jutro pokażę ci pałac – opowiadała dalej dziewczyna. – Jest piękny! A jak będziemy mieli szczęście, to może zobaczymy nawet Wielkiego Księcia. Wiem, że to Rosjanin i brat cara, ale zobaczyć kogoś takiego na własne oczy…

– Słuchaj… – wtrącił się Olaf, gotów wreszcie wszystko wyjaśnić, ale w tej chwili ich przewodnik zagwizdał ostrzegawczo.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął, gdy się do niego zbliżyli. – Spójrzcie.

Istotnie, pomiędzy drzewami dało się dostrzec nikły blask bijący od dobrze okopanego ogniska. Słychać było ciche rozmowy prowadzone po niemiecku. Pomiędzy drzewami przesuwały się cienie strażników.

– Tutaj mnie znaleźliście? – spytał Olaf.

– Dokładnie – odparł Mykoła. Wskazał palcem mniej więcej w stronę obozowiska. – Tam, obok tego krzywego drzewa, widzisz? Tam jest taki mały jar, trzeba przejść między dwoma głazami. Przeklęte miejsce – splunął pod nogi i zamilkł.

Olaf poczuł, jak po grzbiecie przebiegły mu ciarki. Spojrzał na przewodnika.

– Przeklęte?

– Ludzie tak gadają – odparł ten niechętnie. – Ja tam nie wiem, ale tu w pobliżu człowieka zawsze co złego spotkało. A to się potknął i nogę skręcił, a to broń wypaliła przypadkiem, raniąc towarzysza. Zwierzyny tu mało, zioła nie rosną, to i ludzie unikają tego miejsca – dokończył, wzruszając ramionami. – My też zawędrowaliśmy tutaj przypadkiem, goniąc za jeleniami.

– Które i tak nam uciekły – dopowiedział Stiepan, który zbliżył się do nich bezszelestnie – ale dzięki temu znaleźliśmy ciebie.

Aaron przykucnął obok.

– Jaki jest plan?

Olaf szybko policzył przeciwników.

– Jest ich ośmiu, nie spodziewają się ataku – powiedział po chwili. – Ale niech was to nie zmyli, są bardzo dobrze wyszkoleni i mają broń lepszą nawet niż ja.

– Dziesięciu – sprostował Mykoła, który wytężając wzrok przyglądał się obozowisku. – Jeden poszedł w krzaki, właśnie wraca. Drugi siedzi w cieniu pod drzewem.

Olaf skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

– Dziesięciu. Ja pójdę od lewej, doktor i Marysia zostaną tutaj, będą nas ubezpieczać. Pozostali…

Nie dowiedzieli się, czego Olaf oczekiwał od pozostałych.

Nie miał racji Olaf, twierdzący, że wrogów było ośmiu, mylił się i Mykoła.

Obaj przegapili jeszcze jednego wartownika, o czym przekonali się w chwili, gdy tuż obok rozległ się głośny szelest. Zabłysło żółte światło elektrycznej latarki, którego snop zaczął przeczesywać krzaki.

– *Wer ist da?* – rozległ się głos, którego właściciel przywykł do wydawania rozkazów. – *Komm hier. Hände hoch!*

– Już! – syknął Olaf i szarpnął zamek stena.

Który oczywiście musiał się w tej chwili zaciąć.

– *Achtu….* – chciał krzyknąć wartownik, ale nie zdążył, uciszony kulą z rewolweru Aarona.

– Nie pozwólcie im uciec! – ryknął Olaf.

Odciągnął zamek, wydłubał pocisk, przeładował.

Wychynął zza drzewa i posłał krótką serię w zaskoczonych żołnierzy. Zabił jednego, drugi padł i zaczął wyć, ściskając przestrzeloną nogę. Chwilę później zamilkł, gdy trafiła go kolejna kula. Pozostali rozbiegali się, przygotowując się do obrony. Olaf widział młodszego od siebie chłopaka w samych kalesonach i koszulce, za to w hełmie na głowie, który zaczął ostrzeliwać kryjówkę Rudnickiego.

Unieszkodliwił go jednym celnym strzałem.

Z pozostałymi nie było już tak łatwo.

Grad ołowiu uderzył w jego osłonę i Olaf padł plackiem, przyciskając dłonie do głowy, chroniąc ją przed ostrymi drzazgami. Ziemia się zatrzęsła, gdy gdzieś w pobliżu wybuchł granat, zasypując go deszczem ziemi i strzępami roślin. Ktoś krzyczał, inny rzęził, dławiąc się własną krwią.

Olaf potrząsnął głową, odganiając myśli o Marii. Później będzie się martwił o nią i pozostałych. Zacisnął zęby. Zmienił magazynek i na czworaka przysunął się bliżej. Kilku Niemców leżało unieszkodliwionych, ale inni stawiali zaciekły opór. Olaf poświęcił chwilę, starając się rozpoznać w sytuacji i prawie przypłacił to życiem, gdy rykoszetujący pocisk wbił się w pień tuż obok jego twarzy.

Przetoczył się i odbiegł, zmieniając kryjówkę.

Kątem oka dostrzegł dwóch żołnierzy próbujących obejść od boku miejsce, w którym ostrzeliwali się Stiepan z Mykołą.

Wymierzył w biegu, opróżnił magazynek do ostatniego pocisku.

Zaklął.

Nie trafił ani razu, ale zmusił przeciwników do odwrotu w głąb lasu.

Mykoła spokojnie wycelował, nic nie robiąc sobie ze śmigających wokół jego głowy kul, i wystrzelił z dwururki, po kolei obalając obu soldatów.

Olaf chciał wydać okrzyk, ale głos zamarł mu w gardle.

Dostrzegł blask ogniska, który odbił się refleksem od czegoś pomiędzy drzewami.

Poczuł, jak oblewa go lodowaty pot.

– Snajper! – krzyknął, wiedząc, że dla niego jest już za późno.

Zacisnął zęby.

Padł strzał, który nie wbił się jednak w jego pierś. Strzelec najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Kula, która według Olafa przeznaczona była dla niego, trafiła Aarona. Chłopak padł martwy, wypuszczając z rąk rewolwer.

Olaf przez chwilę stał jak sparaliżowany, po czym rzucił się biegiem przed siebie. Adrenalina buzowała mu w żyłach. Wyciągnął granat, zębami wyrwał zawleczkę i rzucił w stronę powalonego pnia, za którym dostrzegł kolejnych przeciwników. Nie czekał, by sprawdzić, czy trafił. Biegł dalej, zmniejszając dystans do strzelca.

Już widział kolejną osłonę, z której miałby czyste pole do strzału, gdy poczuł tępe uderzenie i noga się pod nim załamała. Upadł z krzykiem bólu na ustach, ryjąc dłońmi w miękkiej ściółce.

Snajper strzelił ponownie, po czym drgnął i obrócił się w miejscu, poniewczasie zdając sobie sprawę z obecności Olafa.

Przesunął lufę, gniewnie wyszczerzając zęby. Przesunął palec do spustu…

Za późno.

Długa, chaotyczna seria ze Stena cisnęła nim o najbliższe drzewo. Posypały się złote liście, opadające całunem na martwe ciało.

Olaf jęknął i wypuścił broń z dłoni. Przekręcił się na plecy i chwycił za postrzeloną nogę, starając się zatamować krwawienie.

W oczach mu pociemniało.

Mocniej zacisnął dłonie, ból nieco go otrzeźwił. Zdał sobie sprawę, że jest już po walce dopiero w chwili, gdy nachyliła się nad nim blada, zatroskana twarz Marii.

– Żyjesz? – spytała, po czym syknęła, widząc ranę w nodze. – Ojciec zaraz do ciebie przyjdzie!

– Jak reszta? – wychrypiał.

– Aaron nie żyje – odparła. – Ojca postrzelili, ale twierdzi, że nic mu nie będzie. Zajmuje się Mykołą, który chyba złamał nogę. A Stiepan poszedł w las, dwóch nam uciekło, ale dojdzie ich, zna te lasy jak własną zagrodę – wypowiedziała jednym tchem i zaśmiała się histerycznie.

Była w szoku.

Olaf zamknął oczy i westchnął głęboko.

***

– Wracajmy – zaproponował Rudnicki. – Jesteśmy w środku lasu, ale tą potyczkę słychać było na wiele wiorst wokół.

Przejrzeli ekwipunek żołnierzy i zabrali wszystko, co wydało im się przydatne: chlebaki, opatrunki, leki. Również papierosy i czekolada znalazły od razu swoich amatorów. Pozostałe fanty zagrzebali w ziemi pod drzewem i dodatkowo zasypali liśćmi. Doktor ostro sprzeciwił się zabraniu zdobycznej broni.

– Ciekawe jak wytłumaczysz carskim – warknął do Stiepana, który nie chciał się rozstać z karabinem – że masz broń lepszą od nich. – Olaf, zabierz mu to.

Myśliwy niechętnie oddał Mausera.

– Pozostałe też – dodał doktor surowym tonem. – Widziałem, jak je chowasz.

Tamten jęknął rozdzierająco, po czym spod kurtki wyjął jeszcze pistolet, do którego po chwili dołączyły dwa granaty.

Olaf schował je do swojej torby.

– Chodźmy, szkoda czasu – polecił Rudnicki.

Skinął głową Olafowi.

– Powodzenia.

Zarzucił torbę na ramię i nie czekając na pozostałych, ruszył w drogę powrotną. Maria stała w miejscu, popatrując to na ojca, to znów na Olafa.

– Ty nie idziesz?

Pokręcił głową.

– Nie – przyznał. – Muszę tutaj coś jeszcze załatwić.

– Ale wrócisz później, prawda?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

Widział jak zbladła, jak rozszerzyły się jej źrenice. Dziewczyna zacisnęła usta w wąską kreskę, odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa.

Olaf wypuścił powietrze. Czuł się podle, ale jeśli miał wybór, wolał odejść bez długich pożegnań. Już i tak było mu wystarczająco ciężko.

Stiepan spojrzał na niego, po czym chrząknął cicho.

– No to ten – mruknął, lekko zażenowany – powodzenia.

– Wzajemnie.

Przez chwilę przyglądał się, jak znikają między drzewami. Na samym końcu kulał Mykoła, podtrzymywany przez Stiepana. Wreszcie został sam w towarzystwie trupów. Następnego dnia zapewne pojawią się tu mieszkańcy, by pochować zabitych. Być może będzie z nimi też Maria.

Westchnął i zabrał się do pracy. Nawet jeśli dziewczyna wróci, jego już dawno nie będzie.

Przepakował swój plecak, uzupełnił zapas amunicji i sprawdził broń. Po chwili namysłu wymienił swój karabin na Mausera z lunetą. Zebrał granaty. Pozostałe klamoty zepchnął do niewielkiego dołu i zakopał. Rozejrzał się ostatni raz, po czym ruszył w stronę dwóch głazów.

Kamienie wyglądały dokładnie tak samo, jak je zapamiętał. Sterczały w górę niczym celtyckie menhiry, szare i omszałe. Jak długo tutaj stały? Kto postawił je w tym miejscu? Wiatry i deszcze wygładziły ostre krawędzie, nadając im bardziej naturalny wygląd. W ich kształcie nadal jednak było widać ślad ludzkiej ręki, która określiła ich formę.

Olaf ścisnął w dłoniach Stena. Zimny metal dodał mu otuchy. Ruszył ostrożnie przed siebie, w głąb jaru.

Świat zamarł w oczekiwaniu. Powietrze było gęste, zdawało się oblepiać skórę i ubranie. Mężczyzna czuł dziwną atmosferę tego miejsca, które zdawało się rezonować, jakby gdzieś w pobliżu, pod ziemią, pracował gigantyczny generator.

Przystanął na linii menhirów, odetchnął głęboko. Poczuł, jak drobne włoski na karku stają mu dęba. Zamknął oczy.

– No to w drogę – mruknął i wykonał długi krok.

Nie poczuł żadnej różnicy.

Stał przez chwilę, zaciskając zęby w oczekiwaniu. Nie wiedział czego się spodziewać. Szoku? Porażenia? Jakiegoś wstrząsu? Nic takiego nie nastąpiło.

Zamrugał i rozejrzał się wokół siebie.

Udało się?

Otoczenie wyglądało tak samo, ale ostatnim razem przebiegł tędy nocą, ranny i na skraju świadomości.

Zmarszczył brwi.

– Nie no, drodzy państwo – powiedział sam do siebie. – Czterdzieści lat, a drzewa nie urosły nawet o cal?

Obrócił się i zaklął szpetnie.

W świeżo poruszonej ziemi na skraju jaru nadal widać było ślady jego wojskowych butów. Przykuśtykał dla pewności kawałek w głąb jaru.

Nic, żadnej różnicy.

Zawrócił, przeszedł ponownie pomiędzy głazami.

W jedną i drugą stronę.

Z powrotem.

Nic. Nic. Nic.

– Jasna cholera! – ryknął i, zapominając o ranie, kopnął w jeden z głazów.

Padł na ziemię, wrzeszcząc z bólu. Leżał tak przez chwilę zły na siebie, na głazy i na cały świat. Przejście nie działało. Może otwierało się tylko w szczególnych warunkach, a może dało się nim przejść tylko w jedną stronę? Utknął tu na zawsze.

Ból nieco go otrzeźwił.

Olaf odetchnął głęboko, uspokajając oddech.

Myśl, powiedział sobie w duchu.

Zmarszczył brwi. W ciszy dało się słyszeć echo odległych rozmów.

Przyczołgał się bliżej linii wyznaczonej przez kamienie i wytężył słuch.

Głosy to przybliżały się, to znów oddalały, zanikały, jak sygnał rozstrojonej radiostacji. Odsunął się kawałek, po czym przysunął z powrotem. Rozmowę słychać było wyłącznie w pobliżu kamieni. Dopiero po chwili dotarło do niego, co słyszy.

Zacisnął zęby, powstrzymując krzyk rozpaczy.

Dźwięki z jego czasów.

Rozmowy prowadzone po niemiecku.

***

Dołożył ostatni granat i ciasno obwiązał drutem wokół kamienia. Pociągnął, sprawdzając, czy całość dobrze trzyma. Skinął głową z aprobatą.

Kolejny kawałek drutu przeciągnął przez zawleczki, po czym napinając ostrożnie, odszedł między drzewa, popuszczając co jakiś czas z rolki.
Zwój drutu od radiostacji znalazł wśród rzeczy porzuconych w niemieckim obozowisku. Wykorzystał go, razem z większością zdobycznych granatów, do przygotowania miny. Postanowił wysadzić głazy w powietrze.
Nie mógł wrócić, a jeśli z tej strony było to niemożliwe, to nie chciał ryzykować, że z drugiej jeszcze ktoś przejdzie. Udało się to przecież i jemu, i ścigającemu go oddziałowi. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby Niemcy odkryli przejście i postanowili prowadzić wojnę na kolejnym froncie: w przeszłości.
Olaf miał wątpliwości. Czy jeśli zniszczy kamienie teraz, to pozostaną zniszczone w przyszłości? A jeśli zamknie portal, to czy jego przyszłe alter-ego też do niego trafi? Jeśli w przyszłości nie przejdzie pomiędzy menhirami, to nie znajdzie się w przeszłości, aby je zniszczyć, więc teoretycznie dalej powinny istnieć…

Poczuł, że od tych rozważań zaczyna kręcić mu się w głowie.

Był człowiekiem czynu.

Działał, a o ewentualne konsekwencje martwi się później.

Odszedł na odległość, która wydawała mu się wystarczająca. Odetchnął głęboko i pociągnął za drut, wyrywając zawleczki. Padł plackiem, osłaniając głowę rękoma.

Echo wybuchu słychać było pewnie w samym Kłobucku.

***

Dokuśtykał do wsi, nie napotykając nikogo po drodze.

Dniało.

Już niedługo pierwsi gospodarze wyjdą ze swoich chałup, by zabrać się za codzienne obowiązki. W zagrodach słychać było senne porykiwania pierwszych budzących się zwierząt. Leniwy spokój pogrążonej we śnie wioski upewnił go, że o wyczynach w lesie nikt jeszcze się nie dowiedział. Przy odrobinie szczęścia wybuchy można było wziąć za echo odległej burzy…

Stanął przed domem doktora, ciężko opierając się na sękatym kiju, który posłużył mu za kostur. Noga coraz bardziej dawała mu się we znaki. Mdlący ból rozlewał się gorącem od stopy, aż do kolana. Nie wyglądało to dobrze.

Przez matowe szybki okienka przelewało się nikłe światło lampy naftowej – znak, że Rudnicki nie śpi.

Westchnął, po czym zapukał. Wewnątrz rozległy się kroki.

– Kto tam?

W głosie Rudnickiego słychać było napięcie.

– To ja – wychrypiał.

Drzwi otwarły się i stanął w nich doktor. Przyglądał się przez chwilę wypchanemu plecakowi, przeniósł spojrzenie na lufę wystającą ponad ramieniem Olafa i kostur w jego ręce, po czym bez słowa przesunął się, robiąc mu przejście. Gestem zachęcił go do wejścia.

Nie był sam.

Przy stole, nad kubkami z herbatą siedziała Maria i Mykoła. Podnieśli się, gdy tylko go zobaczyli. Olaf zdążył zarejestrować, że noga myśliwego została już ujęta w łubki, a sam Mykoła porusza się o drewnianych kulach. W następnej chwili stanęła przed nim Maria.

– Wróciłeś – powiedziała kamiennym głosem.

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Wróci… – chciał powiedzieć, ale nie zdążył.

Dziewczyna niespodziewanie strzeliła go otwartą dłonią prosto w twarz.

Klasnęło. Zaskoczony Olaf zatoczył się w tył i przyłożył dłoń do policzka.

– Ty… przeklęty… idioto – dodała.

Każde słowo akcentując solidnym ciosem w pierś.

Olaf dostrzegł spojrzenia, jakimi obdarzyli go Rudnicki i Mykoła.

– Zasłużyłem – mruknął.

Dziewczyna rozpłakała się i pocałowała go prosto w usta.

Myśliwy mruknął coś niezrozumiałego po czym wycofał się chyłkiem na zewnątrz, stukając drewnianymi kulami. Doktor odwrócił wzrok, z nagłym zainteresowaniem przyglądając się pajęczynie wiszącej w kącie sieni.

– Nie waż się mnie więcej zostawiać – warknęła po chwili Maria, ocierając łzy.

Gniewnym ruchem odrzuciła warkocz na plecy, po czym wyszła w ślad za Mykołą, głośno trzaskając drzwiami.

Przez chwilę stali w pełnym napięcia milczeniu.

– Cóż… Co zamierzasz? – zapytał wreszcie Rudnicki, przecierając okulary skrajem koszuli.

– Zostanę – odparł Olaf.

Przesunął sobie krzesło i usiadł, z jękiem ulgi masując obolałą nogę.

– Przejście się zamknęło. Dla pewności wysadziłem głazy.

– Aha.

Nieoczekiwanie doktor uśmiechnął się, po czym wyciągnął rękę.

– Mów mi Stanisław.

– Olaf – odparł, ściskając prawicę.

– Zamieszkasz u mnie. Tak będzie bezpieczniej.

Skinął głową w niemym podziękowaniu. Tak, tak będzie bezpieczniej.

Doktor rozpalił fajkę, zaciągnął się głęboko. Wskazał cybuchem na plecak Olafa, leżący przy drzwiach i karabin oparty o framugę.

– Masz jakiś plan, zgadza się?

Przytaknął ponownie.

Istotnie, w drodze powrotnej pojawiła mu się pewna myśl. Miał trzydzieści lat. Oficjalnie urodzi się za trzynaście, rok przed wybuchem pierwszej wojny. Przypomniał sobie najważniejsze chwile z historii. Franciszek Ferdynand zastrzelony w Sarajewie. Zamach w Carskim Siole. Dojście do władzy Hitlera, jego przemówienia, obecności na defiladach, o których słyszał w radio. Olaf dobrze wiedział kiedy i gdzie może go znaleźć. Miał trzydzieści lat, karabin snajperski i pistolet maszynowy. W pełnym amunicji plecaku grzechotały dwa granaty. Jeśli jeden, nieznany nikomu zamachowiec nie zmieni oblicza świata, zamachowiec wiedzący dokładnie kiedy i gdzie uderzyć, to nikt tego nie dokona. Będzie próbował do skutku, a być może uda mu się zapobiec choć jednej wojnie.

A jeśli nie? Jednemu kulawemu zamachowcowi może być trudno.

Zastanawiał się i nad tym.

Doszedł do wniosku, że jeśli nie zginie, próbując odmienić losy świata, to wróci do Kłobucka. W jego czasach kamienie być może będą jeszcze stały. Jeśli tak… dobrze wiedział, gdzie będzie się znajdował trzynastego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Odnajdzie siebie i powie sobie o wszystkim. O kamieniach, o zmianie historii.

– Jeśli zamierzasz zranić moją córkę to obiecuję, że osobiście cię zastrzelę – rozmyślania przerwał mu głos Rudnickiego.

Doktor przypatrywał mu się spode łba.

Olaf uniósł ręce w obronnym geście i uśmiechnął się szeroko.

– To ostatnie, czego bym chciał.

KONIEC

Kategoria: Młodzież szkolna

I MIEJSCE

MACIEJ SERŻYSKO

Klucz

– Zasnęli – westchnęła z ulgą pani Marlenka. Była wyczerpana po całym dniu asystowania delegacji z Mościsk. Poza tym czuła się w pewnym sensie winna kilku wpadkom organizacyjnym i wciąż miała przed oczyma rozczarowanie malujące się na twarzach gości z Ukrainy na widok obiadu, złożonego z ukraińskiego barszczu, pierogów ruskich i gołąbków. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przybysze zerkali łakomie i z tęsknotą na królujące na sąsiednich stolikach kaczkę z pyzami i pomidorową z ryżem.

– Jeszcze dwa dni przed nami, poradzimy sobie – pan Stefan odpowiedział trochę machinalnie, bo jego głowę zaprzątały zupełnie inne myśli. Postanowił się z nimi podzielić, bo kto jak kto, ale pani Marlenka była osobą ze wszech miar godną zaufania. – Nie ma pani wrażenia, że trochę dziwni ci delegaci? Ten Kriuczkow tak specyficznie wymawia swoje imię… Antonow też.

Marlenka zerknęła do notatek. Nie zdążyła się jeszcze na tyle zaprzyjaźnić z gośćmi, aby pamiętać każdego z imienia i nazwiska.

– Siergiej Kriuczkow i Michaił Antonow… Co w tym dziwnego? – spytała.

– Może to, że gdy ostatnio mieliśmy gości z Mościsk, to przyjechali Serhij Kruczyński i Mychajło Antonowicz, ten, co miał dziadków Polaków i ciocię w Częstochowie – odpowiedział Stefan i poczuł, że coś tu jest nie tak, jak być powinno.

*

Słoneczko uśmiechało się dobrotliwie niczym Umiłowany Przywódca i spoglądało na pułkownika Antonowa, majora Kriuczkowa oraz rosół. Na rosół stanowczo zbyt długo. Pułkownik dziabnął łyżką zanurzonego w bulionie kartofla, a major badawczo wpatrywał się w pływające w zupie zwłoki i zastanawiał się, czy to jednak nie one wpatrują się w niego.

– To wygląda jak Zawadski po akcji w fabryce kiełbasy – Michaił uśmiechnął się kwaśno na wspomnienie dawnych lat.

– Nie narzekaj. Za to sala jest wyczyszczona jak fabryka kiełbasy po akcji z Zawadskim, nie to, co w tej knajpie, gdzie ostatnio jedliśmy. Czułki wystawały spod mojego kotleta, a lep z muchami nad stolikiem dotąd śni mi się po nocach. – Siergiej starał się doszukiwać jakichś

pozytywów, choć był wściekły, gdy widział, jak Polacy skubią rozmaite sałatki, kanapeczki i smakowite regionalne serki.

– Jeszcze ziemniaczków? – zapytała łamanym rosyjskim kucharka i nim szpiedzy zdążyli zaprotestować, w rosole wylądowała kolejna porcja kartofli.

– Spokojnie, Sieroża, jeszcze tylko dwa dni i wracamy do ojczyzny. Pojedziemy do jakiejś sympatycznej gruzińskiej knajpy… Albo azerskiej. Albo nawet polskiej! W każdym razie żadnego rosyjskiego jedzenia! W końcu skosztujemy jakiejś egzotyki. Ja stawiam!

– Misza, jak sam powiedziałeś, mamy dwa dni. Tylko dwa dni, by zdobyć artefakt. Jeśli zawiedziemy, wtedy Umiłowany Przywódca… – mówiąc to Siergiej wgniótł szare mięso w dno talerza tak mocno, że aż wygięła się łyżka. – A następna okazja do wizyty w Kłobucku dopiero na dożynki! Nie możemy przeciągać.

– Trzeba działać – zgodził się Michaił, żując z determinacją pyrę. – Panie burmistrzu? Jaki mamy program na dziś? – zgadał Staniszewskiego.

Burmistrz szturchnął w ramię Irinę, fryzjerkę z Ukrainy, która robiła za tłumaczkę. Dziewczyna uważnie wysłuchała co ma do powiedzenia Staniszewski, kiwając od czasu do czasu głową i przetłumaczyła:

– Po śniadaniu udamy się na spacer wzdłuż ulicy Targowej. Będziemy wizytować wzorcowy szpital, później starostwo powiatowe, po czym udamy się na spotkanie z młodzieżą szkolną. Poopowiadają panowie o Ukrainie. Następnie odwiedzimy siedzibę lokalnej gazety, potem mamy spotkanie z ojcem proboszczem w kościele świętego Marcina…

– Istniałaby jednak możliwość, aby ciut zmodyfikować te plany? – zapytał Antonow, odsuwając talerz. Irina przetłumaczyła słowa pułkownika, po czym przekazała odpowiedź:

– Rozumiem panów doskonale, grafik jest napięty. Myślę, że uda się jednak wcisnąć prezentację lokalnych wyrobów między starostwo a szkołę. Będziemy się musieli co prawda bardzo pospieszyć…

– Raczej miałem na myśli redukcję tego jakże intensywnego harmonogramu. Jest w Kłobucku pewien pałac, bardzo urokliwy. Zbudował go pewien minister, a następnie zmieniał często właścicieli, jednak ostatecznie trafił w ręce znanej w naszych stronach osoby. Niejakiego Michała Aleksandrowicza, którego zapamiętaliśmy raczej jako Michała II, ostatniego Cesarza i Samodzierżawcę Wszechrusi, choć niektórzy mają obiekcje co do tego, na ile legalny był jego tytuł. Mniejsza z tym. Na początku XX wieku wtedy jeszcze wielki książę przybył do Kłobucka i spędził trochę czasu w swojej posiadłości. Zarówno ja, jak i pan Kriuczkow, z chęcią zobaczylibyśmy ten budynek, tak mocno powiązany z historią Rosji… A przez to i naszej Ukrainy.

– Pan burmistrz powiedział, cytując: „ależ panie Antonow, tam nie ma nic ciekawego! Zwyczajny pałacyk, jakich jest pełno w całej Europie. Oczywiście, budynek sam w sobie bardzo ładny, parczek też wielce sympatyczny, ale żeby poświęcać tak ciekawy program na wizyty tę tam?”.

– Pani Irino – wtrącił zniecierpliwiony Kriuczkow. – Nalegamy.

Polscy gospodarze wymienili zdezorientowane spojrzenia. Przez chwilę naradzali się między sobą, zdezorientowani nagłą stanowczością dość ugodowych dotychczas gości. Ostatecznie burmistrz pokiwał głową, nie zlecając już nawet fryzjerce tłumaczenia czegokolwiek.

Major i pułkownik spojrzeli po sobie z zadowoleniem i tylko siłą woli powstrzymali się przed uściśnięciem dłoni. Zaraz jednak spostrzegli, że ich porozumiewawcze spojrzenie dostrzegł stojący pod ścianą pan Stefan. Człowiek w średnim wieku, średniej postury i ogólnie rzecz ujmując osobnik raczej średni, jednak bardzo uważny. Wpatrywał się w nich tak lodowatym spojrzeniem, że szpiegom aż ciarki przeszły po plecach. Rozzuchwaleni dotychczasowymi sukcesami w budowaniu mistyfikacji zignorowali Polaków, podczas gdy powinni zachować najwyższą ostrożność. Obaj zdawali sobie sprawę, że ich czujność została uśpiona. Należało ją więc czym prędzej rozbudzić.

*

– Ależ panie Stefanie, tak nie wolno! – panikowała pani Marlenka widząc, jak jej kolega buszuje w bagażu przybyszów z Ukrainy. Sprawdzał każdą kieszonkę w walizce, rozkładał koszule, przeczesywał nogawki wszystkich spodni, raz po raz nerwowo spoglądając na drzwi hotelowe. – Nawet jeśli to nie są przedstawiciele Mościsk, to uważa pan, że trzymaliby w niestrzeżonym bagażu jakieś… No właśnie, co? I kim oni niby są?

– Szpiegami – ogłosił radny tonem nie pozostawiającym cienia wątpliwości, ignorując jednak pierwsze pytanie, na które nie znał odpowiedzi. – To z pewnością wrogi wywiad za tym wszystkim stoi!

– Wrogi, czyli jaki?

– Pani Marlenko… Kto może być wrogiem Polski? Na logikę…

– Rosjanie – wyszeptała radna z grozą i pobladła na twarzy.

– Niekoniecznie. Mogą to być równie dobrze Chińczycy.

– Chińczycy? W Kłobucku? Poza tym czy oni wyglądają na Chińczyków?

– Czytałem w gazecie, że Chiny prowadzą w Europie istną ofensywę szpiegowską. Zdobywają tyle danych, ile mogą! A pani naprawdę myśli, że wszyscy chińscy szpiedzy są

Chińczykami? – prychnął Stefan, próbując wymacać w walizce jakieś skrytki. – Mogą to być też Niemcy.

– Jak Niemcy, to może i Amerykanie?

– A dlaczegóż to Amerykanie? Przecież są naszymi sojusznikami.

– Niemcy też, a jednak ich pan podejrzewa.

– Hm… Faktycznie. Amerykanów nie można wykluczyć.

– Albo Izrael.

– To może być ktokolwiek – uciął pan Stefan. – Pozostaje pytanie, jakie mieli intencje? Pani Marlenko, gdyby była pani szpiegiem, to czego szukałaby pani w naszym mieście, skoro wojska tutaj nie ma?

– Przemysł powinien mnie zainteresować – rzuciła radna.

– Jaki przemysł? Fabryka igieł, odlewnia metali czy tartak? A może piekarnia? Musi chodzić im o coś innego.

– Wiem! Pamięta pan, jak naciskali, by pojechać do pałacu?

– Myśli pani, że ten pałac jest ich celem? – pan Stefan podrapał się po brodzie. – Hm… Niegłupie, przyznaję. Tylko po co mieliby tam iść?

– To chyba oczywiste. Nie czytał pan w dzieciństwie książek przygodowych? – radna spojrzała na współpracownika z wyższością. Ten jednak nie czuł się dotknięty zarzutem, choć nie czytał nigdy. Wolał grać w piłkę lub bawić się w podchody. – Tam musi być coś ukryte. Jakiś artefakt na przykład. Albo skarb. Ewentualnie jakiś tekst, rozumie pan, książka, dokument, mapa lub pamiętnik.

– Mówili coś o rosyjskim wielkim księciu. Sugeruje pani, że ten Romanow coś zostawił w pałacu?

– Tak – odpowiedziała pani Marlenka, wyrzucając na podłogę zawartość foliówki z brudnymi ubraniami. Spomiędzy nich wystawała pomięta karteczka. – I chyba zaraz dowiemy się co takiego.

*

– Siergiej, myślisz, że nie znajdą naszych notatek?

– Nie ma szans! Polska to cywilizowany kraj. Nikt, uwierz mi, nikt nie będzie grzebał w worku z brudami. To nie Rosja, tutaj obowiązuje wysoka kultura.

Szpiedzy rozmawiali po selońsku, w wymarłym w XIX wieku języku bałtyckim. Był on bardzo przydatny w komunikowaniu się tak, by nikt postronny nie zrozumiał. Na szczęście jeszcze za Sojuza w pewnym litewskim archiwum Siergiej i Michaił wygrzebali notatki, które sporządził niejaki Strodtmann, osiemnastowieczny lingwista-dialektolog niemiecki z Prus

Wschodnich. Dzięki nim po selońsku potrafią mówić dziś tylko trzy osoby: pułkownik, major i Umiłowany Przywódca. Jak wiadomo, Umiłowany Przywódca potrafi wszystko.

– Pani Irino, rozumie pani, co nasi goście mówią? – zapytał burmistrz Staniszewski fryzjerkę.

– Ani słowa, proszę pana. Wydaje mi się, że rozmawiają między sobą o jakichś kwestiach prywatnych, ale o czym, to nie powiem.

– Przecież jest pani z Ukrainy, to jak pani nie rozumie po ukraińsku?

– Polacy mówią jednym językiem, a też się nie rozumieją – przewróciła oczyma Irina. – A poza tym oni są z Mościsk pod Lwowem. Ja z Kupiańska pod Charkowem. Bardzo się różnią nasze te… Jak nazwać po polsku takie lokalne języki?

– Dialekty?

– Dialekty. Różnią się bardzo. Bo to jest ponad osiemset kilometrów. Ukraina jest bardzo duża.

– A jeśli tak, to w porządku – skinął głową Staniszewski i zwrócił się do gości: – Jak się panom podoba park?

– Piękny – powiedzieli obaj przybysze w tej samej chwili, lecz nie grzeszyli przesadnym entuzjazmem. Saniszewski stwierdził, że goście zapewne nie są amatorami długich przechadzek i woleliby od razu pozwiedzać pałac. Zdecydował, że nie warto już przedłużać spaceru – w końcu mieli jeszcze dziś spotkanie z uczniami.

*

Drogi Chassanie!

Przyjacielu! Ufam, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Bardzo brakuje mi tych wszystkich godzin spędzonych na wspólnych rozmowach i polowaniach. Czasy są jednak teraz niespokojne, złe i tamta sielanka już raczej nie wróci. Najszczersze kondolencje z powodu Władmira. Jeszcze nie mogę uwierzyć, jak straszliwy los go spotkał.

To tyle, jeśli o kwestie osobiste chodzi. Nie oszukujmy się, Rosja umarła. Umarła i już nie powstanie. Drżę ze strachu o mojego drogiego Brata oraz jego Rodzinę. Krążą pogłoski, że Jego Wysokość Mikołaj rozważa oddanie mi korony lada dzień. Nie jestem gotów podjąć się tej misji. Nie chcę, by los Ojczyzny spoczywał na moich barkach.

Wiem, Przyjacielu, że twardo stąpasz po ziemi. Wiem, że do cerkwi zachodzisz tylko dla obyczaju. A jednak musisz wierzyć mi, jeśli nie jako staremu druhowi, to jako Wielkiemu Księciu. Są rzeczy, których wyjaśnić nie sposób. Tak jak tajemnicy Klucza. Zanim odłożysz ten list pewien, że oto z nerwów i przygnębienia postradałem zmysły, racz mnie wysłuchać. Klucz wpadł w Nasze ręce w roku 1772, gdy pewien przekupny szlachcic wykradł go z

klasztoru blisko wsi Terka, nim ta, wraz z Galicją, wpadła w sidła Austrii. Jest to przedmiot w niewyjaśniony sposób powiązany z losami Polski. Otóż kto panuje nad nim, ten ma w swej garści cały kraj. Zauważ, że w kilka lat po zdobyciu Klucza, cała Rzeczpospolita pokornie weszła pod zabór Nasz i Naszych przyjaciół. Dopóki mamy Klucz, żadne rewolucje polskie Nam nie straszne! Teraz jednak stało się coś okropnego.

Jak wspomniałem, Rosja umarła. Dziś jest tylko bezkształtną mieszanką wszystkich możliwych koncepcji. Czy wygrają wolnościowy? Wydaje mi się to mało prawdopodobne, by Rodzianko mógł opanować sytuację. Nawet jeśli, to słaba władza demokracji nie utrzyma silnej Rosji, którą trzeba dzierżyć mocno, w przeciwnym czasie rozbiorą ją wrogowie. Nasi z pewnością nie mają już szans i nawet, gdyby na drodze przewrotu zdołali Rosję opanować, to prędko wybuchną kolejne bunty. Obrzydzono Nas ludowi. Obawiam się, że po władzę sięgnąć mogą tacy radykałowie jak Lenin i jego dzikie hordy. Pod ich rządami, pod butem bolszewików, Nasza umiłowana Ojczyzna stanie się z pewnością czerwonym monstrum, które dążyć będzie do zalania chaosem i gwałtem całego świata. I owego monstrum nikt zatrzymać nie zdoła. Musi więc być siła mogąca pokonać owego potwora. Piszę te słowa z ciężkim sercem, lecz wiedz, że powstrzymać Lenina może tylko bufor wciśnięty między Rosję a resztę Europy. Polska.

Musimy wywieźć Klucz poza Rosję. Oddajmy go Polsce, a ta odrodzi się znów silna i zatrzyma bolszewicką nawałnicę.

Chassanie. Jesteś moim najbardziej zaufanym człowiekiem. Tobie więc powierzam to jakże ważne zadanie przewiezienia Klucza do Polski. Oczekuj Abuchadżego, który przekaże Ci go ode mnie. Zawieziesz go do miasta tak mi drogiego, do Kłobucka, w którym znajduje się mój pałac. W najwspanialszym z budynków tej osady jest kryjówka w wieży. Zanieś tam Klucz. I nie daj się pojmać!

Prawdopodobnie to mój ostatni list, jaki kiedykolwiek do Ciebie wysyłam. Mój los jest niepewny. Chassanie, uciekaj z Rosji. Wypełnij tę misję i uciekaj tak daleko, jak tylko zdołasz.

Michał Aleksandrowicz

Pani Marlenka wcisnęła list do worka z brudnymi ubraniami i usiadła na skraju łóżka. Pan Stefan pobladł i zaczął chwiać się na nogach. Odczytywanie tekstu trochę im zajęło, na szczęście pamiętali jeszcze rosyjski ze szkoły.

– Trzeba tu posprzątać – stwierdziła w końcu radna, klękając i składając ubrania szpiegów tak, aby wyglądały na nietknięte.

– O co w tym liście chodziło? – Stefan ciągle nie bardzo rozumiał, co się właściwie dzieje. – Wrodzy agenci chcą przejąć jakiś magiczny klucz, który rosyjski wielki książę ukrył w kłobuckim majątku?

– Michał Aleksandrowicz pisał te słowa do jakiegoś Chassana. Ten człowiek miał przedrzeć się przez rewolucyjną zawieruchę i armię niemiecką, by dotrzeć do polskiego miasta graniczącego z Niemcami. Naprawdę możliwe, że mu się udało?

– Czy gdyby Chassan zawiódł, zatrzymalibyśmy bolszewików pod Warszawą?

Marlenka zastygła z podkoszulkiem w dłoni. Rzeczywiście, misja musiała zostać wykonana, ale to oznaczało, że dziś nad Polską zawisło niewiarygodne niebezpieczeństwo.

– Zatem jeśli Antonow i Kriuczkow odnajdą ten cały Klucz, to jakiś kraj, zapewne Rosja, podbije Polskę? Nic z tego nie rozumiem – wyznała.

– Ja też – zgodził się radny. – Ale wiem, kto może nam pomóc.

*

Oczom Michaiła i Siergieja ukazał się kłobucki pałac – spory, zadbany budynek o świeżej, żółtej elewacji. Szpiedzy widzieli go wcześniej na zdjęciach, acz i tak zdziwili się, w jak dobrym stanie zachowała się tak stara budowla. Po tych wszystkich wojnach, okupacjach i troskliwej opiece władzy ludowej i czego tam jeszcze Polska nie doświadczyła nie powinien tu stać nawet kamień na kamieniu. Ich oczy zwróciły się ku niskiej wieży.

– Zapraszamy, panowie, zapraszamy! – przetłumaczyła Irina, podczas gdy burmistrz Staniszewski otworzył drzwi wejściowe.

*

W każdym mieście jest fanatyczny historyk. I nie jest ważne, czy mówimy tu o ogromnej Warszawie, czy o niedużym Kłobucku. Fakt ten nie zawsze jest nam znany, bo tacy pasjonaci rzadko się ze swoją wiedzę obnoszą. Każdego dnia widujemy ich na ulicy, witamy się z nimi i rozmawiamy o pogodzie i podwyżkach cen prądu, nie podejrzewając nawet, co siedzi w ich głowach. Żyją spokojnie, lecz gdy tylko znikają w domowym zaciszu, zamawiają kilkadziesiąt kolejnych niskonakładowych książek i zatapiają się w świecie niekończących się analiz posunięć sił rumuńskich podczas szturmu na Odessę w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Czasem też zachłyśnięci historią wyczekują, aż z Niebios zstąpi Mesjasz, który wysłucha ich modlitw i przywróci II Rzeczpospolitą/Cesarstwo Rzymskie/Królestwo Polskie… Niepotrzebne skreślić.

Jedną z takich osób był pan Adam, który od lat wykładał literaturę w miejscowej księgarni. W pierwszej chwili, gdy ujrzał list wielkiego księcia Michała Aleksandrowicza, był

bliski utraty przytomności. Jego zachwyt był wyraźny i nadzwyczajnie utrudniał przeszkodzenie Rosjanom w podboju Polski, a przecież liczyła się każda sekunda!

– Kim mógł być ten cały Chassan? – zapytał pan Stefan. – I dlaczego to imię jest napisane przez „ch”, a nie prawidłowo, przez samo „h”?

– To naprawdę ma w tej chwili znaczenie? – niecierpliwiła się pani Marlenka.

– Nie mam pojęcia o jakiego Chassana chodzi – odrzekł księgarz. – Ale to prawidłowy zapis. Tyle, że czeczeński. Myślę, że wielki książę wysłał ten list na początku marca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Piętnastego marca, tak jak się obawiał, brat uczynił go nowym cesarzem, jednak już następnego dnia abdykował. Żadnej koronacji nie było, w ogóle nie uznawał się za władcę. Wkrótce później aresztowano go i rok później rozstrzelano. Jeśli ta historia jest prawdziwa, to jego zaufany czeczeński przyjaciel Chassan musiał wyruszyć do Polski. Teoretycznie zwrócenie Polsce klucza byłoby równoznaczne z odzyskaniem przez nasz kraj niepodległości… I tak, mógłby dotrzeć tu do pamiętnego jedenastego listopada, choć data ta jest umowna. W zasadzie wszystko by się zgadzało, Chassan miał dość czasu, by wypełnić misję.

– Ale skąd niby ten Czeczen? – radny próbował uporządkować nadmiar informacji. – Nie powinien powierzyć losów świata Rosjaninowi?

– Michała swego czasu uczyniono generałem. Był doskonałym dowódcą, jego żołnierze wręcz go ubóstwiali i to nie przez jego błękitną krew. A tak się składa, że jego oddział złożony był właśnie z Czeczenów.

– Mniejsza z historią! Niech nam pan powie, jak powstrzymać wroga? Michał Aleksandrowicz pisze o kryjówce w wieży w najpiękniejszym budynku w mieście. Chodzi o jego pałac, prawda? – radna była już wyraźnie zniecierpliwiona.

– A cóż by innego? Przecież to była jego posiadłość.

– Był pan kiedyś w tej wieży? Wie pan, gdzie może być ta skrytka?

– Córka szwagra miała tam wesele. Po kilku głębszych… talerzach sałatki udałem się na poszukiwania toalety. Zabłądziłem i trafiłem do wieży, ale żeby od razu szukać skrytek? Na weselu? A poza tym, to kto chodzi do tego pałacu? I czy gdybym wiedział o tajemnej skrytce, to czy nie otworzyłbym jej i nie ogłosił tego w *Gazecie Kłobuckiej*?

*

– Przepraszam bardzo, którędy do toalety? – spytał Antonow.

Sprzątaczka machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku i powróciła do mycia podłogi. Pułkownik zdezorientowany przyglądał się to postaci z mopem, to majorowi.

– No jeszcze tu stoją? Tam niech idą, na prawo! – zniecierpliwiła się pani Kazia i wsunęła dłoń do kieszeni.

Rosjanie podziękowali i ruszyli schodami w górę.

– Możemy jej zaufać? – spytał Sierioża. – Dziwne, że nas zrozumiała.

– Tak sugestywnie przestępowałeś z nogi na nogę, że każdy by się domyślił, czego nam trzeba. Pospieszmy się, zanim zaczną nas szukać, my musimy znaleźć klucz, a niestety nie mamy precyzyjnych wskazówek.

– Nie takie rzeczy żeśmy znajdowali… – Kriuczkow próbował przekonać samego siebie, ale musiał przyznać, że ta misja jawiła się jako wyjątkowo trudna. – Na pewno w grę wchodzą ruchome cegły, deski w podłodze, meble z podwójnym dnem… – wyliczał, przekraczając próg wieżowej komnaty. Po czym oniemiał.

Gładkich ścian pokrytych równiuteńkim tynkiem nie powstydziłby się Kreml, podłogę pokrywało linoleum, a z mebli stały tu jedynie dwa krzesła i stolik z Ikei.

– Co oni zrobili z zabytkiem?! – wykrztusił. Dałby głowę, że w pomieszczeniu podejrzanie pachniało świeżością, ale to pewnie zszargane nerwy spłatały mu figla.

– Byłam pewna, że spodoba się panom to, jak zadbaliśmy o pałac Romanowa – pani Marlenka rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu, wyrastając niczym spod ziemi.

Jako jednak, że do ziemi było daleko, lepiej byłoby powiedzieć, że wychynęła ze schowka na szczotki.

– Nasz konserwator zabytków wyraził zgodę na generalny remont tego wnętrza. Meble poddawane są renowacji, ale wrócą tu w ciągu dwóch lat, obecne wyposażenie jest tymczasowe i ma służyć starszym wiekiem turystom, którzy zechcą odpocząć po pokonaniu stromych schodów. Proszę spojrzeć, jaki widok rozciąga się z okna, warto tu wejść, oj warto – mówiła, a pani Irina głowiła się, co to znaczy „konserwator zabytków" po ukraińsku.

Rosjanie otworzyli szeroko oczy, jeszcze szerzej usta i ktoś nie znający ludzkich emocji mógłby przysiąc, że na ich twarzach malował się podziw wymieszany z zachwytem. Natomiast każdy, kto choć raz zetknął się ze służbami specjalnymi wiedziałby, że obaj mężczyźni myślą właśnie o tym, jak odnajdą się w szpiegostwie rolniczym i czy trafią na pole truskawek, czy może do sadownika.

*

– Proszę, tutaj jest odliczona kwota dla szwagra, za tynkowanie. Ekspresowa robota, więc doliczyłem coś ekstra. I proszę od razu zapytać, czy mógłby w przyszłym tygodniu zrobić mi mały remoncik, kafelki odpadły mi w kuchni i byłbym naprawdę zobowiązany – pan Stefan wręczył historykowi kopertę. – Spadł nam pan z nieba, i jeszcze to linoleum –

istny skarb, panie Adamie, istny skarb! – ekscytował się radny, przy czym trudno było powiedzieć, czy myśli o swoim rozmówcy, szwagrze budowlańcu czy linoleum wyciągniętym z kantorka woźnego miejscowej podstawówki.

– Ależ nie ma o czym mówić. Ojczyzna wzywała, trzeba było stanąć na wysokości zadania – pan Adam uśmiechał się skromnie. – Swoją drogą ciekawe, czy ten klucz naprawdę znajduje się w wieży. Może powinniśmy to sprawdzić? – zaproponował, a oczy rozbłysły mu na myśl o przygodzie.

Pani Marlenka pokręciła jednak przecząco głową.

– Konserwator nie wyda nam po raz drugi zgody na remont w zamku, a przynajmniej nie tak szybko. Poza tym ta komnata wygląda teraz tak pięknie, że aż żal byłoby ją ruszać. Może za jakiś czas o tym pomyślimy? – dodała ugodowo.

Historyk nieco posmutniał, ale rozumiał, jak wielką wartość przedstawia kłobucki pałac. Zdawał też sobie sprawę z tego, że na nich trojgu ciąży ogromna odpowiedzialność. Jako jedyni, bo Rosjan chyba nie należało teraz liczyć, wiedzieli o skarbie, jakim był Klucz do wolności Polski, a zarazem do bezpieczeństwa całej Europy. Może magicznych przedmiotów nie należało ruszać? Kto wie, co stałoby się, gdyby komuś udało się przejąć artefakt, który już kiedyś przysporzył tak wielu problemów?

*

– Dzień dobry księże proboszczu! – pani Kazia zamachała dłonią w gumowej rękawiczce.

– A szczęść Boże, pani Kazimiero! Wcześnie dziś pani przyszła – ucieszył się duchowny.

– Delegacja jakaś przyjechała z Ukrainy, łazili po pałacu i burmistrz Staniszewski poprosił, aby nie przeszkadzać. No to przyszłam przed ołtarzem odkurzyć, jak ksiądz pozwoli.

Proboszcz pozwolił, a jakże. Od lat pani Kazia pomagała mu utrzymać kościół w czystości. Chlubił się tym, że dom Boży świętych Marcina i Małgorzaty był tak wspaniale utrzymany i wiedział, że duża w tym była zasługa zaprzyjaźnionej sprzątaczki. Musiał przyznać, że jeszcze nigdy nikt tak nie dbał i o zakrystię, i nawet o kościelną wieżę. Pani Kazimiera spędziła w niej swego czasu dobre dwa tygodnie, opukując każdą cegiełkę, szorując każdy centymetr podłogi, dbając o najdrobniejsze szczegóły. Do dziś nie było tam śladu kurzu czy choćby jednej nitki z pajęczej sieci. Proboszcz był zachwycony nie tylko porządkiem, ale i tym, jak wiele radości sprawił on sympatycznej kobiecie. Pewnego dnia wybiegła z kościelnej wieży jakby niesiona na anielskich skrzydłach, nawet mówiła sama do siebie, jak natchniona!

On sam chętnie pomógłby teraz w odkurzaniu, ale musiał udać się na plebanię, za co przeprosił. Możliwe, że niepotrzebnie.

Pani Kazimiera kroczyła dziarsko nawą główną, podśpiewując z cicha wcale nie świętą piosenkę. W kościele o tej porze było pusto, nad różańcami pochylały się dwie starsze panie, organista zakończył właśnie próbę i szedł do domu, jakiś zabłąkany turysta robił zdjęcia.

Ale wzrok pani Kazi przykuł mężczyzna w pierwszym rzędzie. Uśmiechał się pod wąsem. Szczupła, pociągła twarz zdawała się być jeszcze dłuższą za sprawą wysokiego czoła. „Łysieje trochę jak książę Wiliam. Może arystokraci tak mają", pomyślała kobieta i odwzajemniła uśmiech.

– Udało się, Michale Aleksandrowiczu – szepnęła, pochylając się w stronę Wielkiego Księcia. – Raz jeszcze ocaliliśmy świat.

– Rozumiem, że nie dostali skarbu?

– A gdzież tam! – zaśmiała się w głos sprzątaczka. – Jest u mnie bezpieczny – przypomniała, potrząsnęła kluczem na sznurku wiszącym u pasa i mrugnęła okiem.

Piotrowiczowa nachyliła się do Nowackiej szepcąc, że z panią Kazią chyba coraz gorzej, bo znów rozmawia sama ze sobą, a turysta z niedowierzaniem wpatrywał się w wyświetlacz aparatu. Na zdjęciu, obok kobiety w pierwszej ławce, majaczył cień, jako żywo przypominający mu postaci sprzed stu lat, znane ze starych albumów. Przetarł oczy, ale przecież nikogo nie widział, oprócz sympatycznej sprzątaczki mówiącej samej do siebie i bawiącej się ciężkim kluczem. Zapewne od schowka ze szczotkami.

KONIEC

II MIEJSCE

MAGDALENA SZWEDA

Cyrk Kłamstw

Ada zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, od razu weszła do środka. Okna były zaklejone gazetami, a jedynym źródłem światła była mała lampka na biurku, przez co dziewczyna ledwie w ciemności rozpoznała stojącego do niej tyłem Adama.

– Jak poszło z klątwą? – zapytał oschle, przeglądając kolejne książki na regale w ciemności.

– Zrobiłabym to z zamkniętymi oczami – burknęła pod nosem. – Myślałam, że mi ufasz.

Adam odwrócił się i z pogardą spojrzał na Adę.

– Wiesz, że magia cmentarna to nie są przelewki i jeśli nie będziesz współpracować, to możesz zacząć wróżyć z tarota, czy zioła na uspokojenie sprzedawać – wycedził i usiadł za biurkiem.

– Dobra – westchnęła. – Napisałam na zdjęciu siedem razy imię tamtego faceta i zawinęłam je w kawałek materiału. Później zapaliłam świeczkę nad nieoznakowanym grobem z krzyżem…

– O której godzinie? – wtrącił się.

– Północy – prychnęła. – Przywiązałam do krzyża sznur i powiesiłam na nim to wszystko.

– Jakiego zaklęcia użyłaś? – zapytał nerwowo, stukając palcami o blat.

– Zawiązuję pętlę, przynoszę sprawiedliwość…

– Dobrze – przerwał. – Co zostawiłaś w ofierze?

– Wódkę i chleb – przewróciła oczami.

Adam westchnął i wyciągnął z szuflady małą kartę, którą podał Adzie.

– To jest twoje kolejne zadanie.

– Do cyrku już chcesz mnie wysłać? – prychnęła śmiechem, obracając w dłoniach bilet.

– Przypuszczamy z resztą Kręgu, że dzieje się tam coś więcej niż tylko pokazy iluzji, dlatego nie możesz zdradzić, że jesteś czarnym magiem – odrzekł, ignorując wcześniejsze pytanie Ady.

– Nie ma problemu – powiedziała, chowając bilet do kieszeni. – Mam nadzieję, że po tym wreszcie mi zaufasz – burknęła.

– Jeszcze zobaczymy – odpowiedział krótko.

Ada skinęła głową i odchodząc już ostatni raz spojrzała na Adama.

– A co jak wasze przypuszczenia się potwierdzą? – zapytała.

Mężczyzna jedynie wymownie przejechał palcem po szyi i wrócił do przeglądania reszty książek. Ada westchnęła i wyszła jak najszybciej z biura, zostawiając maga samego w ciemności.

Dziewczyna od zawsze marzyła o wielkiej metropolii, która nigdy nie śpi, lecz przyszło jej żyć w małym mieście, o którym większość nawet nie miała pojęcia. Mimo to zawsze coś ją w Kłobucku trzymało i sprawiało, że trudno byłoby się jej rozstać z tym miejscem.

W takie dni jak niedziela, gdzie na rynku gromadzili się ludzie z okolicy, Ada unikała centrum jak ognia. Zamiast tego chodziła bez celu po obrzeżach miasta, próbując zebrać myśli. Ostatnio jednak zamiast spacerów zaczęła przesiadywać godziny na pustym dworcu. Wpatrywała się w porośnięte trawą tory z nadzieją, że kiedyś nadjedzie tu pociąg. To miejsce miało w sobie coś, co nie pozwalało oderwać od niego oka.

Poddenerwowana przewracała w dłoniach bilet do cyrku. Adam odkrył w niej talent do magii, gdy miała jeszcze piętnaście lat. Nie zważając na nic zawsze była gotowa wykonywać jego polecenia. Jednak z biegiem lat, gdy mężczyzna wciąż nie wierzył w jej umiejętności, Ada zaczęła wątpić w jej niezwykłość i życiową drogę. Była niemal pewna, że i tak umrze właśnie tutaj i za parędziesiąt lat zostanie całkowicie zapomniana. Skrycie miała jednak nadzieję, że stanie się kimś więcej.

Te myśli nie dawały jej spokoju, lecz pomimo tego Ada wzięła głęboki wdech i zaczęła rozmyślać nad kolejnym zadaniem. Jedynie polecenia Adama pozwalały jej na chwilę wytchnienia i sama nie była pewna, czy mężczyzna o tym wiedział i robił to z myślą o niej, czy zasypywał ją tak nużącą pracą, aby jedynie samemu się od niej uwolnić.

Ostatni raz spojrzała na dworzec i niechętnie wstała z zarośniętego już dziką trawą peronu. Przedstawienie ma się rozpocząć jutro, więc nie chciała tracić ani jednej chwili. Cyrk miał stanąć w pobliżu szpitala, dlatego zbliżając już coraz bliżej dziewczyna starała się wypatrzeć jakichkolwiek plakatów czy większych zgromadzeń. Ku jej zaskoczeniu namiot nie był jeszcze całkowicie rozłożony, a jedynie wokół stało parę wozów cyrkowych, przy których siedzieli pracownicy.

Ada powoli zaczęła iść w ich stronę, czując na sobie przeszywający wzrok parunastu par oczu. Już miała się wycofać, gdy z kolorowej przyczepy wyszedł mężczyzna w średnim wieku, który opierał się o laskę zakończoną porcelanową główką królika.

– W czymś mogę pomóc? – burknął.

– Tak, szukam dyrektora cyrku – powiedziała niepewnie.

– Jestem Wojciech Witeszewski i ja tutaj jestem właścicielem.

– Adrianna Grudzień – uścisnęła dłoń mężczyźnie.

– Dlaczego mnie pani szuka?

– Jest to dość osobiste – spojrzała na resztę pracowników, która przysłuchiwała się rozmowie.

Mężczyzna podążył za nią wzrokiem, po czym rzucił wszystkim ostrzegawcze spojrzenie.

– W takim razie zapraszam do środka – zaproponował, wskazując dłonią na kolorową przyczepę.

Ada niepewnie weszła za mężczyzną, gdzie usiadła naprzeciwko małego biurka na drewnianym taborecie. Całość była zaaranżowana na biuro, lecz przez małą powierzchnię i życie w ciągłej trasie wyglądało to raczej komicznie. Gdy dyrektor usiadł naprzeciwko, Ada zaczęła zbierać myśli i swoją wersję wydarzeń, aby nie wydawała się zbytnio ckliwa.

– Chciałam się zapytać, czy byłaby możliwość dostania tutaj pracy, ponieważ…

– Nie – przerwał. – W tym miejscu wszyscy tworzą jedną rodzinę i nie szukamy nikogo nowego, nawet do sprzątania.

Ada westchnęła i zamknęła oczy, próbując uronić parę łez.

– Proszę – powiedziała niemal szeptem. – Zostałam zwolniona parę dni temu z jednej z małych kawiarni, a muszę zapłacić wszystkie rachunki i zaliczkę na szkolną wycieczkę siostry – otarła łzy z policzków. – Nie chcę, aby czuła się źle przez moje problemy – skłamała, chowając twarz w dłoniach.

Mężczyzna zamyślił się na chwilę, po czym głośno westchnął.

– Niech będzie – stwierdził.

– Bardzo dziękuję! – uśmiechnęła się, próbując powstrzymać łzy radości.

– Niech przyjdzie pani jutro o dwudziestej, to wszystko ustalimy.

– Dobrze – skinęła głową i wyszła jak najszybciej, bojąc się, że mężczyzna mógłby się jeszcze rozmyślić.

Ada nie zwlekając ani chwili dłużej, zaczęła oddalać się od cyrku coraz dalej. Nie spodziewała się, że plan z ckliwą historią w ogóle wypali. Po drodze próbowała zadzwonić do

Adama, lecz on jak zwykle nie odbierał. Czasami wydawało jej się, że pomimo paru lat znajomości mężczyznę wciąż nie obchodził jej los.

Wchodząc do pustego mieszkania, Ada westchnęła i przez chwilę chciała zadzwonić jeszcze do swoich rodziców, ale odrzuciła ten pomysł i położyła się na łóżku z nadzieją, że sen przyjdzie szybko.

Gdy nastał kolejny wieczór Ada zaczęła kierować się w stronę cyrku. Z każdym kolejnym krokiem dźwięki wesołej muzyki i śmiechów stawały się głośniejsze. Podchodząc do wejścia spostrzegła dyrektora, który rozmawiał z paroma klaunami.

– Właśnie na panią czekaliśmy – powiedział, gdy od razu zobaczył dziewczynę. – Dzisiaj pomoże pani pracownikom w kostiumach, a po przedstawieniu na pewno się znajdzie trochę pracy przy sprzątaniu.

– Bardzo dziękuję, to wiele dla mnie znaczy – uśmiechnęła się.

– Proszę za mną, pokaże pani zaplecze.

Ada dała się poprowadzić dyrektorowi, który wszedł tylnym wejściem do namiotu. Zaplecze wydawało się o wiele większe, niż wyglądało z zewnątrz. Wszystko w środku było kolorowe i jaskrawe. Właściciel po udzieleniu Adzie paru wskazówek zostawił ją z resztą pracowników, którym miała pomóc dobrać stroje i makijaż. Nigdy nie była dobra w takich manualnych rzeczach i w głębi duszy przeklinała Adama, że wysłał ją akurat tutaj.

Nagle będąc w połowie wykonywania makijażu klauna zgasły wszystkie światła, a za kurtyną wstrząsnęły krzyki publiczności. Wszyscy pracownicy zerwali się ze swoich miejsc i równo ustawili przy wejściu na scenę. Ada jedynie westchnęła widząc swoja marną pracę i modliła się, aby nikt nie wywęszył jej podstępu. Ustawiła się z boku sceny i oparła o metalową konstrukcję, aby mogła swobodnie oglądać przedstawienie i nie zostać zauważoną. Wiedziała, że musi znaleźć coś podejrzanego w tym, co widzi dzisiaj, ponieważ jest to jej jedyna szansa.

Pierwsze na scenę wjechał młody chłopczyk o twarzy staruszka na małym rowerku i zatoczył parę okrążeń przy odgłosach obrzydzenia wśród publiczności pierwszych rzędów. Chłopak nie zwracał na to uwagi, a jedynie nerwowo pedałował dalej trąbiąc na swoim klaksonie.

Nagle wszystkie światła zgasły, a na trapezach i wysokich konstrukcjach pojawili się pierwsi akrobaci. Ku zdziwieniu publiczności ich oczy były zasłonięte czarnymi przepaskami, a wszelkie akrobacje wykonywali na ślepo. Przy każdej trudniejszej figurze zdawało się, że publiczność na chwilę przestawała oddychać ze strachu o upadek akrobatów.

Po kolejnym zgaśnięciu świateł na scenę wszedł sam dyrektor ubrany w długą pelerynę, wciąż podpierając się o swoją laskę z główką królika.

– Jestem dyrektorem tego cyrku i witam was wszystkich na dzisiejszym…

Nie miał dane skończyć, ponieważ zagłuszyły go okrzyki i oklaski widowni.

– Ta noc może okazać się jedną z najbardziej magicznych w waszym życiu – kontynuował. – Kłobuck jest pięknym miejscem ze wspaniałymi ludźmi, ale jak wszędzie i tu są te niezadowolone z życia osoby – obleciał wzrokiem całą publiczność. – Dziś postaramy się temu zaradzić, więc jeśli którakolwiek z pań czuje się niepocieszona swoim wyglądem, to zapraszam na scenę.

Ada przez chwilę nie mogła oddychać. Czuła, że teraz wydarzy się coś, co upewni ją w podejrzeniach Adama. Zacisnęła szczękę i próbując zachować rozum czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

Publiczność była podniecona, ale nikt nie odważył się wejść na scenę. Wreszcie brunetka z piątego rzędu wstała i niepewnie wspięła się po bocznych schodach w stronę właściciela.

– Brawo! – zawołał mężczyzna. – Proszę się nie krępować, w tym miejscu stanie się pani prawdziwą boginią.

Nim kobieta zdążyła coś odpowiedzieć, para klaunów ustawiła wysokie parawany uniemożliwiające zobaczenie czegokolwiek. Dopiero po paru minutach ciszy, której wtórowały jedynie szepty widowni, znad parawanu wyszedł właściciel ujmujący delikatnie dłoń kobiety.

Ada zdumiała się, gdy zamiast lekko zgarbionej brunetki zza parawanu wyszła pewna siebie blondynka w ubraniach najlepszych projektantów. Nawet jej rysy twarzy wydawały się nieco inne niż przedtem. Jedyną rzeczą, która nie pasowała do tego idealnego obrazu, była głęboka rana na dłoni kobiety i choć Ada domyślała się skąd ona pochodzi, w duchu modliła się, aby nie miała racji.

Publiczność widząc kobietę zerwała się z siedzeń i zaczęła głośno wiwatować. Dyrektor jedynie uśmiechnął się szarmancko i z gracją pomógł kobiecie dojść na miejsce.

Mężczyzna miał już wrócił na środek sceny, gdy na zewnątrz rozległy się odgłosy kłótni. Właściciel zmarszczył brwi i wyszedł na zewnątrz przy podążającym za nim wzrokiem publiczności. Dopiero po chwili wrócił z niską blondynką trzymającą ręce skrzyżowane na piersi i niewysokim mężczyzną. Zaprowadził ich na środek sceny, przez co oboje wydali się zdezorientowani. Nagle obok pojawiły się dwa zamszowe fotele, na których posadził

małżeństwo. Publiczność wydała z siebie odgłosy zdziwienia, a Ada z każdą minutą stawała się coraz bardziej zaniepokojona.

– Z powodu pewnych przeciwności losu musiałem przerwać dzisiejsze przedstawienie, ale nie mogłem tak patrzeć na tych nieszczęśliwych ludzi – odwrócił się do zakłopotanego małżeństwa, które od razu spuściło wzrok. – W każdym związku to miłość powinna dominować, a nie nienawiść i właśnie dziś przed waszymi oczami naprawimy to, co zepsute i zgorzkniałe – oznajmił, a publiczność ucichła, wlepiając oczy z ciekawości.

Z trapezu nagle zeskoczył chudy mężczyzna, który podał prowadzącemu butelkę wina i dwa kieliszki. Dyrektor rozlał po równo alkohol i podał go parze.

Cała publiczność wstrzymała oddech, gdy małżeństwo po słowach mężczyzny nacięli sobie nawzajem dłonie i wlali parę kropel krwi do swoich kieliszków już napełnionych winem. Ada przełknęła gulę w gardle, ponieważ była już prawie pewna, że dyrektor nie był jedynie właścicielem cyrku.

Wszyscy wytężyli wzrok, gdy po rozmowie pomiędzy dyrektorem a parą małżeństwo wypiło wino. Mówili i zachowywali się na tyle cicho, że do widowni i Ady dochodziły jedynie niezrozumiałe szmery.

Para od razu po paru łykach wina zdała się nie pamiętać, dlaczego znaleźli się w cyrku i tak samo od razu zapomnieli o swoich wszystkich problemach.

Dyrektora natomiast zamiast aplauzu spotkały wyzwiska i zarzuty, że wszystko, co tu się stało, zostało sfałszowane. Człowiek, który od początku zdawał się bardzo opanowany, teraz zacisnął pięści i zrzucił z siebie pelerynę magika.

– Wy głupcy! – krzyknął i tym samym uciszył tłum. – Nie ważne czy to stolica, czy takie małe miasto, nikt nie dostrzega nic innego oprócz pieniędzy – kontynuował, podchodząc bliżej widowni, która zamarła. – Czy kogokolwiek jeszcze w tych czasach obchodzą jakieś głębsze uczucia? – zapytał, lecz gdy nie uzyskał odpowiedzi, prychnął i obrócił się plecami. – Tak myślałem – wymamrotał pod nosem.

Dyrektor nagle odwrócił się z pistoletem w dłoni w stronę widowni, która zamarła.

– Proszę spojrzeć w górę! – jego krzyk zagłuszył huk, po którym na widownię zaczęły spadać wirujące pieniądze.

Znoszone przez opór powietrza pierwsze spadły na balkony, a po kilku sekundach znalazły się również na najniższych ławach. Wznosiły się setki rąk w górę próbujące chwycić jak najwięcej zielonych papierków. Całą publiczność ogarnęła z początku radość, lecz szybko przekształciła się ona w osłupienie. Co po niektórzy czołgali się w przejściach lub wielu stało na fotelach, próbując dosięgnąć pieniądze w powietrzu.

W cyrku panował hałas i zamieszanie. Wszystkim świeciły się oczy z podniecenia i już nikt nie zwracał uwagi na dyrektora, który opuścił niepostrzeżenie scenę.

Ada stała w osłupieniu, próbując wszystko zrozumieć. Nigdy nie widziała takiego rodzaju magii. Była ona jeszcze bardziej przerażająca i o wiele subtelniejsza niż czarna magia, która sama w sobie wielu stawiała w osłupieniu. Ludzie utożsamiali magię jako coś efektownego, jednak w większości przypadków była ona na tyle niedostrzegalna, że mało kto niewtajemniczony mógłby ją rozpoznać.

Ada z początku usunęła się w głąb zaplecza i starała się zadzwonić do Adama, lecz ten nie odbierał. Czuła, jak strach połączony z adrenaliną zaczął krążyć po jej ciele, a umysł krzyczał „uciekaj". Nie myślała już o rozczarowaniu u mężczyzny czy utracie szansy na coś więcej niż proste rytuały.

Przeczuwała, że dyrektor wcale nie musiał być magiem, a weretnikiem. Natomiast wszystkie te zagrania miały jedynie na celu zebranie dusz ludzkich, które były potrzebne do odprawiania zakazanych rytuałów. Już od wielu lat nawet czarni magowie nie stosowali tak brutalnych zagrań, co przerażało Adę jeszcze bardziej.

Zaczęła szukać wyjścia w kolejnych korytarzach, które wydawały się biec i zapętlać w nieskończoność. Dysząc coraz bardziej i zwalniając tempo biegu poczuła, jakby cały świat zaczął wirować. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, była zimna podłoga i obolałe kolana.

Ada, choć jej całe ciało się opierało z trudem otwarła oczy. Z przerażeniem odkryła, że znajdowała się w małej przyczepie zaaranżowanej na biuro obok cyrku. Jej ręce były skrępowane liną do oparcia krzesła i nie miała nawet siły, aby próbować się uwolnić.

Nagle usłyszała otwierane drzwi, przez które wszedł dyrektor wciąż ubrany w ten sam sceniczny kostium.

– No i co ja mam teraz z tobą zrobić? – westchnął z uśmiechem. – No nic, muszę jedynie powiedzieć, że nie wydajesz się zbyt sprytna na to dla kogo pracujesz – kontynuował, gdy nie dostał odpowiedzi. – Słyszałem od weretników, aby omijać Kłobuck szerokim łukiem – parsknął śmiechem. – Podobno miało tu mieszkać wielu czarnych magów, których lepiej unikać. Nawet nie wyobrażasz sobie mojego zdziwienia, gdy po tym wszystkim zobaczyłem ciebie.

Ada, choć gotowała się w środku, starała tego nie okazywać. Nie spuszczała dyrektora z oczu i słuchała jego słów, w tym samym czasie próbując wymyślić plan ucieczki.

– Zapewne już i tak doskonale wiesz, co chcę zrobić…

– Pewnie dążysz do paktu z Herodem, tylko on podejmuje się tego z weretnikami, gdy w ofierze składają dusze innych ludzi – wtrąciła się. – Kobietę uczyniłeś piękną, a parę kochanków szczęśliwą i nawet nie kryłeś się z tym, że użyłeś ich krwi do rytuału.

Dyrektor uśmiechnął się i zaczął klaskać.

– No widzę, że ktoś porządnie się do edukował w tym zakresie, pewnie Adam byłby dumny. Miałem szczerą nadzieję, że to on dzisiaj przyjdzie, ale i nie pogardzę tobą – westchnął. – Jak widzisz wszystkich ludzi można przekupić, nawet jeśli z początku się wzbraniają, to zawsze coś się znajdzie. Z nami jest inaczej, my widzimy więcej, słyszymy więcej i rozumiemy więcej. Bo widzisz, do mojego rytuału brakuje duszy jeszcze jednej osoby, kogoś więcej niż tylko człowieka – powiedział, wyciągając z biurka ozdobny nóż. – Od początku, gdy usłyszałem o Adamie i o jego znaczeniu w waszych sferach, wiedziałem, że musi tu być on, ale skoro jest jak jest, to nie mogę wybrzydzać.

Źrenice Ady momentalnie się rozszerzyły i próbowała uwolnić skrępowane ręce i nogi. W momencie, gdy chciała krzyknąć, poczuła dłoń dyrektora na swoich ustach i ogromny ból, który momentalnie przerodził się w pieczenie.

Dyrektor szybko uwolnił jej zranioną dłoń i włożył Adzie pióro do palców.

– Pisz! – krzyknął, kładąc umowę pomiędzy Herodem przed nią.

Nie myśląc już trzeźwo i mając w głowie jedynie myśl o tym, aby przeżyć, Ada za pomocą pióra zanurzonego w jej własnej krwi wykonała dość koślawy podpis. Ze strachu nie potrafiła nawet płakać czy krzyczeć.

Dyrektor chciał już coś powiedzieć, gdy nagle za drzwiami przyczepy rozległ się huk.

– Co to ma być? – wycedził do siebie i upewniając się, że liny krępujące ręce i nogi Ady są dobrze związane, wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Ada wciąż głośno dysząc zaczęła rozglądać się po pokoju w próbie znalezienia czegoś ostrego. Jedyne co dostrzegła w tamtej chwili, to był mały nożyk do otwierania listów. Choć nie była tym pocieszona i chciała znaleźć coś lepszego, wychyliła swoją zranioną rękę, która nie była już jak mocno skrępowana linami. Po parunastu sekundach, które dłużyły się w nieskończoność, udało jej się chwycić nóż i jak najszybciej zacisnęła go kurczowo w dłoni.

Co chwilę zerkając na drzwi próbowała przeciąć liny. Słysząc głos dyrektora za ścianą przeszła ją fala zimnych dreszczy i zaczęła piłować szybciej. Nie mogła się teraz poddać, ponieważ była to jej jedyna szansa, aby uciec.

Udało się jej uwolnić w ostatniej momencie, gdy kroki dyrektora nieubłaganie się zbliżały. Ada stanęła obok drzwi mocno ściskając nóż. Czuła, jak jej nogi miękną z każdą sekundą, a w żyłach zamiast krwi zaczęła płynąć adrenalina przyśpieszająca jej bicie serca.

Od razu, gdy usłyszała otwieranie się drzwi, niewiele myśląc rzuciła się na dyrektora z małym ostrzem, próbując wbić mu je w gardło. Mężczyzna jednak, gdy zrozumiał, co się dzieje, przywarł Adę do ściany, zaciskając dłonie na jej szyi. Ostatkami sił, które opuszczały jej ciało coraz bardziej z każdą sekundą, udało się Adzie wbić nóż w klatkę piersiową dyrektora, który natychmiast po tym zwolnił uścisk. Dopiero jak jego ciało bezwładnie osunęło się na ziemię, Ada zrozumiała, co tak naprawdę zrobiła.

Z początku podejrzewała, że poczuje jakąkolwiek formę żalu czy smutku. Przypuszczała, że przeżyje coś ważnego, lecz zjawił się tylko przelotny szok i ponura świadomość, że jako czarny mag będzie musiała to zrobić raz jeszcze, a potem znowu i znowu.

Bezwładnie upuściła nóż na posadzkę i jak najszybciej wybiegła z przyczepy. Zbliżała się już północ, więc niewiele osób zwracało na nią uwagę. Jedynie pielęgniarka, która stała pod szpitalem obok którego Ada biegła, zaczęła krzyczeć, myśląc, że dziewczyna potrzebuje pomocy.

Po parudziesięciu minutach biegu zdyszana Ada weszła do biura Adama, który siedział pogrążony w jednej z książek.

– Wszystko załatwione z tym cyrkiem? – zapytał, wciąż nie odrywając wzroku od książki.

Ada przez chwilę próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

– Tak – wycedziła.

– Dobrze – odpowiedział po chwili.

– Tylko dobrze? – prychnęła. – Ja mogłam tam zginąć! – podniosła swój głos, a Adam jedynie zdziwiony na nią spojrzał. – Nic nie wspomniałeś o weretnikach i o tym, że w tym wszystkim chodziło jedynie o jakiś pakt.

Chciała jeszcze coś dodać, gdy nagle usłyszała coraz żywsze i głośniejsze klaskanie w rogu pokoju.

– No proszę – powiedziała blada kobieta, która siedziała w rogu biura na jednym z foteli. – Nie spodziewałam się, że ci się uda.

– Co to ma znaczyć? – zapytała. – Nie przypominam sobie, abym brała udział w jakimś teleturnieju.

– To jest Monika Stachiewicz, pionierka Kręgu – Adam przedstawił kobietę, ignorując komentarz Ady.

Blondynka podeszła bliżej Ady, która od razu przełknęła gulę w gardle.

– Dużo o tobie słyszałam, dlatego wystawiłam cię na próbę, przydzielając takie zadanie. Szczerze, nie spodziewałam się, że wyjdziesz z tego żywa.

– Miło – wymamrotała pod nosem Ada, od razu zauważając karcący wzrok Adama.

Monika jedynie posłała jej fałszywy uśmiech i usiadła z powrotem na fotelu.

– Przechodząc do sedna, byłabym skłonna zaoferować ci miejsce w Kręgu. Niewielu się to udaje, a jest to kluczowe, aby stać się kimś potężnym w naszym świecie.

Ada przez chwilę próbowała poskładać myśli.

– Mogłabym się jeszcze zastanowić? – zapytała niepewnie.

– Oczywiście, ale byle nie za długo. Magowie nie czekają wieczność.

Ada jedynie skinęła głową na pożegnanie i jak najszybciej wyszła. Kątem oka zauważyła zdziwioną twarz Adama. Wiedziała, że jej zachowanie mogło wydawać się absurdalne dla niego, ponieważ nikt w takiej sytuacji by się nawet nie zastanawiał. Już od początku, gdy poznała świat magii, chciała być jak najbardziej jego częścią, lecz teraz nie wydawało się mieć to już tak wielkiego znaczenia. Nigdy nie myślała o wyrzeczeniach i trudach, jakie się z tym wiązały.

Spacerując po obrzeżach miasta Ada starała się pozbierać myśli. Parę razy dzwonił do niej Adam, ale nie miała odwagi odebrać. Chciała być stuprocentowo pewna swojego wyboru przed rozmową z nim.

Gdy zamiast decyzji pierwszy przyszła senność, Ada powoli zaczęła wracać do domu. Mieszkanie wciąż było puste i choć jej rodzice mieli przyjechać już dziś, to ich delegacja się przeciągnęła. Mimo wszystko nie było to coś nowego dla dziewczyny.

Ada powoli zaczęła się wspinać po schodach. Czuła, jak jej powieki samoistnie się zamykały. Jednak po otworzeniu drzwi do swojego pokoju stanęła jak wryta. Na łóżku siedziała ciemna sylwetka z białymi otworami zamiast oczu.

– Kim jesteś – zapytała, próbując ukryć drżenie głosu.

– Na razie jedynie energią, a potem to już nawet sam Bóg nie wie – odpowiedział po chwili nieludzkim głosem.

– Nie rozumiem.

– Jak na kogoś, komu zaproponowali miejsce w Kręgu, to wolno kojarzysz fakty – ciemna sylwetka zaśmiała się nieludzko. – Nazywają mnie Herodem, wezwał mnie dobrze znany ci weretnik.

– Dyrektor nie żyje, więc możesz wracać skąd przybyłeś – odpowiedziała.

– Widać, że jeszcze mało wiesz o tym świecie. Zgodnie z tym, że zabiłaś tamtego weretnika, teraz to jego pakt przechodzi na ciebie.

Ada przez chwilę zaniemówiła, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Nie chcę się w to mieszać – odpowiedziała krótko.

Herod podszedł bliżej i przejechał cienistą dłonią po policzku Ady, która poczuła jedynie chłód.

– Naprawdę nie chciałabyś niczego? – zapytał z niedowierzaniem. – Słyszałem, że nie podjęłaś jeszcze decyzji odnośnie przynależności do Kręgu – wyszeptał i uśmiechnął się, widząc zmieszanie na twarzy Ady. – Czyli miałem rację – dodał.

– Nic ci do tego – wycedziła.

– A co jeśli mógłbym zaproponować ci lepszy układ? – rzucił i roześmiał się, widząc błysk w jej oku. – Zanim dotarłabyś do jakiejkolwiek władzy w Kręgu minęłyby miesiące czy nawet lata. Ja proponuję ci, abyśmy przewrócili ten świat do góry nogami i na jego zgliszczach przejęli władzę.

Ada przez chwilę zdziwiona propozycją zaczęła ją dogłębnie analizować.

– A co ty z tego będziesz mieć?

– Więcej władzy i jedynie twoją duszę – odpowiedział niezwłocznie. – Nawet się nie zastanawiaj, przecież nie żyjesz po to, aby być jednie asystentką jednego z wielkich magów. Razem możemy być tym, czym chciałaś być całe życie – zachęcał dalej dziewczynę.

Ada po chwili namysłu niepewnie pokiwała głową i uścisnęła dłoń demona.

– Zróbmy to – stwierdziła pewnym głosem.

Herod jedynie się uśmiechnął, po czym jego ciemna sylwetka powoli rozpłynęła się w powietrzu.

Ada wzięła głęboki wdech i dumnie wyjrzała przez okno. Nad Kłobuckiem zgromadziły się ciemne chmury i zawiał mocniejszy wiatr. To miasto było czymś więcej niż zwykłym miejscem turystycznym. Tutaj każda ściana miała uszy, a wszystko było przesiąknięte magią. Zwierzęta zdawały się już wiedzieć o pakcie z Herodem i o zbliżającej się zagładzie, przez co w popłochu uciekały z miasta, wywołując przy tym strach u reszty mieszkańców. Ada jedynie uśmiechnęła się lekko i położyła na łóżku wiedząc, że nareszcie osiągnie to, o czym marzyła. Tej nocy nikt nie domyślał się, że już za parę miesięcy cały kraj będzie wywrócony do góry nogami.

Dla wielu to miasto mogło wydawać się uśpione lub martwe, lecz Kłobuck nigdy nie spał. Od tamtej nocy strach czy szaleństwo w tym mieście nabrało innego znaczenia. Po ulicach na wietrze fruwały jedynie ulotki z dużym napisem „Wkrótce ponowne otwarcie Cyrku Kłamstw”.

KONIEC

III MIEJSCE

IGOR PROKOPCZYK

Zew Wendigo

W wieku 15 lat uczestniczyłem w przesiedleniu wszelkiej ludności z Kłobucka. Widziałem, jak mojego ojca trójka Wendigo rozrywała na strzępy. Od dziecka byłem przestrzegany, żeby nie wychodzić do lasu, bo te stworzenia mnie porwą. Były to kreatury podobne do człowieka jedynie pod względem postury. Przed rozbojem co najwyżej porywały od czasu do czasu jakiegoś człowieka, jak za bardzo się zagłębił w las bez ochrony, ale nawet wtedy zazwyczaj jedynie obserwowały, czekając na straszny czyn. Gdy Wendigo dostrzeże straszny czyn popełniony na swoim terenie rośnie w siłę. Mówi się, że rozbój zaczął szaleniec, który zwołał wszelkie Wendigo Kłobucka i dokonał aktu kanibalizmu na swojej rodzinie. Te plotki nigdy nie zostały potwierdzone, ale wiadomo, że od tamtego dnia Wendigo nigdy nie były takie same. Na całym świecie wcześniej było może ze 100 Wendigo. Teraz wejścia do lasu ochraniają ich hordy. Sam spotkałem jednego w wieku 10 lat, kiedy z kolegami bawiliśmy się w chowanego i ja postanowiłem schować się w lesie. W pewnym momencie odwróciłem się w stronę lasu i zobaczyłem przerastającego mnie co najmniej trzykrotnie Wendigo. Wtedy niewiele osób ich widziało. Był zgarbiony, cała jego skóra była szara a zamiast twarzy miał czaszkę jelenia. Na szczęście zostałem sparaliżowany strachem, bo gdybym zaczął krzyczeć, potwór zabiłby mnie bez wahania. Ale kiedy odwróciłem się w jego stronę i nic nie zrobiłem, on instynktownie zaczął uciekać, bym go nie zauważył. Mówi się, że Wendigo powstają z odrzuconych kochanków. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale kiedy zobaczy się ich czyny, ciężko jest im współczuć.

Kiedy w dniu rozboju ogłoszony został alarm, był środek nocy. Obudziła mnie matka każąca szybko wstawać, bo musimy uciekać. Może gdybym jej posłuchał i się nie ociągał, przeżyłaby. Wiem tylko tyle, że kiedy wyszliśmy, rzucił się na nią Wendigo, a ja nawet nie próbując jej pomóc, zacząłem uciekać ile sił miałem w nogach. Od czasu 10 lat i spotkania jednego z tych stworzeń nawiedzały mnie one bez przerwy w koszmarach, a teraz, kiedy go zobaczyłem patrzącego na mnie pustymi oczami znad posiłku będącego wyrwaną ręką mojej matki zrozumiałem, że żaden z moich koszmarów nie oddał nawet w części tego, jak przerażające one są. Z tych wszystkich krzyków ledwo usłyszałem mojego ojca wołającego

mnie do zbrojowni. Nie mówiąc niczego, wręczył mi miecz i powiedział, że nic nam nie będzie. To było ostatnie zdanie, jakie powiedział, zanim znikąd pojawił się Wendigo, odrywając mu głowę. Kiedy to zobaczyłem, zamarłem w miejscu. Wendigo oderwał się od posiłku i podszedł do mnie patrząc mi głęboko w oczy i obchodząc mnie parę razy, po czym wydał z siebie dźwięk będący połączeniem jęku i wrzasku i wybiegł ze zbrojowni. Nie myśląc dwa razy wybiegłem zaraz po nim i zacząłem biec z tłumem ludzi. Biegliśmy nieustannie przez cały dzień, aż znaleźliśmy się w jakiejś wiosce z dala od Kłobucka. Tamta noc do dzisiaj jest nazywana Rozbojem oraz dniem, w którym Wendigo przejęło całkowicie pełen region.

Teraz mam 27 lat, zostałem strażnikiem w pobliskiej wiosce. Myślałem nad wyniesieniem się dalej od tego miejsca, ale czułem się z nim trochę zżyty. Z Kłobucka utrzymuję kontakt z tylko jedną osobą. Bartek, mój przyjaciel z dzieciństwa, zawsze wszystko robił ze mną i między innymi zaciągnął się ze mną do straży. Pewnie gdybym wyjechał na drugi koniec świata, on pojechałby ze mną. Pomimo tego, że lubię pracę w straży, pieniędzy nie zawsze starczało i nieraz byłem wywalany z mieszkania, bo nie zapłaciłem czynszu i od dawna już rozglądam się za jakąś nową robotą, ale ”sierota, co to nawet mieczem nie umie machać”, nie jest najlepszym CV. Od kiedy przeniosłem się z Kłobucka bez żadnego mieszka przy duszy, nie bardzo miałem jak rozwijać intelektu, by móc być architektem czy medykiem. Kiedyś uczyłem się trochę magii, ale jedyne co mogę zrobić, to wywołać ogień na dalekość niezabezpieczonej zapalniczki, a nawet to sprawia, że jestem wyczerpany przez resztę dnia. Prawda jest taka, że Bartek na spokojnie mógłby pracować gdzie indziej i zarabiać więcej pieniędzy, ale on zawsze chciał pracować ze mną.

Więc tak oto od 9 lat powstrzymuję bijatyki w barach, pilnuję sklepów i siedzę na warcie. Najgorsze były i tak pierwsze trzy lata, gdy byłem za młody, żeby mnie zatrudnić, więc głównie żebrałem i kradłem. Teraz pałuję tych, którzy żebrzą i kradną. Do Kłobucka już nikt się nie zapuszcza. Przez pierwszy rok od Rozboju strażnicy musieli eskortować ludzi chcących odebrać swój dobytek. Wypraw były tysiące. Wróciły tylko dwie osoby, które od razu trafiły do zakładu dla obłąkanych i z którymi do dziś nie ma kontaktu. Tak oto z obowiązkowych wypraw dla strażników wyszły zamknięte granice. Sam nigdy nie miałem pieniędzy, żeby chociażby zapłacić strażnikom, żeby ze mną poszli i nigdy nie udało mi się pochować moich rodziców.

Tak życie mijało w spokojnej rutynie do momentu, w którym na normalnym pilnowaniu spokoju w karczmie spotkaliśmy z Bartkiem podróżnika, który zaczął opowiadać o skarbie

ukrytym w leżu wendigo w Kłobucku. Nikt nie traktował go poważnie, ale ja postanowiłem go wysłuchać. Opowiedział mi o tym, jak pewnego razu chciał wysłać swojego kruka, żeby zobaczyć, jak teraz wygląda Kłobuck, kiedy dostrzegł góry złota w samym centrum. Na potwierdzenie swoich słów pokazał mi zapis wzroku i zobaczyłem właśnie to, o czym on opowiadał. To była tak ilość złota, że nawet, gdybym się starał, do końca życia nie zdążyłbym tyle wydać. Już miałem go zapytać o więcej szczegółów, kiedy zemdlał od ilości alkoholu. Kiedy go wynosiliśmy, zaczęliśmy dywagować o tym, co zrobilibyśmy z taką ilością pieniędzy. W pewnym momencie pomyślałem, że to nie jest taki zły pomysł i powiedziałem, że może faktycznie pójdziemy po ten skarb. Bartek najpierw się zaśmiał, ale kiedy zobaczył, że jestem poważny, od razu zaczął wybijać mi to z głowy.

Mimo że wtedy się z nim zgodziłem, to wizja tego, żeby już nigdy nie spać na ulicy, jeść codziennie i móc cały czas odpoczywać w karczmie, a nie tylko na Wigilię, wydawała się bardzo przyjemna. Pewnego dnia, kiedy znowu nie było mnie stać na czynsz i wylądowałem na ulicy, czara się przelała. Postanowiłem pożegnać się z jedyną bliską mi osobą, czyli Bartkiem, i wyjść nawet dzisiaj. Bartek próbował mnie dalej od tego odwieść, ale byłem uparty. W końcu po długiej rozmowie, która zamieniła się wręcz w kłótnię, Bartek powiedział, że jeśli tak prędko mi do śmierci, to niech sobie idę. Zdenerwowany postanowiłem pójść złożyć wypowiedzenie i iść z samego rana następnego dnia.

Obudziły mnie promienie światła wchodzące do uliczki, w której spałem. Od razu wstałem i zmierzałem do wyjścia z wioski, kiedy zatrzymał mnie jakiś mężczyzna. Przedstawił się jako Karol. Był strażnikiem tak jak ja, mimo że nigdy się nie spotkaliśmy. Podobno usłyszał, dlaczego odchodzę i chciałby wyruszyć ze mną. Powody miał podobne do mnie, ale jemu bardziej niż na pieniądzach zależało, żeby pochować ukochaną, która umarła w trakcie Rozboju. Mimo że nigdy go nie widziałem, słyszałem o nim. Był legendarnym strażnikiem. Mimo że był poznaczony bliznami i siwy, każdy mądry wiedział, że są to blizny uporu, a nie przegranej, oraz siwizna mądrości, a nie podeszłego wieku. Ktoś tak doświadczony w walce jak on, zdecydowanie przydałby się w starciu z Wendigo. Zgodziłem się i bez słowa oboje ruszyliśmy w kierunku wyjścia z wioski. W pewnym momencie usłyszałem, jak ktoś woła moje imię. To był Bartek. Zatrzymał się obok nas i powiedział, że jeśli nic mnie nie zatrzyma, to przynajmniej pójdzie ze mną przypilnować, żebym przeżył. Pomimo tego, że byłem zły na niego za wczoraj, to ucieszyłem się, że mój przyjaciel będzie tam, żeby mnie wspierać. Po przedstawieniu Bartkowi Karola zaczęliśmy planować, gdzie pójść. Trafiło na to, że jedziemy do zamku w Dankowie, żeby zebrać drużynę.

Zamek był niedaleko, więc po pół dnia drogi na piechotę trafiliśmy do celu. Pomimo marzenia Bartka, żeby spotkać Stanisława Warszyckiego, który był panem tej twierdzy, niestety nie udało nam się go spotkać, przy czym strażnicy byli wyjątkowo mili, jak wykopywali nas od niego, śmiejąc się, że taki plebs jak my chce się spotkać z podskarbim koronnym. Wszystko się zmieni, jak zdobędziemy skarb. Więc ostatecznie wylądowaliśmy w karczmie, gdzie z początku mieliśmy tylko wywiesić ogłoszenie i poszukać miejsca do spania, ale postanowiliśmy się napić. Głównym tematem rozmów było to, co zobaczymy w miejscu niegdyś będącym naszą ojczyzną. Tak jak kiedyś las był bardzo mały, a parę wendigo tam żyjące były upchnięte w samym środku tego miejsca, tak teraz las rozrósł się tak bardzo, że widać go z tej twierdzy. Po jakimś czasie i po jakiejś ilości piwa zdecydowaliśmy się pożyczyć lornetki i założyć się, kto pierwszy zobaczy Wendigo. Od razu odliczyliśmy do trzech i rzuciliśmy się do szukania. Zacząłem od wschodu i szedłem cały czas w lewo. Po jakimś czasie go zobaczyłem. Stał trochę przed drzewami i patrzył prosto na mnie. Przypomniało mi się, jak miałem dziesięć lat i tak samo patrzył na mnie Wendigo przy wiosce. Mimo że w zabawie chodziło o czas, ja po prostu patrzyłem na niego i przypominałem sobie każdą sytuację, gdy ich widziałem. Przypomniała mi się trauma z dzieciństwa, śmierć matki, śmierć ojca i paniczna ucieczka o własne życie. Z zamyślenia wyrwał mnie Bartek krzyczący: „wygrałem”. Spojrzałem na niego, a kiedy wróciłem tam wzrokiem, stwora już nie było.

Byliśmy zajęci rozmową i piciem, kiedy podeszła do nas grupka trzech najemników, mówiąc, że są zainteresowani naszym ogłoszeniem. Poprosiliśmy, żeby się przysiedli i powiedzieli kim są. Ten, który do nas podszedł i wydawał się liderem grupy nazywał się Oliver i był łucznikiem. Oliver był ogólnym mózgiem tej grupy i zazwyczaj to on wydawał dla nich rozkazy. Już po chwili rozmowy wydawał się inteligentnym człowiekiem, więc zgodziliśmy się, by wydawał swoim ludziom rozkazy. Dalej był Hans Żelazna Rzyć. Spytaliśmy skąd taki przydomek i okazało się, że Hans był kiedyś świetnym dżokejem, ale zawsze miał jeden problem, zawsze po wyścigach bolała go rzyć, więc on bez większego myślenia poleciał do kowala, by ten zaprojektował mu metalowy ochraniacz. Gdy ten był już gotowy, Hans jakimś cudem zmieścił się z nim na konia, ale po chwili jazdy zrozumiał, że ból jest o wiele gorszy. Dziesięć ludzi pomagało mu zejść, a kiedy się udało, okazało się, że ochraniacz na rzyć wbił się tak bardzo, że nie da się go wyjąć i od tamtego czasu Hans zarabia na życie jako najemnik. Po tej opowieści nie było wątpliwości kto jest mięśniem, a kto mózgiem tej grupy. Ostatni był Baltazar – jedyny czarodziej w naszej drużynie. Ciężko powiedzieć zbyt dużo o Baltazarze, jako że nie odzywa się zbyt dużo nawet do własnej

drużyny. Wiadomo za to, że jest świetnym magiem. Pomimo że wiele czarodziei pomija uczenie się żywiołów, to Baltazar właśnie w nich jest najlepszy i gdyby chciał, mógłby zalać całą tą twierdzę lawą.

Nie potrzebowaliśmy wiele czasu, żeby zdecydować, że są oni idealną drużyną do tej wyprawy. Resztę wieczora spędziliśmy na rozmowach i piciu.

Następnego poranka obudziłem Bartka i Karola i wyruszyliśmy. Skarb był gdzieś niedaleko kościoła rzymskokatolickiego. W samym centrum Kłobucka. Mimo że wyruszyliśmy w dobrych nastrojach, widać było, że im bliżej lasu byliśmy, tym bardziej nastroje opadały. Gdy wreszcie dotarliśmy do lasu minęło już wiele godzin i mimo że wciąż było jasno, to wiedzieliśmy, że niedługo będziemy musieli rozbić namiot. Wejście do tego lasu praktycznie równało się z samobójstwem. Już po samym wejściu każdy najmniejszy dźwięk wydawał się nadciągającym demonem. Wiedzieliśmy, że są wszędzie. Że jesteśmy na ich terytorium. Maszerowaliśmy w całkiem dużym spokoju. Zaniepokoiłem się. Skoro widzieliśmy ich tyle, to dlaczego żadnego jeszcze nie widzieliśmy w oddali? Mimo że określenie „cisza przed burzą" się nasuwało, próbowałem je przegnać myśleniem, jakoby był to dobry omen. Kiedy szliśmy tak w milczeniu zauważyliśmy, że słońce zaczyna znikać za horyzontem. Zaczęliśmy rozbijać obóz. Baltazar zaczął przygotowywać ognisko. Chciałem go zatrzymać, ale Oliver wyjaśnił mi, że jeśli dotarliśmy tak daleko, to muszą wiedzieć, że tu jesteśmy. Wyjaśnił, że jeśli wendigo wyczuje gdzieś zbyt duże zagrożenie, bądź człowieka zdolnego popełnić okropny czyn, to nie atakuje, tylko obserwuje, by przemienić go w jednego z nich lub zbiera większą grupę w przypadku zagrożenia. Nie mogę powiedzieć, żeby którakolwiek z tych wiadomości mnie uspokoiła, ale pokiwałem głową i usiadłem na śpiworze by ukryć drżenie kolan. Zastanawiałem się, co mi strzeliło do głowy, aby wchodzić w sam środek gniazda stworzeń, których do tej pory nie udało się nikomu wybić.

Kiedy wszyscy byli pogrążeni w rozmowie, ja rozmyślałem dlaczego dotąd żaden wendigo nie chciał mnie zabić. Ale po pewnym czasie pomyślałem, że to może być po prostu bardzo korzystna dla mnie pomyłka. Gdy wszyscy skończyli rozmawiać, zgasiliśmy ognisko i poszliśmy spać. Dosłownie chwilę przed zgaszeniem ogniska zobaczyłem zarys zgarbionej postaci stojącej w bezruchu obok drzewa niedaleko naszego obozu. Postanowiłem udawać, że tego nie widzę i pójść spać.

Następnego dnia obudził mnie Oliver. Chyba byłem jedyną osobą, która zaspała. Kiedy zebraliśmy się, by iść dalej, powiedziałem Oliverowi, że wydawało mi się, że widziałem wendigo, a on odpowiedział:

– Tylko jednego? – Przypomniałem sobie, że Oliver jest wyszkolonym zwiadowcą. – One są wszędzie. Obserwują nas nawet teraz, ale dopóki nas nie atakują, jest dobrze.

Od tamtego momentu ciągle się obracałem, żeby jakiegoś zobaczyć. W pewnym momencie musiałem się załatwić, więc reszta poczekała, kiedy ja poszedłem za drzewo. Już miałem ściągać spodnie, kiedy zobaczyłem wendigo przyglądającego mi się dosłownie metr ode mnie. Wrzasnąłem i uciekłem na początek grupy. Potwór za mną nie podążył. Na każdym kroku, mimo oddechu śmierci na karkach, przypominało mi się, jak piękne jest to miejsce. Ja, Bartek i Karol pochodziliśmy stąd, więc powrót tutaj pomimo wendigo schowanych za drzewami przywoływało dobre wspomnienia. Po jakimś czasie dotarliśmy do naszej ojczystej wioski. Pobiegłem znaleźć szczątki moich rodziców, ale nigdzie ich nie było. Może wendigo ich zjadły. Postanowiłem przynajmniej postawić krzyż w miejscu, gdzie umarli. Z modlitwy wyrwał mnie zduszony okrzyk Bartka. Stał nad jakimiś zwłokami. Ciężko było powiedzieć, kto to był, ponieważ zostały same kości, ale po chwili zrozumiałem, o co mu chodziło. Na kościotrupie była przypinka jego ciotki. Sam jej ją zrobił, jak miał siedem lat. Jak był mały, jego rodzice umarli i od tamtego czasu wychowywała go ciotka.

– Zawsze miałem nadzieję, że zdołała uciec – wyszeptał Bartek.

Wspólnie zrobiliśmy krzyż i oddaliśmy jego ciotce szacunek. Kiedy minęła godzina, pomyśleliśmy, że minęło już też wystarczająco czasu na to, by Karol pogrzebał swoją ukochaną. Przyszliśmy do miejsca, gdzie znalazł jej zwłoki, ale go tam nie było. Pomyśleliśmy, że już wrócił do reszty. Zapytałem Bartka, czy jest gotowy iść i ten pokiwał cicho głową.

Podeszliśmy do reszty, ale nie było wśród nich Karola. Przerażeni pobiegliśmy z powrotem do wioski, wołając go, by do nas przyszedł, ale nikt nie odpowiadał. Wreszcie znalazł go Hans. Był zawieszony na drzewie niby ostrzeżenie, a ręce i nogi miał obgryzione. Okazało się, że Wendigo rozkopały też grób jego ukochanej i zabrali ciało, aby nie mogła spocząć w pokoju.

Śmierć Karola załamała nas wszystkich. Nie mieliśmy już wątpliwości, że Wendigo wiedzą o nas i chcą naszej śmierci. Co chwilę widziałem gdzieś ruch czy znikający róg. Od trzech dni nie zmrużyłem oka. Na domiar złego Hans i Oliver zaczęli się dziwnie zachowywać. Co chwilę podskakiwali przy nawet najmniejszych dźwiękach i chcieli przebywać sami. Doszło do tego, że rozkładaliśmy trzy obozy. Jeden dla Hansa, drugi dla Olivera, a trzeci dla nas. Zapytałem Baltazara, czy wie o co chodzi i ten powiedział, że

pewnie po prostu są zszokowani śmiercią Karola, ale mimo tego zauważyłem, że cały czas się im przygląda.

Tak mijały dni tułaczki do dnia, kiedy Oliver do mnie podszedł i powiedział, że chyba jest Wendigo. Nie mogłem zrozumieć, o czym on mówi. Wydawało mi się, że to jakiś żart, ale on wyglądał poważnie. Powiedziałem mu, że nie może być wendigo, ale zacząłem się poważnie niepokoić.

To wszystko dałoby się jednak znieść, gdyby nie jeden dzień, w którym obudziliśmy się w naszym obozie i poszliśmy obudzić Hansa tylko po to, żeby zobaczyć Olivera siedzącego nad jego truchłem i męczącego się z oderwaniem jego nogi. Od razu wybiegłem po Baltazara. Oliver wybiegł za mną, wyjąc szaleńczo. Biegł tak szybko, że nawet pomimo tego, że potykał się o wszystko po drodze, to i tak czułem jego paznokcie zahaczające o moje plecy. Jak tylko Baltazar mnie zauważył, otoczył Olivera polem siłowym. Teraz mogłem się mu przyjrzeć. Jego skóra poszarzała, a żyły wyszły na wierzch. Wyjąc bezdźwięcznie za polem siłowym pluł na ziemię krwią oraz kawałkami ciała Hansa.

Baltazar wyjaśnił, że Oliver został przeklęty przez wendigo i musimy odprawić rytuał, aby osłabić ducha wendigo, a potem zabić Olivera. Daliśmy mu ustawić sobie miejsce na rytuał za linią drzew i postanowiliśmy czekać, aż skończy. Wydawało nam się, że w tamtym stworzeniu nie zostało nic z Olivera, ale chwilę po rozpoczęciu rytuału po lesie rozległy się ludzkie wrzaski i jęki. Minęło już tak nie wiem jak wiele czasu, kiedy postanowiłem zajrzeć na chwilę, co Baltazar robi. Na podłodze rozłożył dywan, na którym leżał Oliver. Mimo że dalej wyglądał jak potwór, to już wcale tak nie brzmiał. W chwili kiedy Baltazar na chwilę opuszczał ręce, żeby zebrać moc, on przestawał wrzeszczeć i zaczynał cichym głosem błagać, by przestał. Zawołałem, co robi i wtedy, gdy na chwilę Baltazar stracił uwagę, twarz Olivera od razu się zmieniła. W chwili stracił błagalny, ludzki wyraz twarzy, oblizał wargę i rzucił się, by powalić Baltazara. W ostatniej chwili ten odrzucił go z powrotem na dywan i wrzeszcząc, by mu nie przeszkadzać, wrócił do odczarowania.

Po dłuższym czasie jęki ucichły, a Baltazar podszedł do naszego ogniska. Daliśmy mu jedzenie, ale nie zaczęliśmy rozmawiać jak zwykle. Ta atmosfera ciągnęła się przez kolejne dni, aż nie napotkaliśmy na naszej drodze trójki dorosłych Wendigo. Przez moment po prostu staliśmy naprzeciw siebie, przeszywając się wzrokiem do momentu, w którym Baltazar się otrząsnął, wykrzyczał zaklęcie, a z boków Wendigo zalała lawa. Dwa z nich od razu zaczęły płonąć, ale trzeci, nie myśląc długo, wydał z siebie przeszywający wrzask i zaszarżował w moją stronę. Odskoczyłem lekko rażąc go jedynym zaklęciem jakie znam, po czym upadłem na ziemię z braku sił. Niestety moje zaklęcie okazało się zbyt słabe, bo mimo że stwór zawył

z bólu, to po chwili znowu zaszarżował w moją stronę. Baltazar musiał zebrać w sobie siłę na kolejne zaklęcie, więc wydawało mi się, że jestem skazany na śmierć i wtedy Bartek rzucił swoim mieczem w bok stwora zanim do mnie dotarł. Rana nic mu nie zrobiła, ale skonfundowała go na tyle czasu, żeby Baltazar rzucił zaklęcie. Kiedy jednak je wymawiał, zza drzewa wyszły trzy pary rąk, wciągając go natychmiastowo w stronę ciemności. Byłem wściekły z powodu kolejnej ofiary. Ledwo zebrałem w sobie siłę, by stanąć twarzą w twarz z ostatnim Wendigo. Kiedy pełen nienawiści spojrzałem na niego, ten uspokoił się, wyprostował i powoli odszedł w stronę ciemności.

Po tej sytuacji szukaliśmy Baltazara chyba z godzinę, ale nigdzie go nie było. Byliśmy już bardzo blisko. Widać było, że Bartek żałuje przyjścia tutaj, a ja żałuję, że go ze sobą zabrałem. Nic do tej pory nie zrobił, ale postanowiłem z tym poczekać do momentu podziału.

Wreszcie po nie wiadomo już jak długim czasie dotarliśmy do ich gniazda. Kiedy otworzyliśmy drzwi do kościoła, ujrzeliśmy dobre parę tuzinów Wendigo. Jak tylko weszliśmy, wszystkie spojrzały w naszą stronę, ale żaden się nie ruszył. Powoli przeszliśmy parę kroków w stronę góry złota pośrodku, lecz po zobaczeniu, że żaden ze stworów się nie rusza, podbiegliśmy i prędko zaczęliśmy pakować całe złoto, jakie tam było. Skończyło się na tym, że oboje mieliśmy po jednym worku wypełnionym po brzegi złotem. Przez cały ten czas Wendigo jedynie się na nas patrzyły. Bartek powiedział, że powinniśmy już iść, ale ja go zatrzymałem i powiedziałem:

– Co zrobimy z podziałem?

– O czym ty mówisz? – odrzekł Bartek, patrząc na mnie z niedowierzaniem – Uciekajmy stąd, ja chcę już wrócić do domu.

– Co zrobimy z podziałem? – powtórzyłem powoli.

– No po połowie, tak jak ustalaliśmy – odpowiedział, jakby to było oczywiste.

– Jak to po połowie? – nie mogłem zrozumieć, skąd pomysł, że sobie na to zasłużył – Przecież ty nic nie zrobiłeś przez ten cały czas.

Bartek ostatni raz spojrzał na mnie z przerażeniem i wybiegł z kościoła razem z pieniędzmi. Po chwili dobiegłem do niego, podcinając go uderzeniem złotem o nogi i zacząłem uderzać go moim workiem ze złotem, aż przestał się ruszać. Po paru sekundach albo godzinach opadłem na bok. W miejscu jego głowy nie było nic. Szybko podniosłem oba worki ze złotem i zacząłem iść. Wtedy to zobaczyłem. Wszędzie wokół były Wendigo patrzące na Bartka. Chciałem iść, ale zaczęły się zmieniać, a ja razem z nimi. Zacząłem rosnąć i pochylać się do przodu. Z mojej głowy zaczęły wyrastać rogi, a moja twarz zaczęła

wydłużać się, przypominając pysk. Każda ta zmiana wywoływała agonalny ból, podczas kiedy wszystkie Wendigo wokół mnie zaczęły rosnąć, wrzeszcząc przy tym w ten ich okropny przerażający sposób. Po chwili zrozumiałem, że krzyczę tak samo. Po chwili przestałem się zmieniać, ale mimo to ból nie minął.

Przez lata siedziałem tylko w tym lesie, ale mam już tego dość. Nastał czas, żebyśmy przejęli świat.

KONIEC

Posłowie

Przełomowy to był rok dla trzeciej już edycji naszego konkursu. Pierwszy raz rozszerzyliśmy nasze działania na całą Polskę, zapraszając do zabawy autorów spoza powiatu, co przełożyło się również na o wiele wyższą liczbę zgłoszeń. Pięćdziesiąt sześć prac i wysoki poziom opowiadań skutkował aż siedmioma wyróżnieniami wśród kategorii dorosłych. Bo przecież nie wyobrażaliśmy sobie, by któregokolwiek z nich mogło zabraknąć w naszej antologii. O każdym z nagrodzonych i wyróżnionych tekstów moglibyśmy zresztą rozpisywać się bardzo długo, tak jak długo dyskutowaliśmy o nich podczas obrad jury.

W imieniu całego zespołu zajmującego się konkursem pozostało mi więc podziękować wszystkim Wam, czytelnikom oraz autorom, którzy nadesłali do nas swoje prace – każda z nich była fantastyczna i oryginalna na swój własny i niepowtarzalny sposób, a czytanie ich było dla nas wyjątkową przyjemnością.

Pozdrawiam i dziękuję
Marek Palutkiewicz

Podziękowania

Chciałbym podziękować osobom, bez których „Fantastyczny Kłobuck” nie miałby szansy zaistnieć.

Dziękuję pani Ani Szczepanik, która koordynowała prace nad konkursem, dyrektor MOK w Kłobucku pani Oldze Skwarze oraz wszystkim pracownikom Miejskiego Ośrodka Kultury, którzy pomagali w organizacji przedsięwzięcia. Dziękuję również pozostałym członkom jury: Michałowi Wilkowi i Tomkowi Florczykowi, którzy swoim doświadczeniem i wnikliwością sprawili, że obrady, choć długie, były bardzo merytoryczne i rzeczowe. Dziękuję również Gazecie Kłobuckiej, która jak co roku objęła patronat medialny nad konkursem i zapewniła obsługę prasową.

I na koniec, jeszcze raz, dziękuję wszystkim Wam: uczestnikom konkursu oraz czytelnikom antologii, dla których przecież powstał „Fantastyczny Kłobuck”.

Dziękuję serdecznie

Marek Palutkiewicz

FANTASTYCZNY KŁOBUCK